

HYBRYDA

Pismo Artystyczno-Literackie Stowarzyszenia Twórczego POLART

Nr 43/2023



Nr 43 /2023

W numerze:

- **Joanna Krupińska-Trzebiatowska** 3
Słowo od redaktora
- **Mariola Sternahl** 5
Promocja powieści *Kiedy miłość była zbrodnią* 7
- **Wincenty Błanowicki** 11
Profesjonalizm w Galerii Muzeum Niepodległości
- **Małgorzata Karolina Piekarska** 11
W krainie światła i ciemności
- **Hubert Sawatzki** 15
Ludwik Angerer Starszy
- **Irena Kaczmarczyk** 17
Koncerty Festiwalowe
- **Joanna Krupińska-Trzebiatowska** 19
rozmawia z Martą Pateną
- **Joanna Krupińska-Trzebiatowska** 22
rozmawia z Posłem na Sejm Aleksandrem Miszalskim
- **Anna Adamus-Matuszyńska** 24
ESG, czyli „być albo nie być” biznesu w XXI wieku
- **Kazimierz Burnat** 28
Wiersze
- **Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska** 29
rozmawia o muzycznych pasjach z Mateuszem Prendotą
- **Zbigniew Porada** 35
Jerzy Walerian Skolimowski
- **Irena Kaczmarczyk** 39
Z Jamy Michalika
- **Anette Fabiani** 43
Szampańska księżniczka
- **Amir Or** 46
Wiersze
- **Hassanal Abdullah** 46
Wiersze
- **Andrzej Bogunia-Paczyński** 47
Panie i Panowie:: Paul Anka
- **Edward Kurleto** 50
W poszukiwaniu Boga i córki
- **Krystyna Habrat** 53
W rozwianym kitlu i powieścią w kieszeni
- **Barbara Korta-Wyrzycka** 58
Nigdy więcej
- **Bolesław Faron** 59
Nowe wiersze poetów sądeckich
- **Ignacy Fiut** 63
Dzisiaj i jutro. Poezja w drodze



- **Joanna Krupińska-Trzebiatowska** 63
Na straconej pozycji
- **Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska** 66
Wawel o Zmierzchu
- **Maria Eichler** 68
Chojnickie Dni Sztuki
- **Mariola Sternahl** 70
Yvette Popławska
- **Wojciech Antoni Sobczyński** 71
Wielka wystawa Marka Żuławskiego
- **Profesor Kućma w Pałacu Sztuki** 75
- **Joanna Gościej-Lewińska** 77
Nowakowscy w NCK



**MEDAL XXX-LECIA S.T.POLART
DLA DYREKTORA TADEUSZA SKOCZKA**

SŁOWO OD REDAKTORA



Szanowni Państwo,

Wydajemy 43 numer HYBRYDY w zmieniającej się rzeczywistości, którą wielu porównuje z rewolucją, jaka nastąpiła po pamiętnych wyborach w 1989 roku. Patrząc na założony wówczas POLART i jego najmłodszych członków, można zauważyć, że w międzyczasie wyrosło nowe pokolenie niepamiętające walki o wolność i demokrację. Wchodziliśmy wówczas w nową erę, nie wyobrażając sobie, że kraj może znowu zatrzęść się w posadach, że naruszona zostanie Konstytucja, pogwałcone prawa i wolności obywateli i że ulicami naszych miast ruszą fale protestujących ludzi domagających się naprawy Trybunału Stanu, Krajowej Rady Sądownictwa, przywrócenia relegowanych sędziów.

Kiedy Komisja Wyborcza ogłosiła wyniki wyborów do Sejmu i do Senatu, wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. Ale 10 października 2023 r., podczas Koncertu Jubileuszowego XXX-lecia POLART-u, wcale nie mieliśmy pewności, że zwycięży koalicja demokratyczna i zdobędzie większość, pozwalającą na sformowanie rządu. Za to dzisiaj obserwujemy istny cyrk polityków Prawa i Sprawiedliwości przekonujących nas, jak w teatrze iluzji, że pomimo braku większości, tę większość wyczarują.

Tymczasem konstytucjonaliści głowią się, w jaki sposób usunąć z Trybunału Stanu, powołanych w 2015r. na miejsca prawidłowo obsadzone przez sejm poprzedniej kadencji, trzech dodatkowych sędziów tzw. dublerów – co stało się podstawą stwierdzenia przez Europejski Trybunał Praw Człowieka, że orzekanie przez wadliwe składy TK narusza prawo do sądu chronione Europejską Konwencją Praw Człowieka – i jak pozbyć się z stamtąd Julii Przyłębkiej, której kadencja, jako prezesa TK, upłynęła rok temu. Pytania, jak naprawić to, co zostało zepsute, a w tym Krajową Radę Sądownictwa, organ konstytucyjny zobowiązany do stania na straży niezależności sądów i niezawisłości sędziów – nie naruszając przy tym prawa – mnożą się. Uchwałą Sejmu, a później ustawą, ale jedno jest pewne, że w obecnym kształcie KRS powinna natychmiast zaprzestać swojej działalności, tymczasem, o zgrozo, przesłuchania mające wyłonić nowych sędziów, trwają nadal. Nie mniej ważki staje się problem uregulowania prawa do aborcji, o co walczyły w wyborach miliony kobiet, w sytuacji, w której prezydent Andrzej Duda z góry zapowiedział, że będzie korzystać z prawa weta. Może warto przypomnieć, że *liberum veto* już raz dało o sobie znać w naszej historii, pociągając za sobą paraliż państwa i daleko idące skutki.

Jak w tej sytuacji pytać czy i co zmieni się na lepsze w kulturze, jeśli pieniądze rozdrapanych przez PiS w ostatnim momencie, m.in. na konfederackie wille, już nie będzie. Jak w ogóle będzie sobie radzić państwo z długiem publicznym, który w ostatnim czasie wzrósł o miliardy złotych i czy uda się zahamować inflację. To nie zmienia prawa organizacji pozarządowych realizujących cele statutowe w sferze pożytku publicznego do wsparcia ze strony państwa, ale wiadomo, że z próżnego nawet Salomon nie należy. Wydajemy HYBRYDĘ społecznym wysiłkiem Autorów i Redakcji, ciesząc się, że jak dotąd nikt nas w tych działaniach jeszcze nie ograniczał. Dziękuję więc wszystkim, którzy przyczynili się do powstania kolejnego numeru, a szczególnie fotografikom Andrzejowi Makuchowi i Jankowi Zychowi za udokumentowanie polartowskich przedsięwzięć.

POLART, pomimo braku jakiegokolwiek dotacji zdołał zrealizować kolejną, jedenastą edycję Międzynarodowego Festiwalu "Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy Schubert– Chopin–Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze", a w tym aż trzy wystawy malarstwa i rzeźby: dwie w Warszawie, i jedną w Niepołomicach. We wrześniu 2023 roku pokazaliśmy wystawę malarstwa znakomitego niemieckiego artysty Ludwiga Angerera der Ältere w Muzeum Niepołomickim, a następnie w Galerii Brama Bielańska. Tam też – dzięki życzliwości Tadeusza Skoczka dyrektora Muzeum Niepodległości w Warszawie – we wrześniu 2023 prezentowany był Wielki XXIII Salon Sztuki POLART 2023, z udziałem dwudziestu wybitnych artystów należących do Stowarzyszenia oraz zaproszonych gości, o czym na łamach pisma pisze Marek Soltysik.

Nie zabrakło również koncertów festiwalowych, o które zadbała dyrektor artystyczna Festiwalu Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska, ściągając do Krakowa trzeci raz z rzędu orkiestrę niemiecką. Bonner Jugendsinfonieorchester tradycyjnie już pod batutą Andreasa Winnena zagrała wraz z polską pianistką *III Koncert fortepianowy* Ludwiga van Beethovena, najpierw w Zamku Królewskim w Niepołomicach, a następnie, o czym już była mowa, 10 października w Filharmonii Krakowskiej. Otwarcie wystawy Ludwiga Angerera der Ältere w Muzeum Niepołomickim 10 września 2023 r. towarzyszył recital chopinowski Izabeli Jutrzenka-Trzebiatowskiej, szczerze z artystą zaprzyjaźnionej. Na temat Angerera i jego sztuki wypowiada się w Hybrydzie Hubert Sawatzki, dyrektor Muzeum im Schafstall, będący jednocześnie kuratorem niepołomickiej wystawy. O koncertach festiwalowych pisze Irena Kaczmarczyk, której zawdzięczamy również wywiad z Januszem Trzebiatowskim. Przedwyborczą atmosferę odzwierciedla wywiad z Martą Pateną, która niestety nie zdobyła poselskiego mandatu. Jak zwykle zamieszczamy kilka opowiadań i dwa opracowania krytyczne polskiej poezji pióra prof. Bolesława Frona i prof. Ignacego Fiuta, a także reminiscencje wielkich profesorskich wystaw w Pałacu Sztuki i Nowohuckim Centrum Kultury. Z historią Paula Anki powraca Andrzej Bogunia-Paczyński, a o wystawie Marka Żuławskiego w Toruniu pisze Wojciech A. Sobczynski.

Życzę Państwu miłej lektury!

JOANNA KRUPIŃSKA-TRZEBIATOWSKA

WALNE ZGROMADZENIE CZŁONKÓW STOWARZYSZENIA TWÓRCZEGO POLART

23 CZERWCA 2023 W KLUBIE DZIENNIKARZY POD GRUSZKĄ
I PROMOCJA TRYLOGII "KIEDY MIŁOŚĆ BYŁA ZBRODNIĄ"



Joanna Krupińska-Trzebiatowska i Wacław Krupiński



W piątek, w Klubie Dziennikarzy Pod Gruszką w Krakowie, odbyła się promocja pierwszej części najnowszej powieści Joanny Krupińskiej -Trzebiatowskiej pt. "Kiedy miłość była zbrodnią". Frekwencja dopisała i sala zapełniła się osobami, którym literatura, sztuka, twórczość artystyczna, nauka oraz przemiany świata nie są ani obce, ani obojętne. Czytając fragmenty tej, jakże niezwykle nakładającej się na czasy współczesne, w których przyszło nam żyć, powieści, analizujemy mechanizmy narodzin zła, terroru i anarchii. Wszak autorka opisuje i zarazem poddaje analizie sposób dojścia do władzy nazistów przed wybuchem II Wojny Światowej. Tylko drogą mądrych życiowych wyborów można stworzyć państwo: praworządne, zorientowane na przyszłość własnego narodu oraz na rozwój. W imię miłości, sprawiedliwości i poszanowania elementarnych wartości, które tak naprawdę od początków istnienia tego świata nigdy się nie zmieniły i nigdy się nie zmieniają. Autorka opowiedziała nam obszernie o swoich inspiracjach do tej książki, o materiałach, które posłużyły jako podwaliny do powieści oraz o trudności kreowania bohatera, będącego zwykłym, niebieskokim, przystojnym mężczyzną, który wraz z upływem lat stał się prawdziwą bestią, zdolną do popełniania najgorszych zbrodni w imię: ideologii i chorego fanatyzmu (delikatnie rzecz ujmując).

MARIOLA STERNAHL

XI MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL ZWIĄZKI POMIĘDZY KULTURĄ POŁUDNIA A PÓŁNOCY SCHUBERT-CHOPIN-GRIEG WZAJEMNE INSPIRACJE I REZONANS W MALARSTWIE I LITERATURZE



05. 09. 2023 Wernisaż Wystawy XXIII Salon Sztuki Polart 2023 Tomasz Jagodziński - zastępca dyrektora ds Administracyjnych Muzeum Niepodległości w Warszawie i prof. Andrzej Ziębliński - wiceprezes ST POLART (z prawej) Wincenty Blanowicki

XXIII SALON SZTUKI POLART 2023 W GALERII BRAMA BIELAŃSKA MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE

PROFESJONALIZM W GALERII MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI

Artyści, członkowie Stowarzyszenia Twórczego POLART, przyzwyczaili nas do oglądania ich dzieł na wystawach zbiorowych w zawsze pięknych, zabytkowych sceneriach zamków, pałaców, piwnic pod reprezentacyjnymi kamienicami. Najnowszy, XXIII, Salon Twórców POLART zaprosił malarzy, rzeźbiarzy i widzów do miejsca historycznego, związanego z męczeństwem Polaków walczących o wyzwolenie ojczyzny ze szponów caratu – mianowicie do Galerii „Brama Bielańska Cytadeli Warszawskiej” w Muzeum Niepodległości w Warszawie.

Wystawa cieszyła się dużym powodzeniem; już tydzień po jej otwarciu, gdy przyjechałem oglądać prezentowane na ścianach dwóch pomieszczeń konkurujące z surową architekturą więzienną dzieła dwudziestu znanych, wciąż czynnych artystów kilku pokoleń, dowiedziałem się, że wiele obrazów i rzeźb wywoływało zachwyt, a widzowie

pojawiali się ponownie, po kilku dniach przyprawdzając rodziny i znajomych. Cenne okazało się zetknięcie rezultatów pracy twórczej z oczekiwaniami – a nawet „nieoczekiwaniemi” – widzów. Nastąpiło więc szczęśliwe zetknięcie ze sztuką żywą – to, czego oczekiwała w tekście wstępu do katalogu dr Beata Michalec, z grona kuratorów – obok prezesa POLART Joanny Krupińskiej-Trzebiatowskiej i Macieja Jakubowskiego z Muzeum Niepodległości.

Powołując się na słowa Barbary Toruńczyk „Kultury nie uprawia się zrywami, wtedy, kiedy ktoś orzeknie, że «już można», dr Michalec zauważyła, że „żadna sztuczna inteligencja czy informatyczne algorytmy nie zastąpią «żywego» artysty pełnego pasji i weny twórczej, który swój talent szlifuje latami. Takimi ludźmi są właśnie członkowie Stowarzyszenia Twórczego POLART działającego od 1990 roku”.

Spójrzmy!

Renata Bonczar, artystka utytułowana i nagradzana na całym świecie, łączy w swoich dużych obrazach olejnych dyscyplinę formy nie tylko z rozmalowanymi wrażliwie, a zarazem wnikliwie i niemal realistycznie elementami rzeczywistości, lecz także z symbolami, które mieszczą się w mistrzowsko umieszczonych w tym, a nie innym miejscu obrazu, a zawierają się w śmiałych kolorystycznych natężeniach wyszukanych dopełnień barwnych. Malarka zdaje się ujarzmić chaos.

Teresa Chomik-Kazarian, artystka, która niemal błyskawicznie przenosi na płótno i papier swoje wizje i dla której zagadnienia kolorystyczne to mniej gry barwne obecne w każdym zakątku obrazu, bardziej, a może przede wszystkim, wydobywanie tajemnicy na przykład czerwieni, poprzez zestawienie jej cynobrów i nieco zgaszonych kraplaków, działających w jednej formie, z głębokim brązem, będącym dostojną przeciwwagą żaru, z dominującym akcentem ciepłej żółci – tej biżuterii, nieodzownej do uszlachetnienia obrazu. Malarka żywo uczestniczy w życiu artystycznym, m.in. stworzyła i prowadzi Dom Pracy Twórczej.



Profesor Stefan Dousa, wybitny twórca medali, artysta rzeźbiarz o ogromnym, niekwestionowanym dorobku, pokazał dwustronne plakietki z brązu, tworzone trudną i unikatową techniką wosku traczonego. Subtelne układy przemieszczających, zda się, elementów, wyrosłych – tu można snuć przypuszczenia – ze zjawisk przyrody, efektów zmienności aury, a może układów splotów nerwów widzianych pod mikroskopem, zadziwiają precyzją i konsekwencją w dochodzeniu do przekazywania najdrobniejszych szczegółów artystycznej wizji.

Oganes Kazarian, malarz i scenograf, Ormianin, który od roku 1992 mieszka i tworzy w Polsce i jest od roku 2003 obywatelem polskim, był dyrektorem Szkoły Artystycznej i prezesem Komisji Artystycznej w Leninakanie w zachodniej Armenii aż do trzęsienia ziemi w 1988. Rok później wystawił w Erewaniu cykl sześćdziesięciu wstrząsających obrazów, prezentowanych następnie w pięciu miastach Polski. Na wystawie w Cytadeli artysta pokazał duże czarno-białe, arcyprecyzyjne rysunki z akcentami walorowymi, których głównym tematem jest ruch. Zostały one powiększone i drukowane techniką poliestru ekosolwentowego.

Wybitny rzeźbiarz, **profesor Wincenty Kućma**, autor pomników w kilkudziesięciu krajach świata i realizacji sakralnych w ponad siedemdziesięciu kościołach w Polsce i kilkunastu za granicą, twórca medali, kawaler Orderu Orła Białego, pokazał w Cytadeli między innymi jeden z istotnych etapów pracy nad pomnikiem: rysunek: nie tylko koncepcyjny, sytuacyjny, lecz także czysto artystyczny, taki, który wprowadza zamawiającego, widza, a może i samego artystę w klimat stworzony w momencie zetknięcia się z ukończonym dziełem sztuki monumentalnej przechodnia, pielgrzymia, świadomego widza.

Zbigniew Latała, artysta malarz, ale także i specjalista w dziedzinie komputerowego przetwarzania i analizy obrazu, doktor nauk technicznych oraz doktor sztuk pięknych, maluje akrylowe zapisy stanów emocjonalnych i napięć wrażliwości

pod bezpośrednim wpływem słuchania muzyki klasyków. Ze zbioru takich kompozycji można było na wystawie kontemplerować przechodzącą od tonów ciemnych, nasyconych, do jaśniejszych, świetlistych, Kompozycję 1685 inspirowana *Fugą D-moll* Bacha.

Małgorzata Mizia, malarka, architekt, autorka książek popularno-naukowych, dotyczących związków sztuk pięknych z architekturą, posługując się techniką olejną i akrylową, w dużych obrazach prezentowanych w Galerii Brama Bielańska proponuje widzowi śmiałe połączenie form monumentalnych i rozwibrowanych oraz statycznych elementów filigranowych, wprowadzających powietrzną lekkość w kompozycje cechujące się dużą kulturą plastyczną.

Krystyna Nowakowska, mistrzyni rzeźby figuratywnej, autorka m.in. wymownego pomnika *Tajemnice kobiet*, odlanego w brązie, stojącego na marmurowym cokole w centrum Mikołowa, bez względu na etap, do którego doprowadziłaby formę poprzez jej upraszczanie, przedstawi nam – jak na omawianej wystawie – dzieła poruszające kształtem człowieka w ruchu, indywidualnym charakterem modelki pozostającej jako pierwowzór klasycznej, rzekłbym, ekspresji, na długo w imaginacji widza.

Monumentalne odlewy w brązie, zwarte z natury koła, półkola, rozwarte ekspresyjnie siłą wyobraźni i potrzebą harmonii, to nowe dzieła **profesora Jerzego Nowakowskiego**, autora blisko pięciuset medali, wręczanych w Polsce i na świecie. Sam, jak wielu kolegów ze Stowarzyszenia POLART, odznaczony m.in. Złotym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis, artysta obdarzony subtelnym smakiem, a równocześnie męską siłą i umiejętnością podejmowania twórczych decyzji, robi to, co potrafią nieliczni spośród autentycznych rzeźbiarzy – działa na wyobraźnię.

Artysta malarz i konserwator **Adrian Polaczek**, autor kilkudziesięciu realizacji konserwatorskich, maluje i wystawia obrazy z roku na rok coraz bardziej głębokie i aksamitne. Jego pastele, najczęściej

krajobrazy, cechuje nasyciona kolorystyka, umiar w stosowaniu środków plastycznych, wreszcie nieczęsto spotykana umiejętność budowania nastroju – i to bez ograniczania karkołomnych, zda się, spięć walorowych.

Agata Poloczek-Imielińska, artystka konserwatora, specjalizująca się w konserwacji i restauracji malowideł ściennych na płótnie, autorka wielu realizacji, głównie w kościołach i klasztorach na Śląsku, z doskonałą znajomością warsztatu, najpewniej pogłębioną badaniami dawnych technik, wystawia krajobrazy z miejsc egzotycznych, wydobywając ciepłe światło, ożywiające stare mury, a starym murom w cieniu przydając tajemniczości środkami plastycznymi.

Twórczość w dziedzinie tkaniny unikatowej uprawia **profesor Ewa Maria Poradowska-Werszler**, założycielka i manager Galerii Tkackiej „Na Jatkach” we Wrocławiu. „Obrazowanie wełną” to wystawione dzieła sztuki wykonane techniką falowniczą. „Miejsce n a spontaniczność, ale nie na przypadek” to refleksja artystki o żmudnym, ale bliskim naturze, procesie twórczym, który polega przede wszystkim na uszlachetnianiu koloru i formy strzyżu, czyli wełny otrzymanej w wyniku strzyżenie owiec. Szlachetność modelu i kolorystyczna subtelność cechuje dzieła profesor Poradowskiej-Werszler.

Profesor Józef Sękowski, autor wielu nagrodzonych pomników i twórca oryginalnych monumentalnych realizacji, znany jako rekonstruktor projektant i wykonawca gryfów – potężnych elementów zdobniczych gmachu Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, a także maszkaronów na budynku Sukiennic, zaprezentował w Galerii Brama Bielańska kompozycję rzeźbiarską z juty, blachy stalowej i błyskotek, o wymowie filozoficznej i o tragikomicznym wydźwięku. Tytuł: *Po balu*. Tak.

Absolwent krakowskiej ASP i uczelni brytyjskich, **Wojciech Antoni Sobczyński** osiadł w Londynie, w swojej twórczości, na równi z publicystyką artystyczną, uprawia eksperymentalną rzeźbę, w której łączy w niej elementy malarskie ze słowem



i muzyką. Na warszawskiej wystawie eksponował Strzepy – prace z zakresu sztuki materii.

Kaja Solecka, znakomita artystka malarka, idzie własną drogą twórczą. Duże aktykobiecte na wysmakowanych kolorystycznie płótnach Soleckiej są przede wszystkim świetnie modelowane. Zaraz potem wnoszą aurę tajemnicy. Na ostatnio pokazanych obrazach zwraca uwagę kwestia różnic walorowych w obrębie aktu: od światła bliskich bieli do przechodzącego w czerń brązu van Dycka.

Marek Sołtysik, uznany pisarz, ponadto malarz, rysownik, autor kilkuset ilustracji, ostatnio nieczęsto pokazuje obrazy olejne, szybko bowiem trafiają one do kolekcji zagranicznych. Na wystawie w warszawskiej Cytadeli zdążył pokazać najnowsze, choć malowane etapami, „bajecznie kolorowe”, fantastyczne kompozycje, w których w codzienną rzeczywistość wpada niespodziewanie gość z krainy wyobraźni.

Władysław Bartek Talarczyk uprawia malarstwo, tkaninę unikatową, wielkoformatowe abstrakcje. W tym roku na wystawie Stowarzyszenia POLART oglądaliśmy nowsze prace artysty, kameralne, refleksyjne, liryczne. Dowcip artystyczny w najlepszym tego słowa znaczeniu towarzyszy figuratywnym obrazom z nutą zadumy i nostalgii.

Klasyk polskiego malarstwa **Janusz Jutrzenka Trzebiatowski** w swojej wyrafinowanej twórczości idzie poza nurtem, nie dba o nowinki, a modę ma swoją.

Tworzy kompozycje olejne pełne witalizmu, mistrzowsko posługuje się laserunkiem, najnowsze obrazy kojarzą się – trudno to ukryć – ze szczęściem. Kaligraficzne, wysmakowane formy przechodzą w sensualną obłoczność. Skąd te porównania? Z bliskości poezji którą również uprawia artysta. Siedemnaście wydanych tomików to jest coś.

Wielokrotnie nagradzany na międzynarodowych konkursach sztuki, głównie rysunku, **Paweł Warchoł**, autor ponad stu wystaw indywidualnych, wystawił stylizowane na starodruk i iluminację prace akrylowe na płótnie z cyklu *Karawaka*. *Karawaka* to krzyż choleryczny, hiszpański rodzaj talizmanu, od pięciu wieków mającego chronić od wszelkiego nagłego zła, od moru, nieszczęścia, także od kradzieży. Dzieło-artefakt estetyczne i na czasie. *Last but not least*.

Profesor Andrzej Ziembliński, wybitny malarz i kierownik wielu zespołów interdyscyplinarnych, w swojej twórczości artystycznej nigdy się nie rozłącza od innych form działalności. Czy to będzie malarstwo architektoniczne, projektowanie witraży – autora można rozpoznać. Po czym? Po czystości założeń, po przejrzystości form, po fascynująco sustywnej przestrzeni, że już o absolutnym profesjonalizmie nie wspomnę.

Takie są m.in. zalety w monumentalnych Kadrach wystawionych przez artystkę w warszawskiej Galerii Brama Bielańska.

WINCENTY BLANOWICKI



Jacek Konik - kurator Galerii Brama Bielańska i Tadeusz Skoczek - Dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie (z prawej)

GALERIA BRAMA BIELAŃSKA MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE

LUDWIG ANGERER DER ÄLTERE



**WERNISAŻ WYSTAWY
6.10.2023**

**FINISAŻ
7.11.2023**



MAŁGORZATA KAROLINA PIEKARSKA



W KRAINIE ŚWIATŁA I CIEMNOŚCI

Biografia artysty:

1938 – Urodzony 7 sierpnia w Bad Reichenhall

1957–1961 Studiował architekturę w Monachium

1961–1966 Akademia Sztuk Pięknych w Monachium

1981 – Książka „Phantastik der Sehnsucht” (Gustav René Hocke, Wydawnictwo Bruckmann, Monachium)

1983 – Włączenie do Encyklopedii Sztuki Thieme-Becker (Artyści sztuk wizualnych wszystkich czasów i narodów)

1984 – Książka artystyczna „Kampf und Vision” (Manfred van Well, Wydawnictwo Bruckmann, Monachium)

1989 – Bawarska Nagroda Filmowa za oprawę artystyczną filmu Michaela Ende „Niekończąca się opowieść II”

1994 – Światowa premiera teatralna „Hobbit” J.R.R. Tolkiena, scenografia i kostiumy

1997–2015 Budowa Kaplicy Odkupiciela, dzieła sztuki chrześcijańskiej składającego się z architektury, malarstwa i rzeźby. Osobiste gratulacje od papieża Benedykta XVI

2000 – Komisja ds. ikony przy patriarsze Rumunii

2004 – Mianowany na ambasadora kulturalnego Dolnej Bawarii

2008 – Nagroda Kulturalna Okręgu Kelheim

2008 i 2011 – Nagroda Kulturalna „Trophée Apocalypse Dore”, Francja, Le Mont-Dore

2010 – Posąg Chrystusa jako Katedra Chrystusa, <http://www.youtube.com/AngererDerAeltere>

2013 – Brązowy medal w Grand Palais w Paryżu na „Art en Capital” za obraz „Don Kichot” autorstwa Société des Artistes Français

2014 – Srebrny Medal w Grand Palais Paris na „Art en Capital” za obraz „Piekło absolutne” od Société des Artistes Français

2016 – Książka „Powrót człowieka do sztuki”, Wydawnictwo Kastner

2021 – Dwuczęściowa książka z baśniami i legendami „Janus i Sunaj”, Wydawnictwo Burgrafia:

Wystawa w Galerii Brama Bielańska w dniach 3 października – 3 listopada 2023 była wyjątkową okazją, by zobaczyć 30 obrazów (akryl na desce) autorstwa bawarskiego malarza Ludwiga Angerera der Ältere (czyli Angerera Starszego), jednego z najbardziej wszechstronnych artystów tego stulecia. To niemiecki architekt, malarz, rzeźbiarz i pisarz, a prywatnie brat malarza i kompozytora Waltera Andreasa Angerera (w odróżnieniu zwanego Angererem Młodszym).

Zgromadzone na wystawie 30 obrazów to podróż przez świat wyobraźni, w której klasyka i nowoczesność, mitologia i chrześcijaństwo, dobro i zło oraz światło i ciemność mieszają się nawzajem i jednocześnie razem współistnieją.

Artysta nie boi się odwoływać do ujęć znanych z klasyki sztuki światowej. Sam o sobie mówi zresztą, że jego rolą jest przywrócenie sztuce piękna, wyobraźni, tajemnicy i mitu. Dla niego sztuka jest czymś więcej niż realistycznym przedstawieniem. Jak sam twierdzi, wierzy, że „nasz świat można zredukować do efektów czysto biochemicznych. To właśnie tajemnice swojej złożoności są lepsze od łatwej zrozumiałości pragmatyzmu”.

By to wszystko tłumaczyć swoim malarstwem sięga po sprawdzone motywy z kultury chrześcijańskiej oraz mitologii starożytnej czy germańskiej – widać tu m.in. fascynacje twórczością Richarda Wagnera (1813-1883) czy J.R.R. Tolkiena (1892-1973), którzy w swoich dziełach korzystali z tych samych germańskich legend. Wagner przy tworzeniu dramatu muzycznego *Pierścień Nibelunga* (1874) a Tolkien przy pisaniu sagi *Władca pierścieni* (1954-55). Do tych utworów nawiązuje też Angerer, malując choćby takie obrazy jak *Stary cesarz na swoim tronie* (2000) czy *Nagle, w środku nocy* (2017), których bohaterowie zdają się przypominać Stary cesarz Zygryfda z *Pieśni o Nibelungach* bądź Aragorna jako króla Zjednoczonego Królestwa Arnoru i Gondoru, a postać z drugiego obrazu tolkienowskiego Saurona. Artysta zresztą jawnie odwołuje się do Wagnera w swoim obrazie *W dalekim kraju* (Ryszard Wagner, „Lohengrin”) (2019), choć jest to historia oparta na legendach arturiańskich i pokazuje tytułowego Lohengrina przybyłego do Brabancji.

Angerer tworząc swoje dzieła i ubierając je w znane już z historii sztuki szaty, nawiązuje też do klasyki mistrzów poprzednich epok, choć wrzuca do tego uniwersum także nowoczesność. Mamy tu np. *Upadek Faetona* (2021), który strącony przez Zeusa piorunem wpada do rzeki Erydan wraz z... samochodem, okularami, a nawet telefonem komórkowym. Ale we wspomnianym już obrazie przedstawiającym Lohengrina artysta nawiązuje również do... scenografii słynnego filmu Fritza Langa (1890-1976) *Metropolis* (1927), której twórcą był Erich Karl Heinrich Kettelhut (1893-1979) autor również scenografii do pierwszej ekranizacji *Nibelungów* (1924) tego samego reżysera. Wszystko to pokazuje jak szeroko patrzy Angerer i z jak różnych źródeł czerpie natchnienie.

Do mitologii artysta odwołuje się dość często. Widać to choćby w tytułach takich obrazów jak *Dzieci olimpu* (2008) czy *Gaja* (2017), który przedstawia Matkę Ziemi niesioną przez tytanów, ale przede wszystkim w *Prometeuszu w niewoli* (2019). Artysta przedstawił bohatera starożytnego greckiego mitu, który sprzeciwił się bogom, gdyż ulepił na ich podobieństwo człowieka używając do tego gliny pomieszczonej ze łzami. Obdarował go duszą z iskier boskiego ognia, ukradzionych z rydwanu Heliosa. Ponieważ jego człowiek był słaby, więc podarował mu ogień, który ukradł z Olimpu. Za to wszystko został skazany na przykucie do skały, a jego odrastającą wątrobę wyjadał mu sęp aż do momentu, gdy po latach uwolnił go Herakles. U Angerera Prometeusz przedstawiony został w momencie, w którym przykuty cierpi męki. Tuż za nim płonie wykradzony bogom ogień i pali zbrodniarza w plecy. Ptak jeszcze nie nadleciał. Prometeusz przypomina jednak... Adama Michała Anioła Buonarottiego (1475-1564) namalowanego na fresku *Stworzenie Adama* (1511) w Kaplicy Sykstyńskiej. Choć Adam wyciąga rękę w kierunku stwórcy znajdującego się po swojej lewej stronie zaś Prometeusz Angerera ręce cofa. Ale cóż... przecież według mitu to on jest stwórcą, a za owo stworzenie ponosi właśnie karę. Angerer bawi się przedstawieniami, zaś jego nawiązania do starych mistrzów nie mają na celu kopiowania, ale pokazywanie piękna dawnej sztuki i transponowanie jej we własne wyobrażenia.

Do dawnej sztuki nawiązuje w swoim obrazie *Pomnik Unii Europy* (2016), w którym centralną postacią jest... mężczyzna jakby żywcem wyjęty z *Grupy Laokoona* – starożytnej rzeźby, będącej według części badaczy dziełem greckim z okresu hellenistycznego, według innych jego rzymską kopią. Stąd rozbieżności w datowaniu na okres od II wieku p.n.e. aż po I wiek n.e. Sam Laokoon to tragiczna postać z mitologii greckiej, której historię warto przywołać. Popęłnił on świętokradztwo, żeniąc się czym złamał nakaz celibatu, ściągając na siebie gniew Apollina. Ze związku z Antiope miał dwóch synów. Podczas oblężenia Troi ostrzegał Trojan o niebezpieczeństwie, jakim był drewniany koń. Gdy składał ofiarę Posejdonowi z morza wyszły dwa ogromne węże, zabijając jego i obu synów. Trojanie, którzy nie mieli pojęcia o świętokradztwie Laokoona i klątwie Apollina uznali, że Laokoon zginął z ręki bogów za sprzeciw wobec przyjęcia konia, co skłoniło ich do wpuszczenia podarunku do miasta. Na obrazie Angerera Laokoon duszony przez węże jest wpisany w medalion trzymany przez postać, która w drugiej ręce dzierży ogień. Czy to wspomniany już Prometeusz? Czy nie jest to wszystko symbolem przemian zachodzących w Europie? Gdzie imigrantów można uznać za konia trojańskiego, sprzeciwiających się przyjmowaniu ich do Europy za Laokoona, a tych, którzy starają się to unaocznic za... Prometeusza? Czy to za daleko posunięta interpretacja? A może jest jeszcze inna? Angerer nie jest dosłowny i raczej nie chce być tak odbieranym. Dlatego symbolika jego obrazów może być odwrotna. Prometeusz oświeca Europę, że nie wolno popełniać grzechu świętokradztwa czego symbolem jest

Laokoon i jego śmierć w Wężowych uściskach. A świętokradztwem niechrześcijańskie zachowanie względem imigrantów.

To, jak bardzo artysta sięga do twórczości dawnych mistrzów widać choćby we wspomnianym już dziele pt. *Dzieci Olimpu* (2008) czy *Siedziba starych bogów* (2005) nawiązujących do znanych z historii sztuki przedstawień *Wieży Babel* autorstwa Pietera Bruegela Starszego (ok.1525-1569), który do tematu podchodził co najmniej dwukrotnie malując ok. 1563 roku *Wieżę Babel* oraz *Małą wieżę Babel*. Echa tych obrazów pobrzmiewają też we wspomnianych pracach Angerera. Przy czym warto w tym miejscu zwrócić uwagę, że samo używanie przez Angerera przydomka „Starszy” sugeruje już nawiązanie do dawnych tradycji artystycznych zarówno obyczajowych czy kulturowych jak i warsztatowych. We wspomnianych obrazach widać też nawiązania do niemieckiego malarstwa okresu romantyzmu i jednego z najwybitniejszych niemieckich romantyków Caspara Davida Friedricha (1774-1840), a zwłaszcza jego dwóch płócien *Opactwo w dębowym lesie* (1809-1810) i zaginionego w czasie ostatniej wojny *Cmentarza w śniegu* (1810) znanego na szczęście z licznych kolorowych reprodukcji. Przemijanie ukazane jest tu poprzez pory roku, a ruiny są symbolem, że nic nie jest wieczne ani trwałe, ale paradoksalnie trwa dopóki „stoi” ostatni kamień. Do tego samego artysty nawiązuje Angerer tworząc swój obraz *Na przegranej pozycji* (2020) przedstawiający kościół (przypominający zresztą Bazylikę św. Marka w Wenecji) otoczony falami powodziowymi i burzą, do którego próbuje dostać się dryfujący na tratwie rozbitek. Tytuł obrazu sugeruje, że próba skazana jest na niepowodzenie. Podobnie jest w przypadku obrazu *Wnętrze góry* (2009) również przypominającego górskie pejzaże Friedricha. Niemiecki romantyk Friedrich często malował potęgę przyrody, czerpiąc natchnienie z pejzaży Rugii czy Karkonoszy. Dla Angerera natchnieniem jest rodzinna Bawaria, ale też i wspomniana Wenecja, którą można odnaleźć nie tylko w przytaczanym tu już dziele *Na przegranej pozycji* (2020), ale przede wszystkim w obrazie *Karnawał w Wenecji* (2015), na którym artysta namalował karnawałową scenę dziejącą się w zaprojektowanej przez samego siebie architekturze. Obraz nawiązuje jednak stylistyką do wedut dawnych włoskich mistrzów takich jak Giovani Antonio Canal zwany Canaletto (1697-1768) czy Francesco Guardi (1712-1793).

Artysta nie stroni też od nawiązań do sztuki Prerafaelitów. Widać to w kolorystyce np. w obrazie *Ciemność lasu* (2021), ujęciach czy twarzach postaci jakby „wyjętych” z dzieł Dantego Gabriela Rossettiego (1828-1882) i innych. Są tu też nawiązania do iluminowanych rękopisów, czego najciekawszym przykładem jest *Fantastyka wolności* (Hala wyzwolenia) (2013) przedstawiająca monumentalny budynek wzniesiony w połowie XIX wieku na wzgórzu Michelsberg w Kelheim na terenie Bawarii. Obraz przypomina bowiem karty ze słynnego rękopisu *Bardzo bogate godzinki księcia de Berry* (fr. Les Très Riches Heures du duc de Berry), zamówionego przez Jana de Berry około 1410 roku, a stanowiącego jedno z najważniejszych dzieł gotyku

międzynarodowego. Bardzo to jest zresztą chrześcijańskie przedstawienie, a dla Angerera chrześcijaństwo jest ważnym motywem, na co na pewno niemały wpływ miał fakt, że Bawaria jest krajem katolickim, z którego zresztą wywodził się przyszedł papież Benedykt XVI. Ten ostatni osobiście pochwalił przecież *Kaplicę Odkupienia* zaprojektowaną przez Angerera i zbudowaną z jego własnej inicjatywy w latach 1996-2000 w Biburgu, określając ją jako „wreszcie znowu prawdziwa sztuka sakralna”. Warto w tym momencie wspomnieć, że kaplica jest dziełem totalnym składającym się z architektury, rzeźby i malarstwa. Osobliwością architektoniczną jest w niej ukośna rura, która wprowadza do wnętrza światło. Jest ona zamknięta okienkiem ze szkła ołowiowego w małej kopule i ma przybliżyć widza do kosmicznego doświadczenia duchowego. Światło wewnątrz kaplicy robi szczególne wrażenie około południa, zwłaszcza w piękne, słoneczne dni. Ale dla Angerera nauki chrześcijańskie zdają się być immanentną częścią twórczości. Widać to we wspomnianym już choćby obrazie *Nagle, w środku nocy* (2017), który może przedstawiać zarówno bratobójcze walki, jak i piekło z *Sądu Ostatecznego* (1467-1471) Hansa Memlinga (1435-1494). Nawiązanie do tego obrazu widać też w dziele *Piekło absolutne* (2008). Artysta często porusza tematy nowotestamentowe, co widać np. we *Wniebowzięciu Maryi* (2016), który tematycznie przedstawia motyw z Nowego Testamentu, ale artysta znów nawiązuje do klasyki. Maryja przypomina bowiem Dafne uciekającą przed Apollem ze słynnej rzeźby *Apollo i Dafne* (1622-1625) Gianlorenzo Berniniego (1598-1680). Zresztą Dafne jest symbolem dziewictwa podobnie jak wg dogmatów chrześcijańskich – Maria. Mamy tu więc znów do czynienia z mieszaniami wątków mitologicznych z chrześcijańskimi, wśród których niewinność zdaje się jednozczyć te dwa światy. Artysta przywiązuje zresztą dużą wagę do niewinności, co widać w jego obrazie *Magia niewinności* (2009) przedstawiającym dziecko huśtające się na huśtawce z anielskich piór. To jak ważna jest religia chrześcijańska dla artysty widać w jego dziełach pt. *Moc Krzyża* (2008), który zwielokrotniony poprzez nieskończenie krzyżujące się ornamenty zdaje się blaskiem powalać zło. Zaś Chrystus tronuący w Mandorli tworzącej monstrancję przewycięża wszystko, znakiem mowy i kulą ziemską w dłoni pokazując, że on jest tu Panem.

Jezus zdaje się być zresztą przewodnikiem duchowym artysty, który umieszcza dzieciątko Jezus w górnej części swego obrazu *Światłość świata* (2009), przedstawiającego biegnących wojowników, którym owo dzieciątko oświeca drogę. Twarz dorosłego Jezusa w *Mandorli*, przypominająca twarz z Całunu Turyńskiego, a jednocześnie mocno postarzona, jakby było to przedstawienie i Jezusa i Boga Ojca znajduje się z kolei centralnej części obrazu *Światłość świata II* (2013). Przedstawiona jest tak jakby artysta chciał tym obrazem powiedzieć to, co zapisane jest w Ewangelii św. Jana: „Ja jestem drogą i prawdą, i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze Mnie”. (J, 14, 6).

Ludwig Angerer der Älter studiował architekturę w Monachium i malarstwo na Akademii Sztuk Pięknych. Do jego wybitnych osiągnięć zalicza się nie tylko prezentowana na wystawie

w Galerii Brama Bielańska, a omówiona w niniejszym tekście twórczość malarska czy wspomniana *Kaplica Odkupienia*, ale także oprawa artystyczna do filmu *Niekończąca się opowieść II* – Następny rozdział na podstawie powieści Michaela Ende, za co artysta odpowiedzialny za scenografie i kostiumy otrzymał Bawarską Nagrodę Filmową. Angerer zaprojektował też nagrobek Michaela Ende na Cmentarzu Leśnym w Monachium. Ten unikalny grobowiec w postaci dużej księgi z brązu przedstawiającej mityczne stworzenia przypominające płasko-rzeźby, na których bawią się dzieci to coś, czego z pewnością życzyłby sobie Michael Ende, jeden z ważniejszych pisarzy fantazy XX wieku, któremu Angerer swoim dziełem oddał po raz drugi hołd.

W 2013 roku na wystawie w Paryżu artysta dostał brązowy medal Grand Palais Paris za obraz *Don Kichot* (2009). Przedstawiony na nim rycerz w zbroi walczący z motylkiem lub z własnym cieniem na tle zamku, który zdaje się być fatamorganą to symboliczne połączenie tego, co w sztuce Angerera jest najważniejsze: religii z mitami, romantyzmu i oświecenia, starego i nowego, światła i ciemności – fantazji i realizmu. A biorąc pod uwagę fakt, jak bardzo w ciągu wieków od powstania powieści Miguela de Cervantesa (1547-1616) zmieniała się interpretacja postaci Don Kichota przez badaczy, można spojrzeć na obraz jak na swoisty symboliczny, choć pewnie nie zamierzony portret Angerera, który stara się walczyć z otaczającym, odchodzącym od religii światem niby Don Kichot. I swoimi obrazami *Przybycie Antychrysta* (2013), na którym widać modne dziś symbole okultystyczne, zdaje się przestrzegać przed tym dokąd ów świat zmierza.

Wystawa w Galerii Brama Bielańska należącej do Muzeum Niepodległości została zorganizowana z okazji 85-lecia Ludwiga Angerera der Älter, który w tym roku pokazywał swoją sztukę w wielu polskich placówkach muzealnych. Obrazy artysty dobitnie pokazują, że tak jak dobro i zło, tak ciemność i światło nie mogą bez siebie istnieć. A nikt tak dobrze jak on nie wypełnia swojej misji przywracania piękna poprzez swoją sztukę.

Muzeum Niepodległości, "Pamięć i Niepodległość"

Wystawa w Galerii Brama Bielańska została zorganizowana we współpracy ze Stowarzyszeniem Twórczym POLART

Kurator: Joanna Krupińska-Trzebiatowska

**XI MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL
ZWIĄZKI POMIĘDZY KULTURĄ POŁUDNIA A PÓŁNOCY
SCHUBERT-CHOPIN-GRIEG
WZAJEMNE INSPIRACJE I REZONANS W MALARSTWIE I LITERATURZE**

**LUDWIG ANGERER DER ÄLTERE
W MUZEUM NIEPOŁOMICKIM**



10. 09. 2023 Wernisaż Wystawy malarstwa Ludwiga Angerera der Ältere (pierwszy z prawej, dalej Mariola Sternahl, Joanna Krupińska-Trzebiatowska - prezes POLART-u, Maria Jaglarz - dyrektor Muzeum Niepołomickiego, Janusz Trzebiatowski, Andrzej Ziębliński- wiceprezes

WERNISAŻ WYSTAWY Z UDZIAŁEM AUTORA 10.09.2023



Iwona Krupa-Trzebiatowska i Ludwig Angerer der Ältere

Ludwig Angerer, znany jako Angerer Starszy, jest jednym z najbardziej wszechstronnie utalentowanych artystów tego stulecia. Jest malarzem i architektem, pisarzem i rzeźbiarzem, projektantem wnętrz i scenografem. Joanna Krupa-Trzebiatowska prezentuje w Zamku Królewskim w Niepołomicach i w Galerii Brama Bielańska Muzeum Niepodległości w Warszawie retrospektywę ponad trzydziestu prac 85-letniego dolnobawarczyka, którego obrazy można sklasyfikować jako realizm magiczny. W 2018 roku prezentowałem w Museum im Schafstall ponad dwieście obrazów tego wybitnego artysty, którymi zauroczyła się wówczas obecna na wernisażu Prezes POLART-u.

Angerer Starszy ma niemal filozoficzne podejście do społeczeństwa, religii i świata sztuki. Nie chce podporządkowywać się żadnym trendom i krytycznie odnosi się do modernizmu. W modernizmie bowiem sztuka została uwolniona od ludzkich treści i unikała żywych form.

Duchamp swoim *Object Art* datę śmierci sztuki figuratywnej ustalił na 1907 rok, ale już w 1925 roku hiszpański filozof José Ortega y Gasset wygłaszając w eseju *Dehumanizacja sztuki* tezę o "wygnaniu człowieka ze sztuki", twierdził, że figuratywna sztuka jest w głębokim sensie ludzka, jest to bowiem własna sztuka *homo sapiens*, natomiast przejście w sztukę bezprzedmiotową oznacza rezygnację z *humanum*. Zajmując się rolą sztuki w procesie kształtowania różnic społecznych, autor *Buntu mas*, wysunął tezę, że zdehumanizowana sztuka staje się niezrozumiała, a jednocześnie przez to niezrozumienie, otwiera nowe horyzonty w rozumieniu człowieka i społeczeństwa. Konieczna jest ochrona przed umasowieniem.

Angerer Starszy w swojej książce *Powrót człowieka do sztuki* zawarł swoje credo. Postrzega swoje zadanie jako przywrócenie sztuce piękna i fantazji, tajemnicy i mitu. Dla niego sztuka jest czymś więcej niż tylko realistycznym przedstawieniem:

– "Po prostu nie mogę uwierzyć, że nasz świat można zredukować do efektów czysto biochemicznych. To właśnie tajemnice w ich złożoności są lepsze od łatwiej zrozumiałego pragmatyzmu".

Zacytujmy kolejne fragmenty wypowiedzi artysty:

– "Termin "wynałazek" jest wynalazkiem człowieka, cała reszta jest zasługą jedynie odkrycia i okiełznania owych praw natury. Nawet jako artysta jestem tylko produktem boskiego stworzenia i, przy wszystkich moich możliwych talentach, tylko twórcą drugiego stopnia".

– "Jeśli nie wierzysz w piekło, nie znajdziesz nieba" – usłyszałem kiedyś.

– "Prawdą jest, że technologia i nauka przynoszą korzyści, ale z dnia na dzień nasz nowo zbudowany świat staje się brzydszy, a nasze życie w nim bardziej kontrolowane i zniewolone, aż w końcu stworzyliśmy nieartystyczne, ale sztuczne piękna na ziemi, w których następnie musimy wegetować?"

– "Jestem głęboko przekonany, że odrodzenie wielkiej sztuki z jej wyobraźnią, opartej na naszej bogatej europejskiej tradycji, ma realną szansę tylko poprzez całkowitą niezależność od dzisiejszego dominującego przemysłu kulturalnego. Tylko w ten sposób możliwy jest "powrót człowieka do sztuki"".

Angerer Starszy to jeden z najbardziej wszechstronnych i utalentowanych artystów tego stulecia. Również jeśli chodzi o fantastyczne światy filmowe w USA, nie można nie zauważyć wpływów płynących z Dolnej Bawarii. Kreatywne pomysły Angerera Starszego na "Niekończącą się opowieść II" (produkcja Warner Bros.) nie tylko przyniosły mu Bawarską Nagrodę Filmową, ale także zainspirowały miliony widzów. Jego fantastyczne obrazy sprzedają się na całym świecie.

W lipcu 2004 roku, kiedy Francja świętowała "100. urodziny Salvadora Dali", Angerer Starszy reprezentował sztukę wysoką swoimi kompletnymi dziełami i zaprojektował plakat "Hommage à Dali". Niezależnie od tego, czy chodziło o projekt oprawy oświetleniowej (sześciometrowy żyrandol Angerera, żyrandol w kształcie 113 strusich jajek), czy inne prace, jego klientami było wielu prywatnych kolekcjonerów i entuzjastów sztuki, a także magazyn informacyjny "Der Spiegel" (tytuł okładki), a on sam stworzył fantastyczny zamek Getriebe-Burg z oryginalnej skrzyni biegów Audi. Dla Wolf Klimatechnik stworzył technologię i sztukę z fantastycznymi transformacjami, a tym samym nową szkołę widzenia.

HUBERT SAWATZKI
DYREKTOR MUSEUM IM SCHAFSTALL

KONCERT JUBILEUSZOWY XXX-LECIA POLARTU W FILHARMONII KRAKOWSKIEJ



Bonner Jugendsinfonieorchester po Koncercie XXX-lecia POLART-u w Filharmonii Krakowskiej. Andreas Winnen (w ostatnim rzędzie, piąty od lewej) i Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska



IRENA KACZMARCZYK

KONCERTY FESTIWALOWE

2023 rok dla Stowarzyszenia Twórczego POLART był spektakularny. Jubileuszowy. Koncertowy. Obfitował w piękne wydarzenia związane z obchodami XXX-lecia POLART-u i XI edycją Międzynarodowego Festiwalu „Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy Schubert-Chopin-Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze”.

Przenikanie się sztuk dało o sobie znać 10 września w ekskluzywnych wnętrzach Zamku Królewskiego w Niepołomicach, gdzie koneserzy malarstwa z gatunku realizmu magicznego mogli nasycić oczy wspaniałymi obrazami wybitnego niemieckiego artysty Ludwiga Angerera der Ältere, zaproszonego przez POLART do udziału w tegorocznym Festiwalu, a potem wysłuchać recitalu pianistki Izabeli Jutrzenki Trzebiatowskiej, w repertuarze którego znalazły się utwory Fryderyka Chopina, a w tym *Polonezy op.26*, *Nokturn cis-moll op.27*, *walce i SHERZO h-moll*.

Artysta malarz i pianistka poznali się w 2017 roku w Museum am Schafstall, gdzie on prezentował swoje obrazy a ona grała recital i od tamtej pory darzą się wzajemną sympatią, nic więc dziwnego, że również tym razem, na prośbę Ludwiga Angerera der Ältere, Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska usiadła do fortepianu, uświetniając (i to jak!) jubileuszowe obchody POLART-u.

Niespełna w miesiąc po tamtym chopinowskim recitalu, Izabela Jutrzenka Trzebiatowska wystąpiła ponownie w sali koncertowej Zamku Królewskiego w Niepołomicach, tym razem z Andreasem Winnenem i jego, przybyłą właśnie z Bonn orkiestrą. Nie był to pierwszy zresztą występ tego niemieckiego





dyrygenta w Krakowie, który najwyraźniej upodobał sobie nasze miasto i zjawił się tu już po raz trzeci, zmieniając jedynie orkiestry. W 2018 przybył z orkiestrą Symfoniczną TK Koln z Kolonii, a 2019 z Fryburga. Niestety pandemia Covid 19 zakłóciła tę artystyczną współpracę.

Centralnym wydarzeniem festiwalowych obchodów jubileuszu XXX-lecia okazał się jednak występ krakowskiej pianistki w Filharmonii Krakowskiej, gdzie Izabela Jutrzenka Trzebiatowska, od ponad roku doktor sztuk, wystąpiła wraz z niemiecką orkiestrą młodzieżową, Bonner Jugendsymphonieorchester, wzmocnioną o członków zespołu TH Koln, pod batutą charyzmatycznego Andreasa Winnena.



W ramach Koncertu XXX-lecia POLART-u zaprezentowali *III Koncert Fortepianowy* Ludwiga van Beethovena, ale dało się również słyszeć utwory Griega i w solistycznym wykonaniu Izabeli, Chopina, a nawet wykonany przez orkiestrę na bis fragment ze *Suity Carmen* Bizeta, który spotęgował aplauz. Koncert poprowadził znakomity, jak zawsze w roli konferansjera, Andrzej Zborowski.

Wypełniona do ostatniego krzesła widownia doznała niezwykłych artystycznych wrażeń i żywo zareagowała *standing ovation*. Perfekcyjne wykonanie utworów, emanujące świeżością, finezją oczarowały liczną, wielopokoleniową publiczność.

Słyszało się o tym w komentarzach podczas przerwy.



Patrzyłam na rozgadanych przy kawiarnianych stolikach zachwyconych uczestników symfonicznego koncertu i mimo woli przywołałam w pamięci koncert w Royal Albert Hall (2017) w Londynie – ekskluzywne towarzystwo... mrożone na parapetach szampany... i skromną lampkę wina, którą zaoferował nam pracujący wtedy w Londynie nasz syn... Może to przepaść, ale Chopin – Grieg – Beethoven jest jeden. Genialny. Wieczny. A talent i rozwijająca się w szybkim tempie kariera dr Izabeli Jutrzenka-Trzebiatowskiej ma przed krakowską artystką wykwiłtne sale koncertowe, nie tylko w Europie...

Czego jej z całego serca życzymy!

"JA KANDYDUJĘ TY GŁOSUJESZ"

Z MARTĄ PATENĄ W PRZEDDZIEŃ WYBORÓW ROZMAWIA JOANNA KRUPIŃSKA-TRZEBIATOWSKA

Joanna Krupińska Trzebiatowska: W maju, gdy piłyśmy kawę na Rynku Głównym, mówiłaś, że nie będziesz kandydować w najbliższych wyborach, a tymczasem 25 sierpnia czytam na Facebooku, że jesteś w drużynie Trzeciej Drogi.

Marta Patena: Nie trzeba było mnie długo przekonywać do kandydowania raz jeszcze w nadchodzących wyborach do Sejmu RP. Każdy pojedynczy głos na demokratyczną opozycję będzie miał znaczenie. Jak w tym przysłowiu: „ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka”.

Najważniejsze jest to, żeby moja 10-letnia wnuczka Nikola i wszystkie dzieci w naszym kraju miały bezpieczną przyszłość – pełną nadziei i możliwości. Obecna sytuacja polityczna i społeczna sprawia, że jestem zaniepokojona tym, w jakim świecie będą żyły. Moje osobiste zaangażowanie w sprawy najmłodszego pokolenia, poparte wieloletnim doświadczeniem, skłoniło mnie do podjęcia tej trudnej decyzji.

Nie zgadzasz się z kierunkiem, w którym obecna partia rządząca prowadzi kraj?

Oczywiście, że nie.

Widzę, że nasza krajowa polityka znajduje się na skraju chaosu. Nasze instytucje są osłabione, obywatelskie prawa są podważane, a narastające podziały społeczne sprawiają, że jesteśmy od siebie coraz bardziej oddaleni, niekiedy skłóceni. Jestem pewna, że wielu Polaków podziela te obawy. Odczuwamy brak transparentności i uczciwości. Często widzimy, że decyzje podejmowane są nie z myślą o dobru społeczeństwa, lecz o partyjnych interesach. To nie może trwać dłużej. Zamykam listę kandydatów Trzeciej Drogi w okręgu 13.. Może: „ostatni będą pierwszymi”?

Jesteś członkiem PSL -u?

– Nie. Bardziej sympatykiem z powodu ogromnego uznania dla młodego polityka – Władysława Kosiniaka- Kamysza, prezesa PSL- u. Poznałam go 13 lat temu, gdy został Radnym Miasta Krakowa. Przez rok mogłam obserwować poczynania trzydziestoletniego radnego, na sesjach i komisjach Rady. Po roku został Ministrem Pracy i Polityki Społecznej w rządzie, wtedy mojego szefa partyjnego, Donalda Tuska. Po rozstaniu się z PO kandydowałam do Sejmiku z grupą samorządowców, a w 2019 roku w parlamentarnych wyborach wsparłam listę Koalicji Polskiej, której szefem jest właśnie Władysław



W Filharmonii Krakowskiej

10.10.2023 od lewej:

Aleksander Miszalski (Poseł na Sejm)

Marta Patena, Joanna Krupińska-Trzebiatowska

Kosiniak-Kamysz. Wtedy moją liderką na liście była Agnieszka Ścigaj, obecnie na liście PiS– u. Po tamtych wyborach zostałam społeczną asystentką posła Władysława Kosiniaka-Kamysza, ale w czasie pandemii covid utrudnił naszą współpracę z uwagi na brak bezpośrednich kontaktów z mieszkańcami. W wyborach prezydenckich 2020 roku angażowałam się w kampanię mojego partyjnego i społecznego „guru”.

Program wyborczy Trzeciej Drogi?

– Odpowiada mi, chociaż niektóre jego elementy są mi bliższe, inne dalsze, ale wszystkie w pełni akceptuję.

To bliżej o tych bliższych?

– Te, które bezpośrednio służą bezpieczeństwu rodziny: podatki gwarantujące bezpieczeństwo ekonomiczne, łatwy dostęp do służby zdrowia i edukacja stanowiąca o przyszłości młodego pokolenia („takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”).

Masz na myśli obniżenie podatków?

– Raczej Rodzinny PIT uzależniający wysokość podatku dochodowego od wielkości rodziny, tak aby przy jednym dziecku była wyraźna ulga, a od trzeciego dziecka podatek był symboliczny.

Wierzysz, że uda się uzdrowić służbę zdrowia?

– Konieczne jest wyeliminowanie kolejek do lekarzy. Przypominę, że 4 lata temu kolejki były tylko do lekarzy specjalistów, a obecnie po dalszych rządach PiS– u są także do lekarzy rodzinnych. Postulujemy, aby NFZ płacił za prywatną wizytę, jeśli w ciągu 60 dni nie dostaniesz się do specjalisty.

Czy szkolnictwo czeka kolejna rewolucja?

– Nie, raczej dofinansowanie na poziomie 6 procent PKB co-rocennie z przeznaczeniem na język angielski, ciepły posiłek dla potrzebujących, psychologa i niezbędne terapie. Najważniejsze to odpolitycznienie szkoły. W 2014 roku moi ówczesni koledzy partyjni z PO nominowali radną Barbarę Nowak na przewodniczącą Komisji Edukacji w Radzie Miasta Krakowa, no i popatrz, dzisiaj wszyscy spijamy jakże kwaśną śmietanę wynikłą z tamtej decyzji.

A twój minister Czarnek?

Proszę o inne pytanie, bo nie skończymy tej rozmowy. Wiesz, że dalej jestem czynną zawodowo nauczycielką matematyki i na własnej skórze oraz „skórze moich uczniów” odczuwam pomysły ministra. Z resztą minister ma świadomość krytycznej opinii środowiska edukacyjnego, bo próbuje kupić w przeddzień wyborów, nasze głosy za 900 złotych netto dla każdego nauczyciela. Szkoda tylko, że nie płaci ich ze swojej kieszeni, tylko z kieszeni podatników, a więc Twojej i mojej.

Jak widzisz prawo kobiet do samostanowienia o sobie?

– To oczywiste. Hasło Trzeciej Drogi „Kobiety do przodu!” było,

jest i zawsze będzie mi bliskie. W każdej życiowej roli oraz w każdym wieku kobieta musi mieć poczucie swojej siły i wartości. Stąd jestem członkiem Stowarzyszenia „Kobiety w Centrum”. Widziałas na FB moje zdjęcie z różowymi skrzydłami. Symboliczne. Każda kobieta powinna uwierzyć, że może mieć albo, że ma takie skrzydła! Sprawy kobiet podzieliłabym na dwa tematy: eliminowanie zagrożeń oraz rozwój osobisty.

Czyli osobno czarne marsze i osobno Krakowianki 50+ ?

– Tak. W sprawach aborcji nie zmieniłam zdania. Jestem za przywróceniem prawa z 1993 roku. Obowiązywało, gdy byłam dojrzałą kobietą i nie zauważyłam, by zezwalało na masowe dokonywanie aborcji. Należy jednak wzmocnić instytucje wspomagające rodzinę i samotne kobiety stojące przed koniecznością podjęcia trudnej decyzji tak, aby miały pewność, że mogą liczyć na wsparcie ze strony instytucji państwowych i społecznych w przyszłości. A w referendum pytać o to, dopiero wtedy, gdy każda kobieta będzie miała świadomość, że instytucje te są już ustanowione. Tak rozumiem ochronę każdego życia od poczęcia, nie inaczej. Taka była rola mojej czarnej parasolki w czarnym marszu i protestach na Rynku Głównym.

Teraz Krakowianki 50+.

– W 2009 roku postanowiłam się podzielić refleksjami po przeczytaniu książki Życie zaczyna się po pięćdziesiątce, z innymi kobietami. Miałam wtedy rację, że inne Panie też chętnie uczestniczą w takich spotkaniach i dzielą się swoją wiedzą, doświadczeniem i talentem z innymi. Dlaczego 50+? Bo odczuwałam, że właśnie ta grupa wiekowa może mieć niedosyt publicznej przestrzeni. Przez 10 lat spotykałyśmy się w sobotę, w samo południe w Urzędzie Miasta Krakowa, w najładniejszej w naszym mieście sali: Sali obrad RMK im. S. Wyspiańskiego. Z wielką uwagą słuchałyśmy wzajemnych wystąpień a rozpoczęte wątki tematyczne kontynuowałyśmy przy kawie w innych salach do późnego popołudnia. Tak celebrowałyśmy nasze święto, Dzień Kobiet, pomimo lekceważenia go przez innych, głównie mężczyzn. No, ale oni są z Marsa, więc wszystko zrozumią. Zainteresowani tym tematem mogą odwiedzić moją stronę internetową www.patena.pl, gdzie znajdują się opisy tamtych spotkań.

Wracając do programu wyborczego Trzeciej Drogi, co jeszcze w nim istotnego?

– Liderzy Trzeciej Drogi porozumieli się w kwestiach: bezpieczeństwa żywnościowego oraz programów takich jak: zielona Polska, tani prąd, czyste powietrze, dobrowolny ZUS dla mikrofirm zagrożonych niewypłacalnością, asystent osobisty dla osób z niepełnosprawnościami, mieszkanie w dobrej cenie i akademik za złotówkę dla studentów spoza wielkich miast, państwo jako uczciwy pracodawca, nowoczesna armia a w tym 50 procent wydatków na modernizację wojska

w polskich zakładach zbrojeniowych. Szczegóły na stronach internetowych obu ugrupowań. Przepraszam. Zapomniałam o ważnej rzeczy: *In vitro* finansowane z budżetu państwa dla potrzebujących.

Nic o sądach, w obronie których protestowałaś?

– Jasne, że jest. Uczestniczę w konwencjach programowych i o tym też była mowa. PiS obiecywał skrócenie czasu trwania postępowań sądowych, a w rezultacie nieprzemyślanych działań ich czas się wydłużył. Poważniejszym problemem jest naruszenie niezawisłości sędziowskiej, przenoszenie sędziów bez ich zgody, zawieszanie, wszczynanie niezasadnych postępowań dyscyplinarnych, a także mianowali „swoich”, w pełni zależnych od ministra Z. Ziobro prezesów sądów. Dotyczy to też Prokuratury, że nie wspomnę o Trybunale Julii Przyłębskiej. Utrata przez Polskę środków należnych z Planu Odbudowy to jawne działanie na szkodę wszystkich Polaków. Co gorsza, rząd nie robi nic, aby wypełnić zobowiązania w zakresie praworządności, bo wszystko co tej pory zrobiono to tylko pozoracja. Nasi liderzy wspólnym głosem deklarują: należy przywrócić normalność w zakresie niezależność sądów i niezależność od władzy ustawodawczej i wykonawczej. Musimy zmienić tę władzę.

Dlaczego nie zmieniliśmy jej po ich pierwszej kadencji?

– Bo jeszcze, jako całe społeczeństwo, nie byliśmy tak krytyczni? Bo dopiero się rozpędzali w realizacji swoich pomysłów? Bo jeszcze było zbyt mało odkrytych afer? Nie wiem, ale żał mi, że to nie nastąpiło. Nie potrzebujemy dodatkowych doświadczeń, w których władza pokazuje nie tylko swoją nieudolność, ale przede wszystkim pazerność. Osobiście: wyłączam słuch, gdy jest o wyczynach PiS – u. I nie mogę zrozumieć, skąd tak duże społeczne poparcie dla tej partii?

Afera z wizami?

– Też. Hipokryzja do kwadratu! Jak można być takim dwulicowym i z jednej strony straszyć Polaków imigrantami, a jednocześnie wydać kilkadziesiąt wiz anonimowym osobom. Szkoda o tym mówić.

Czy czujesz się bezpiecznie w naszym państwie?

– Nie. Wojna w kraju za naszą wschodnią granicą, władze zajęte utrzymaniem władzy w najbliższych wyborach. Za drugim kawałkiem wschodniej granicy grozi nam rozmieszczenie taktycznej broni jądrowej przez Putina, który nie wiadomo, jakiej jeszcze broni użyje, by zmieścić stary świat z powierzchni Ziemi, aż wreszcie czy nie zagrozi istnieniu całej planety. Wprost trudno zrozumieć, że nasz los zależy od jednego szaleńca, którego niemal cały skonsolidowany świat nie jest w stanie powstrzymać. Uważam, że nie wystarczą sankcje gospodarcze ani te zastosowane przez Unię Europejską, Stany Zjednoczone, czy Wielką Brytanię, w sytuacji gdy przeciwnikiem jest człowiek zdeterminowany do granic ostateczności i nie mający już nic do stracenia, uznany przez społeczność międzynarodową za zbrodniarza wojennego, porównywany powszechnie do Hitle-

ra, Mussoliniego i Stalina. Niepokój budzą też relacje Rosji z Chinami, które coraz jawniej manifestują swoje imperialistyczne zakusy. A nasza polityka zagraniczna nie istnieje, no może poza tymi nielegalnymi wizami...

Czy w tej sytuacji polityka rządu prowadzącą do konfrontacji z Unią Europejską może nas niepokoić?

– Podobnie jak większość Polek i Polaków nie wyobrażam sobie Polski poza Unią Europejską, a działania zmierzające do pol-breksitu uważam za działania na szkodę interesu narodowego. Ale niełatwo będzie odsunąć tę władzę od rządzenia. Dlatego „wszystkie ręce na pokład” i także moje – zdecydowałam się kandydować.

Niegdyś POLART hołdował zasadzie stronienia od polityki, kiedy jednak ...

– Nie te czasy. Obecna polityka niszczy, a może nawet zabija kulturę. Popatrz: przez ostatnie trzydzieści lat po odzyskaniu niepodległości, politycy nie cenzurowali kultury. Ale PiS zdeptał i to. Kilka bliskich mi przykładów. Wydaje cenzurę spektaklom teatralnym, których nie oglądał. Opinia pani kurator Barbary Nowak o spektaklu *Dziady* w Teatrze Słowackiego w Krakowie skutkowałą decyzją o odwołaniu Dyrektora Teatru. Prezesowi PiS nie podoba się film Agnieszki Holland „Zielona granica” chociaż go nie widział. Minister odbiera dotację za opublikowanie przez prof. Engelking wyników badań o wzajemnych kontaktach Polaków i Żydów, ale pewnie też nie czytał całości tylko wybiórcze fragmenty tej publikacji naukowej. A ta retoryka uzasadnień? To tylko nieliczne przykłady z wielu. Miałam nadzieję, że nie wrócą czasy komuny, która zawłaszczwała sobie rację. Tylko że za komuny, to ja tylko słyszałam, że może być inaczej, a teraz wiem z doświadczenia, że można żyć w demokratycznym kraju. Ludzie całkiem młodzi nie doceniają tej wolności i bagatelizują problem. My już wiemy czym grozić może autokratyczna władza. Oby ci młodzi, którzy nie głosują albo dojrzały, którzy „nie mają na kogo głosować”, albo „mój głos nie ma wpływu” nie załatwili nam, świadomym dziejowej chwili, życia w podłej rzeczywistości.

Dziękuję za rozmowę i życzę powodzenia.



"PO WYBORACH"

Z POSŁEM NA SEJM ALEKSANDREM MISZAŁSKIM

ROZMAWIA JOANNA KRUPIŃSKA-TRZEBIATOWSKA

Joanna Krupińska-Trzebiatowska: Zacznę od gratulacji! Spotkaliśmy się 10.10 w Filharmonii Krakowskiej podczas Koncertu Jubileuszowego XXX-lecia POLART-u w gorącej przedwyborczej atmosferze. Szczęśliwie zdobył Pan mandat i to po raz drugi z rządu, a teraz słyszę, że zamierza Pan ubiegać się o fotel prezydenta Miasta Krakowa? Rozumiem, że skala wyzwań jest niewspółmierna, ale czy ma Pan jakiś gotowy pomysł na uzdrowienie miasta, którego z tego co wiem, największą bolączką są finanse?

Rzeczywiście kondycja finansowa Krakowa pozostawia wiele do życzenia. Sytuacja nie jest jednak dramatyczna, jak starają się to niektórzy przedstawiać. Ostatnie lata były trudne dla samorządów i Kraków nie jest tu wyjątkiem. Zmiany podatkowe wprowadzone przez rządy PiS mocno ograniczyły budżety samorządu. Kraków traci na nich łącznie ponad 860 mln zł rocznie. Musieliśmy przez to ograniczyć inwestycje w budżecie na 2024 r. Nowa większość parlamentarna ma jednak gotowe propozycje i rozwiązania ustawowe, które zwiększą budżety samorządów. Nie chcę wychodzić przed szereg, dlatego nie zdradzę konkretów w tej rozmowie, ale mogę zapewnić wszystkich samorządowców i zatroskanych mieszkańców, że złe czasy dla samorządów już się skończyły. Jeżeli zaś chodzi o Kraków, to opracowaliśmy w Platformie Obywatelskiej sporo projektów poprawiających sytuację miasta. Wystarczy wspomnieć tu o ustawie metropolitalnej dla Krakowa, której jednym z założeń jest zwiększenie udziału tworzących go gmin w podatku PIT, co zapewni nawet 368 mln zł rocznie! To niebagatelna kwota.

Poza finansami, co Pana zdaniem wymaga zmiany lub naprawy, aby poprawić funkcjonowanie aglomeracji? Czy i w jakim kierunku Kraków powinien się rozwijać?

Nie chcę rewolucji. Niezależnie od tego jak dziś mieszkańcy oceniają Prezydenta Majchrowskiego nie można zaprzeczyć, że ostatnie dwadzieścia lat to czas sukcesów Krakowa. Były lepsze i gorsze momenty, jednak bilans jest zdecydowanie na plus. Celem jest wyeliminowanie błędów i przyspieszenie rozwoju Krakowa. Wrzucenie szóstego biegu rozwoju,

o czym mówiłem na 1. Kongresie Krakowskich Przedsiębiorców. Siłą Krakowa są jego mieszkańcy. Niezwykle przedsiębiorczy, zaradni ludzie ceniący sobie wolność i niezależność, a to nasze miasto zawsze zapewniało. Mamy najlepsze w Polsce uczelnie. Fenomenalnych artystów i ludzi kultury. Nie brakuje dużych inwestorów chcących związać swoje biznesy z Krakowem. To wszystko jest naszym atutem. Potrzebujemy więc takich władz miasta, które będą potrafiły z tych składników stworzyć wzajemnie napędzający się mechanizm. Wytworzyć synergię tych podmiotów. Pytanie dotyczy jednak aglomeracji, nie sposób więc nie uzupełnić tematu metropolii krakowskiej. Pojedyncze gminy, nawet te największe i najbogatsze nie są w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb swoich mieszkańców. Polityka transportowa, środowiskowa czy planowanie przestrzenne i promocja turystyczna to zadania, które wręcz lepiej planować i prowadzić wspólnie. W interesie Krakowa i wszystkich okolicznych gmin jest przyjęcie naszej ustawy metropolitalnej i sformalizowanie współpracy, bo po prostu potrzebują tego mieszkańcy.

Jak proponowane przez Pana rozwiązania mają się do programów pozostałych kandydatów, czy jest coś, co daje Panu przewagę. Wiem, że jest Pan absolwentem Uniwersytetu Ekonomicznego, ale w zakresie stosunków międzynarodowych – choć kiedyś był to bardzo elitarny wydział?

Myślę, że jest zdecydowanie za wcześnie na takie pytanie. Tak naprawdę znamy dopiero czterech kandydatów. Ta liczba może się jeszcze wielokrotnie zmienić, zarówno urosnąć, jak i zmaleć. W dodatku żaden ze znanych kandydatów nie przedstawił jeszcze swojego programu, bo jest po prostu na to za wcześnie. Nie oznacza to, że moje propozycje dla mieszkańców dopiero powstają. Od półtora roku krakowska PO przygotowuje się do tych wyborów. Zorganizowaliśmy akcję "Kraków Przyszłości", w ramach której zbieraliśmy ankiety wśród mieszkańców. Pytania dotyczyły dosłownie wszelkich tematów ważnych dla miasta: od polityki transportowej, przez mieszkaniową aż po równościową. Wiemy dokładnie, co mieszkańcy myślą o Krakowie. Jakich zmian oczekują oraz z czego nie są zadowoleni. Rozmawialiśmy z ekspertami o konkretnych rozwiązaniach dla przedstawionych problemów. Na tej bazie powstał program,

który zaczniemy przedstawiać po oficjalnym rozpoczęciu kampanii.

Jest wiele problemów społecznych wymagających pilnego uregulowania, jak choćby kwestia zmian w prawie aborcyjnym, które pośrednio były powodem masowego ruszenia przez Polki do urn wyborczych. Czy uda się ten problem rozwiązać w sposób zapewniający kobietom minimum bezpieczeństwa?

To jeden z priorytetów Koalicji Obywatelskiej, z którym szliśmy do tych wyborów. Sytuacja nie jest jednak prosta. Partie tworzące koalicję rządzącą mają w tym względzie różne poglądy. Koalicja Obywatelska i Lewica chcą liberalizacji przepisów i zapewnienia kobietom dostępu do bezpiecznego zabiegu terminacji ciąży do 12 tygodnia. Jednak PSL i partia Szymona Hołowni mają w tej kwestii odmienne zdanie. Chcą jedynie powrotu do tzw. "kompromisu aborcyjnego". Niestety KO i Lewicy nie wystarczy głosów, by samodzielnie przeprowadzić ustawę liberalizującą przez Sejm. Wszystko będzie zależęć od postawy PSL i Polski 2050. Jestem przekonany, że wiele kobiet chcących liberalizacji tych przepisów z tych lub innych względów zdecydowało się zagłosować na Trzecią Drogę. Drogie Panie, teraz musicie przekonywać i naciskać na posłów, aby zagłosowali za naszym projektem. My także będziemy to robić. Polki już wielokrotnie pokazywały, że potrafią walczyć o swoje i lepiej im wówczas nie wchodzić w drogę, dlatego jestem przekonany, że znajdzie się w ciągu tej kadencji większość dla przegłosowania liberalizacji tych przepisów. Jest oczywiście jeszcze przeszkoda w postaci Prezydenta Dudy i Trybunału Konstytucyjnego, ale to już kolejny rozdział, na który przyjdzie jeszcze czas.

Jak Pan widzi finansowanie *in vitro*?

Widzę je bardzo pozytywnie! O dostęp do *in vitro* Polki i Polacy mogą już być spokojni. To pierwsza z ustaw, którymi zajął się Sejm tej kadencji. Dostęp do *in vitro* to nie sprawa światopoglądowa, jak chcieliby to przedstawiać niektórzy. To po prostu przywracanie ludziom szansy na szczęście. Oparte na naukowych sposobach, a tym samym najbardziej skuteczne. W Europie problem niepłodności i bezpłodności dotyka nawet 20 proc. ludzi. Niestety wartość ta rośnie. Sam zabieg jest dość drogi, a często trzeba go powtarzać. To jednak wydatek, na który państwo może sobie pozwolić. Po prostu wszystkim nam się to opłaca. W latach 2008-2015 dzięki krajowemu programowi *in vitro* urodziło się w Polsce ponad 25 tys. dzieci. Gdy PiS rozpoczął swoje rządy, program ten został natychmiast wycofany. Zamiast *in vitro* wprowadzili swój własny program naprotechnologii, który okazał się wielkim niewypałem. Przez osiem ostatnich lat dzięki *in vitro* mogło urodzić się 100 tys. dzieci. Nie urodziło się wyłącznie z winy PiS. Ich politycy twierdzili, że nas na *in vitro* po prostu nie stać. Odpowiadam im wprost - nas nie stać na niewprowadzenie programu *in vitro*! Muszę jednak zauważyć, że po przegraniu wyborów ci sami politycy nagle zmienili swoje stanowisko. Nagle okazuje się, że sam Mateusz Morawiecki był zwolennikiem *in vitro*. Cóż... albo premier jest osobą bardzo nieśmia-

ło prezentującą swoje poglądy, albo cynikiem. Odpowiedź na to pytanie zostawiam Państwu.

Kwestia rozdziału Kościoła od Państwa, wycofania religii ze szkół, uregulowania związków partnerskich? Jest Pan za czy przeciw?

Absolutnie tak! Uregulowanie prawne relacji i związków jednopłciowych jest czymś absolutnie oczywistym. Nie ma żadnych racjonalnych powodów, by przeciwko temu oponować. Paradoksalnie polityka poprzedniego rządu, ta okropna szczupnia i nagonka na środowisko LGBT poskutkowała wzrostem akceptacji i poparcia dla kwestii związków jednopłciowych. Mnie jednak nie trzeba było przekonywać. Od lat biorę udział w krakowskim marszu równości, wspieram przedstawicieli środowiska LGBT i z nimi współpracuję. Zaś co do rozdziału państwa od Kościoła uważam, że przede wszystkim dla dobra Kościoła Katolickiego trzeba ten rozdział jak najszybciej przywrócić. Kościół odgrywał dużą rolę polityczną i społeczną w dziejach Polski. Miał duży wkład w naszą historię, zwłaszcza w tych najtrudniejszych czasach. Niestety liderzy Kościoła są dziś zaangażowani w politykę. Wywierali ogromny wpływ na to, co działo się w Polsce przez ostatnie osiem lat. Jednocześnie nie zwracali uwagi na to, jak wiele przez to politykowanie tracili. Laicyzacja społeczeństwa zdecydowanie przyspieszyła, a Kościół znalazł się w głębokim kryzysie. Pomożemy więc Kościołowi przez zdecydowanie rozdzielenie go od aparatu państwa. Religia, wiara i przekonania są indywidualną sprawą każdego człowieka i powinny pozostawać w strefie sacrum, zaś polityka w profanum.

A jeśli już o kulturze i o jej twórcach, czy zastanawiał się Pan nad ustawą o artystach zawodowych, której projekt wpłynął podobno do Sejmu? "chodzi o włączenie artystów do powszechnego systemu ubezpieczeń emerytalnych, rentowych i zdrowotnych z jednoczesnym zapewnieniem im mechanizmu wsparcia przy opłacaniu składek". Żadna ze znanych mi osób po ukończeniu wyższej uczelni artystycznej nie może sobie pozwolić na przystąpienie do ubezpieczenia, choćby zdrowotnego.

Oczywiście! To bardzo bliski mi temat. Nie tak dawno temu Kraków odwiedzili posłowie pracujący w sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu. Spotkaliśmy się z artystami i przedstawicielami świata kultury. Obok kwestii odpolitycznienia i uwolnienia kultury temat ustawy o artystach zawodowych był tym najczęściej pojawiającym się. Znam kilku aktorów zatrudnionych na umowie o pracę, ale jest to zdecydowanie wyjątek, a nie reguła. A przecież środowisko jest zdecydowanie większe. Właściwą ustawę posłowie KO przygotowali jeszcze w poprzedniej kadencji Sejmu. Trafiła ona oczywiście do zamrażalki. Jednak teraz nie ma już żadnych przeszkód, aby ustawa ta wróciła do Sejmu i rozpoczęło się jej procedowanie przy udziale strony społecznej. Kraków zawsze był oazą kultury i niezależnej sztuki. Sztuki niepokornej. Czas by państwo zaczęło taką sztukę doceniać.

Dziękuję za rozmowę, Panie Pośle i życzę powodzenia w realizacji szeroko zakrojonych planów.

ANNA ADAMUS-MATUSZYŃSKA

ESG, CZYLI BYĆ ALBO NIE BYĆ BIZNESU W XXI W.

Wprowadzenie

Pokolenie Alfa - to znaczy osoby urodzone po 2010 roku - będą prawdopodobnie pierwszym dobrze przygotowanym do skutecznej walki o prawa człowieka i prawa do godnego życia¹. Już dziś nastolatki zamiast chodzić po galeriach i szukać nowości, wchodzą do szaf swych rodziców oraz babć i dziadków, by znaleźć ciekawe ubranie, które można dopasować, przerobić, a na pewno dzięki któremu można mniej zaśmiecać świat. Jeszcze kilka lat temu zakupy w tak zwanych lumpeksach uznawano za poniżające. Dzisiaj to pewien trend, moda, a może raczej należy podkreślić, że to odpowiedzialność. Co więcej, to pokolenie nie tylko jest uczone o zagrożeniach przyrody wynikających z działalności człowieka, ale także po prostu dostrzega potrzebę oszczędzania wody, bo zaledwie w kilku rzekach można pływać, wie, że trzeba kontrolować zużycie energii, bo rodzice narzekają na wysokie ceny, chce by ich głos był nie tylko słyszany, ale przede wszystkim słuchany, bo jest świadome praw człowieka i wie jak asertywnie domagać się szacunku dla siebie. To pokolenie jest także coraz bardziej świadome istniejących zagrożeń, bo ich stała obecność w mediach społecznościowych powoduje, że są bombardowani licznymi informacjami, często fałszywymi, sprzecznymi a także głupimi wiadomościami, i ono chce się w tym informacyjnym bałaganie zorientować. Jak pokolenie wcześniejsze. Z – chce po prostu żyć, tak pokolenie Alfa będzie chciało po prostu godnie przetrwać.

Tych kilka zdań dotyczących młodego pokolenia jest wprowadzeniem do uzasadnienia, że idea znana jako akronim ESG to nasz, to znaczy starszych pokoleń, obowiązek, konieczność i odpowiedzialność. To my mamy pomóc młodemu pokoleniu żyć zgodnie z ich wartościami oraz zapewnić bezpieczną przyszłość. A biznes, aby nie tylko trwać, ale także przetrwać, musi stanąć na pierwszej linii w kampanii o zrównoważone życie następnych pokoleń.

Dawniej CSR dzisiaj ESG – trochę historii

Zagadnienie odpowiedzialności w gospodarce ma starożytne korzenie. W prawie rzymskim zapisana była odpowiedzialność osoby prowadzącej działalność biznesową w imieniu właściciela. Trzeba było jednak czekać wieki, aby odpowiedzialność nabrała charakteru społecznej. O konieczności społecznej odpowiedzialności wiedział zapewne Andrew Carnegie, amerykański przedsiębiorca, który ostatnie lata swego życia poświęcił filantropii ze szczególnym naciskiem na budowanie bibliotek, zapewnianie pokoju na świecie, edukację i badania naukowe. Jego „Ewangelia bogactwa” omawia między innymi dwie zasady: miłosierdzia - wymagającej, aby szczęśliwsi członkowie społeczeństwa wspierali mniej szczęśliwych oraz wódatrwa,

która zaleca właścicielom opiekę nad majątkiem, z czego wynikają moralne dla nich zobowiązania.

Praktyczną debatę nad zagadnieniem społecznej odpowiedzialności rozpoczęto w latach 60. XX wieku za przyczyną społecznego ruchu kontrkultury kwestionującego normy i wartości ówczesnej kultury miejsko-przemysłowej, który uwypuklił narastające problemy nowoczesności, takie jak obrona praw człowieka czy ochrona środowiska naturalnego. Jednakże definiowanie obowiązków biznesu wobec społeczeństwa rozpoczęto później, dopiero w latach 80. Wówczas określono społeczną odpowiedzialność jako proces analizy społecznych potrzeb i oczekiwań w celu wdrażania programów rozwiązywania narastających problemów. W krajach Unii Europejskiej debatę nad społeczną odpowiedzialnością rozpoczął Jacques Delors, który wraz z grupą europejskich firm podpisał Europejską Deklarację Świata Biznesu Przeciwko Izolacji Społecznej. Liczba organizacji realizujących cele społeczne systematycznie wzrastała, a prawo Unii Europejskiej stopniowo zaczęło wymuszać na biznesie działania społecznie odpowiedzialne. Także w latach 60. rozpoczęto dyskusję nad zrównoważonym rozwojem. Pierwszym, który zwrócił na to uwagę był Sithu U Thant, sekretarz generalny ONZ ogłaszając w maju 1969 roku raport na temat przyrodniczych konsekwencji rozwoju ekonomicznego. Potem kolejne raporty, m.in. Klubu rzymskiego, coraz częściej ujawniały skutki negatywnego wpływu przemysłu na przyrodę, a więc i pośrednio na zdrowie i życie człowieka. XXI wiek, to już czas coraz lepiej znanych zagrożeń, w tym kryzysu klimatycznego, co pociągnęło za sobą liczne działania oddolne, inicjatywy biznesowe, by wreszcie rozpocząć wdrażanie regulacji prawnych, których celem jest dalszy rozwój ekonomiczny, jednak bez kolejnego dewastowania natury.

Podsumowując trzeba podkreślić, że rozwój wiedzy i świadomości na temat zagrożeń, zarówno przyrodniczych, jak i dotyczących naruszania praw człowieka, systematycznie się rozwija. Jak podaje Global ESG Monitor² ludzie coraz bardziej angażują się w kwestie ESG. Znajomość terminu ESG wzrasta, w 2023 akronim znany był 36% badanym, w porównaniu z 30% w roku 2022. Wiedza ta ma wpływ na decyzje ludzi w wielu obszarach – np. na kogo głosują, jaką żywność jedzą i jakie produkty kupują. W 2023 r. 73% badanych uważało, że przedsiębiorstwa powinny podjąć działania w kwestiach związanych z ESG, a 72% zgodziło się z tym, że firmy powinny raportować kwestie ważne dla ich pracowników i klientów. Jak podaje raport z 2023 roku w Polsce korporacje podejmują mniej działań niż w innych

częściach świata. Co więcej, obywatele w Polsce znacznie rzadziej zgadzają się z twierdzeniem, że firmy w Polsce zachowują się etycznie i postępują właściwie (33% w porównaniu z 43% na całym świecie). Badani pracownicy rzadziej zgadzają się z tym, że ich pracodawca rzeczywiście stara się podejmować działania zgodne z ideą ESG (40% w Polsce w porównaniu z 50% na całym świecie, a w Hongonku 85%). Dlatego rodzi się pytanie: czy tempo rozwoju świadomości, zarówno świata biznesu, jak i każdego obywatela, jest wystarczająco szybkie, czy nadąża za prędkością niszczenia środowiska i łamania praw ludzi?

Akronim ESG musi wejść do naszego codziennego języka, jak kiedyś CSR – ang. corporate social responsibility, a oznacza E (environment) – środowisko, S (society) – społeczeństwo, G – (governance) – ład organizacyjny, to znaczy sposób zarządzania organizacją zgodnie z prawem, wewnętrznymi regulacjami, w tym kodeksem postępowania etycznego. CSR – dotyczył przede wszystkim środowiska biznesowego, ESG – dotyczy każdej organizacji, niezależnie od tego kto jest właścicielem, wszystkich sektorów biznesu, a także instytucji publicznych i organizacji pozarządowych i w konsekwencji każdą jednostkę.

Od dobrowolności do konieczności

Filozofia odpowiedzialności coraz częściej propagowana w drugiej połowie XX wieku wyznaczyła paradygmat nie tylko ludzkiemu myśleniu, ale przede wszystkim działaniu, a przed praktyką gospodarczą postawiła wyzwanie odpowiedzialności za, przed i wobec społecznego otoczenia organizacji (interesariuszy). Jeszcze w latach 80. niektóre sektory biznesu rozpoczęły wdrażać programy samoregulacji dotyczące owych społecznych zobowiązań. Na przykład duński bank SBN w 1988 roku zaproponował etyczne zasady postępowania w rachunkowości. W kolejnych latach firmy różnych branż zaczęły brać na siebie zobowiązania społeczne i ekologiczne. W latach 90. pojawiają się standardy odpowiedzialnego biznesu (AA 1000; SA 8000, a potem w 2010 - ISO 26000), które próbują regulować zobowiązania firm wobec pracowników, społeczeństwa i przyrody. Niemniej, pomimo licznych raportów na temat zagrożeń przyrody oraz raportów ujawniających brak poszanowania praw człowieka, nadal działalność na rzecz zrównoważonego rozwoju i społecznej odpowiedzialności miała charakter dobrowolny.

Wpływ rozwoju ekonomicznego na przyrodę i człowieka stawał się w ostatnich latach XX wieku coraz bardziej zauważalny przez społeczeństwo. A badacze zaczęli jasno komunikować przyczyny i ostrzegać przed wszelkimi jego negatywnymi skutkami. Dlatego firmy coraz częściej uwzględniały elementy społecznej odpowiedzialności w swoich strategiach. Jednakże działania te najczęściej dotyczyły firm globalnych, dobrze radzących sobie na rynku. Organizacje mniejsze, o mniejszych dochodach, nie przywiązywały wystarczającej uwagi temu kierunkowi. Przyczyny były różne, ale jedną z najważniejszych był, i chyba nadal jest, brak wiedzy na temat wpływu firmy na środowisko i społeczeństwo, a to pociąga za sobą niski poziom świadomości ludzi dotyczącej

zagrożeń jakie ten wpływ niesie.

Dlatego aktywne działania rozwijające wiedzę i podnoszące świadomość odpowiedzialności podjęła ONZ. W dniach 25-27 września 2015 r., przywódcy krajów członkowskich ONZ przyjęli 17 celów oraz 169 działań z nich wynikających. Skupiają się one wokół 5 obszarów: ludzie, planeta, dobrobyt, pokój, partnerstwo. Stanowią podstawę Agendy 2030 na rzecz zrównoważonego rozwoju świata, uwzględniającej aspekty ekonomiczny, społeczny i środowiskowy. A Unia Europejska od 2001 roku konsekwentnie podejmuje działania, które promują społeczną odpowiedzialność. Publikacja zielonej księgi w 2001 r., powołanie wielostronnego europejskiego forum na temat społecznej odpowiedzialności przedsiębiorstw, w 2006 r. ogłoszenie Europejskiego sojuszu na rzecz CSR, a w końcu opracowanie dyrektywy 2014/95/UE, wpływa na podnoszenie świadomości społecznej odpowiedzialności przedsiębiorców, pracowników i europejskich społeczeństwa.

Jednakże sama świadomość wpływu biznesu na środowisko i społeczeństwo okazuje się niewystarczająca, gdyż organizacje nie mają narzędzi, które pozwalają im rozpoznać wszystkie konsekwencje swoich działań. Dlatego kolejnym krokiem są regulacje prawne, które wymagają by organizacje przygotowywały raporty na temat wpływu swojej działalności na środowiska: naturalne i społeczne. Tak więc, pomimo systematycznego wzrostu wiedzy i świadomości na temat społecznej odpowiedzialności, zaistniała potrzeba by przyspieszyć proces wdrażania strategii społecznej odpowiedzialności. Biznes przebył więc drogę od dobrowolności podejmowania i sprawozdawania takich działań do konieczności ich realizowania i upubliczniania zgodnie z wymogami nowej unijnej dyrektywy - CSRD (Corporate Sustainability Reporting Directive).

Dokąd prowadzi szlak społecznej odpowiedzialności i zrównoważonego rozwoju?

Przyjęta 10 listopada 2022 r. 525 głosami za, przy 60 głosach przeciw i 28 wstrzymujących się, dyrektywa w sprawie sprawozdawczości dotyczącej zrównoważonego rozwoju przedsiębiorstw (CSRD) zobowiązuje firmy do regularnego ujawniania informacji na temat ich wpływu na społeczeństwo i środowisko. Ma to położyć kres zjawiskowi określanemu terminem „greenwashing” polegającemu na nierealizowanych deklaracjach zgodności produktów i usług z zasadami ochrony środowiska, wzmocnić społeczną gospodarkę rynkową Unii oraz położyć podwaliny pod standardy sprawozdawczości w zakresie zrównoważonego rozwoju na poziomie globalnym. Zasady zaczną obowiązywać w latach 2024-2028. Za rok 2024 r. duże spółki interesu publicznego (zatrudniające powyżej 500 pracowników), już objęte wcześniejszą dyrektywą w sprawie sprawozdawczości niefinansowej, będą zobowiązane do opracowania bardziej szczegółowego i według narzuconej metodologii, skonsolidowanego raportu. Za rok 2025 r. przedsiębiorstwa, które obecnie nie podlegają dyrektywie w sprawie sprawozdawczości niefinansowej zatrudniające

ponad 250 pracownikami i/lub mające 40 mln EUR obrotów i/lub 20 mln EUR całkowitych aktywów, będą zobowiązane przygotować taki raport. A za rok sprawozdawczy 2026 obowiązek zostanie rozszerzony na małe i średnie spółki notowane na giełdzie, małe i niezłożone instytucje (określone w art. 4 ust. 1 pkt 145 rozporządzenia (UE) nr 575/2013) pod warunkiem, że są one dużymi jednostkami (notowanymi lub nie) lub małymi i średnimi spółkami giełdowymi oraz wewnętrznymi zakładami ubezpieczeń i wewnętrznymi zakładami reasekuracji (określone w art. 13 pkt 2 oraz 5 dyrektywy Parlamentu Europejskiego i Rady 2009/138/WE) pod warunkiem, że są one dużymi jednostkami (notowanymi lub nie) lub małymi i średnimi spółkami giełdowymi.

Tak więc, szlak został wyznaczony i prowadzi do stopniowej transformacji biznesu - choć w konsekwencji także ten szlak będzie dotyczył organizacji publicznych i społecznych - w kierunku zrównoważonego rozwoju i społecznej odpowiedzialności (ESG) według norm wypracowanych przez kraje członkowskie UE.

Nie ma dobrowolności, pozostała konieczność realizowania celów zrównoważonego rozwoju

Można się zastanawiać, dlaczego świat biznesu ma przygotowywać raporty ESG? Odpowiedź wydaje się oczywista. Społeczeństwo chce wiedzieć, jak działa gospodarka, społeczeństwo chce być pewne, że organizacje są świadome wpływu na природę oraz na ludzi, a takie oczekiwania prowadzą biznes w kierunku rzeczywistego, a nie „papierowego” zrównoważonego rozwoju i społecznej odpowiedzialności za wszelkie wpływy.

Zrównoważony rozwój to koncepcja społeczno-ekonomiczno-zarządcza, która pojawiła się wraz ze zwiększającą się liczbą komunikatów, raportów, wniosków z badań na temat szkód jakie działalność człowieka czyniła środowisku naturalnemu, co w konsekwencji odbija się na zdrowiu i życiu człowieka i całej planety. Stąd przynajmniej od lat 80. coraz więcej osób, a także coraz więcej firm, zaczęło analizować wpływ działalności ludzi, urzędów, produktów czy usług na świat natury i ekosystem. Przez wieki człowiek miał do przyrody stosunek zaborczy i agresywny, by zorientować się, że pewne działania należy wyhamować ze względu na konsekwencje odczuwane przez niego samego. A w XXI wieku zorientowaliśmy się, że samo hamowanie nie wystarczy, trzeba zmienić sposób gospodarowania zasobami naturalnymi, trzeba pozwolić przyrodzie żyć, a nie ją ograniczać, trzeba ratować ekosystem, gdyż brak powstrzymania interwencji człowieka w środowisko prowadzi do katastrofy.

Stąd wzięła się koncepcja zrównoważonego rozwoju (sustainable development), której najbardziej ogólna idea zaleca kontynuowanie rozwoju w sposób, który zapewni kolejnym pokoleniom bezpieczne życie na świecie? Zrównoważony rozwój nie jest tylko społeczno-filozoficzną ideą, jest praktycznym podejściem do zarządzania gospodarstwami, od rodzinnych, przez podmioty gospodarcze, po krajowe i globalne. Podejście to uwzględnia wszelkie wpływy działalności człowieka na przyrodę, ekosystem i jakość życia ludzi. Nie jest jego celem

zatrzymanie rozwoju, ale wprost przeciwnie zapewnienie koniunktury poprzez uwzględnianie trzech obszarów: rozwoju społecznego, gospodarczego i ochrony dóbr natury. Jeszcze kilkanaście lat temu firmy nie uwzględniały tych czynników w swych strategiach. Dzisiaj w 2023 roku jest to już standard zachowań ekonomicznych, najpierw wymuszony przez normy jakości, potem przez interesariuszy i całe społeczeństwo, by stać się standardem regulowanym przez rozwiązania prawne.

Pokolenie Z, które wchodzi na rynek pracy, ma już inne wizje swojej przyszłości niż wcześniejsze generacje. Już wie, że bez zrównoważonej energii (42% badanych podkreśla ten fakt), bez wdrożenia modelu gospodarki o obiegu zamkniętym (39% wskazań) oraz bardziej zrównoważonego transportu publicznego (29% wskazań), trudno będzie zapewnić rozwój tego pokolenia i przyszłym. Jedna czwarta respondentów wyraża także poparcie dla zwiększenia edukacji obywateli na temat zrównoważonego rozwoju³.

Płynie z tego wnioski dla przedsiębiorstw: rozwój – tak, ale nie kosztem przyrody, wzrost – tak, ale nie rozumiany jako zysk, ale jako stabilna i pewna dla ludzi przyszłość, technologia – tak, ale zapewniająca zrównoważoną przyszłość. Zrównoważony rozwój oznacza więc tworzenie symbolicznej jedności: środowiska naturalnego, ludzi i gospodarki, nie można tych trzech filarów rozwoju rozłączać, one muszą być zintegrowane. By jednak budować ową przyszłość trzeba wiedzieć co jeszcze można uratować, co trzeba naprawić oraz co trzeba szybko zmienić. Stąd między innymi konieczność raportowania czynników mających wpływ na środowisko i ludzi.

Raportowanie zrównoważonego rozwoju, czyli co?

Jeszcze w latach 90., gdy coraz częściej przeczytać można było o zatruciu środowiska czy efekcie cieplarnianym, zaczęto opracowywać normy środowiskowe, by w 1996 powstała pierwsza europejska norma dotycząca zarządzania środowiskowego „ISO 14001:1996 System zarządzania środowiskowego. Wymagania i wytyczne stosowania”. Od tamtych lat wydano już ponad 20 norm w tym obszarze, a wdrażanie ich stało się praktycznym standardem w biznesie. Norma standaryzuje konkretną działalność, jednak nie rejestruje faktycznego wpływu działania firmy na środowisko. Taki wpływ można poznać, gdy dokona się analizy konkretnych danych wskazujących zużycie środków, poniesione kary za np. zanieczyszczenia czy liczbę konkretnych zdarzeń. Stąd zaistniała potrzeba raportowania finansowego, znanego już od lat 60. XX wieku oraz raportowania niefinansowego, obejmującego wpływ działalności organizacji na środowisko i społeczeństwo, które rozpoczęto promować w ostatnich latach. Połączenie obu raportów pod względem merytorycznym i formalnym daje raport zintegrowany.

Przez pierwsze dwie dekady XXI wieku firmy miały dużą swobodę w doborze metodologii pozwalającej wypracować raport zintegrowany. Jednak od 2017 roku owa dowolność pomału zostaje zastępowana konkretnymi

wymogami, by w 2024 roku stać się ujednoliconą metodologią, która sprawi, że wyniki będą porównywalne, tak na przestrzeni lat działania konkretnej firmy, jak i pomiędzy firmami, że wyniki będą ujawniać zarówno pozytywny, jaki i negatywny wpływ, że wyniki będą pełniły funkcję zdobywania i rozwoju wiedzy o wpływie, a nie pełniły funkcje marketingowe czy wizerunkowe. Zagadnienie raportowania staje się coraz pilniejszą potrzebą na całym świecie. SEC (Amerykańska Komisja Giełd Papierów Wartościowych) aktualnie zbiera komentarze na temat wprowadzenia obowiązku ujawniania danych ESG dla spółek notowanych na giełdzie. Tymczasem od 6 kwietnia 2022 r. przepisy ESG stały się obowiązkowe w innych miejscach: FCA (Financial Conduct Authority) zastrzegł, że spółki zarejestrowane w Wielkiej Brytanii i spółki LLP (LLP to spółka partnerska z ograniczoną odpowiedzialnością) zatrudniające ponad 500 pracowników i mające roczne obroty przekraczające 500 mln GBP oraz wszystkie brytyjskie jednostki interesu publicznego są zobowiązane do sporządzenia oświadczenia na temat informacji niefinansowych zgodnie z obowiązującymi przepisami dotyczącymi sprawozdawczości. Należy zauważyć, że obowiązek dotyczy nie tylko 1300 największych firm i instytucji finansowych w Wielkiej Brytanii, ale także tysiące firm w ich łańcuchach dostaw. W Danii ujawnianie informacji dotyczących kwestii środowiskowych, społecznych i ładu korporacyjnego jest obowiązkowe od 2009 r. W UE firmy mają również zobowiązania dotyczące zgodności z ESG i muszą dołożyć wszelkich starań, aby ich działalność kwalifikowała się jako zrównoważona, bo tego oczekują inwestorzy i klienci. Na przykład, rozporządzenie UE w sprawie taksonomii określa sześć celów dotyczących łagodzenia skutków i odpowiedzialności. Jest to główny instrument UE służący do kierowania pieniędzy inwestorów na zrównoważone działania i osiągnięcie celów klimatycznych bloku.

Przyczyn, dla których jednorodne raportowanie ESG stało się konieczne jest bardzo wiele. Są to zarówno powody obiektywne, wynikające między innymi z dewastacji środowiska, ale także subiektywne przynoszące firmom konkretne korzyści.

Pierwsza to systematyczny wzrost zapotrzebowania inwestorów na strategię, produkty i usługi uwzględniających ESG. ESG przyciąga klientów zarówno w relacjach B2B, jak i B2C swoimi zrównoważonymi produktami. Co więcej, firma uzyskuje lepszy dostęp do zasobów dzięki silniejszym relacjom ze społecznością. Druga przyczyna wynika z różnorodności oferowanych produktów i usług na rynkach, co powoduje przypisywanie różnej wagi do różnych celów, stosowanie różnorodnych wskaźników, a to powoduje braku porównywalności. Po trzecie, raportowanie przez kilka ostatnich lat miało za zadanie promować firmę poprzez ujawnianie tych wskaźników, które mogły mieć pozytywny wpływ na wizerunek i reputację. A to nie jest celem ESG. Czwarty powód to ograniczanie ryzyk, co w dotychczasowych raportach zajmowało kluczową pozycję. Przyczyna piąta jest wymierna. ESG obniża zużycie, np. energii czy wody, zwiększa

motywację pracowników i przyciąga talenty dzięki większej wiarygodności społecznej, zwiększa zwrot z inwestycji poprzez lepszą alokację kapitału w perspektywie długoterminowej i pozwala uniknąć inwestycji, które mogą się nie opłacać z powodu długoterminowych problemów środowiskowych.

Ostatnią przyczyną konieczności raportowania jest zrozumienie przez zarządzających, pracowników oraz wszystkich interesariuszy wpływu danej firmy na środowisko i społeczeństwo. Bez tego zrozumienia, trudno jest wyznaczać kierunki rozwoju integrujące środowisko, społeczeństwo i gospodarkę. Praktykowanie zrównoważonego rozwoju ujawnione w raportach zwiększa szanse firmy na otrzymanie środków finansowych oraz przyczynia się do usprawnienia wielu operacji. W rzeczywistości zaś zrównoważone przedsiębiorstwa udowadniają, że mogą tworzyć zupełnie nowy świat wartości, niż ten który znamy dotychczas.

Osiągnięcie zrównoważonego rozwoju firmy to proces, który rozpoczyna się od wypracowania strategii i ustanowienia planu działania, następnie realizacji operacyjnej zaplanowanych działań, by w konsekwencji poznać jaki wpływ – pozytywny i negatywny – ma firma na środowisko, społeczeństwo i gospodarkę. Taka wiedza będzie wartościowa dla wszystkich interesariuszy, tych wewnętrznych i zewnętrznych, a w rezultacie dla zrównoważonej przyszłości planety.

Zamiast podsumowania

W historii gospodarczej wyróżnia się kilka etapów rozwoju biznesu: czas chciwości, filantropii, marketingu, zarządzania i w końcu odpowiedzialności⁴. Zmiany demograficzne (starzenie się społeczeństwa), zmiany świadomościowe (pokolenie Z zna swoje prawa i chce by je szanowano, a szczególnie respektowano równowagę między życiem prywatnym, a życiem zawodowym), zmiany klimatyczne, które mają źródła antropogeniczne, to znaczy zostały wywołane przez ludzkość, wyczerpywanie się nieodnawialnych zasobów, zaśmiecanie świata (np. w 2022 roku zebrano w Polsce ponad 1,43 milionów ton odpadów komunalnych), brak zgody na niewłaściwe traktowanie pracowników w miejscu pracy oraz na nieetyczne praktyki w obsłudze klientów, to fakty, które potwierdzają konieczność nie tylko refleksji, ale przed wszystkim społecznej dyskusji, podczas której wypracowuje się narzędzia zapewniające pokoleniu Alfa i kolejnym, godne i zdrowe życie.

ESG to nie tylko wymóg stawiany biznesowi. To ultimatum, wobec którego staje każda osoba: albo zabiegać będziemy o zrównoważony rozwój, albo skazemy kolejne pokolenia na walkę o godność, wodę i ... przetrwanie.

Przypisy:

1 M. McCrindle, A. Fell, (2020). Understanding generation Alpha. McCrindle Research Pty Ltd.

2 Raporty znaleźć można na stronie: <https://secnewgate.com/esg-monitor/reports/>

3 Podaję za: <https://www.dell.com/en-us/dt/perspectives/gen-z.htm#> (dostęp 28. 01. 2023).

4 Visser, Wayne. (2010). The Age of Responsibility: CSR 2.0 and the New DNA of Business. Journal of Business Systems, Governance & Ethics. 5. 10.15209/jbsge.v5i3.185.



KAZIMIERZ BURNAT

Niedosyt

Wielość odprysków pamięci
komizm spojrzeń
dramatyzm gestów
oczarowanie nedorzecznością
brakuje mu
niezwykłości dotyku
bliskiego oddechu
zadumania
jest jego przebudzeniem
myślą biciem serca
to dla niej nie znaczy nic
relikwie dawnych słów
początkiem larum
owładnięty dreszczem
czeka na świt

W ich oczach
delikatne odbicie serc
wypełnia jałowość rozłąki
nektarem wzruszeń
chwile słodkie
jak obiecany tort
szare pnie drzew
namiastki krzewów
zamierające kwilenie
i suchy trzepot
czas wyszał
z łąk zieleni
chwile gorzkie
jak czekolada
przeszłość –
daremna mitręgą
przyszłość –
wypełnieniem niebios lazurem

Na ławce

Wokół wilgotne róże
zakorzeniają rozrzewnienie
trzask zerwanej struny
konanie akordów
bezgłos
skupienie nad tym
co w nim zostało
to może być okrutne
jednak w natłoku
skomplikowanych skojarzeń
wędruj ścieżką wspomnień
i dla pozorów
nie spłycaj ich głębi



Mateusz Prendota

jest absolwentem Wydziału Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz studiów podyplomowych z zarządzania kulturą tej uczelni. W latach 2008-2019 jako artysta śpiewak Chóru Filharmonii Krakowskiej uczestniczył w koncertach w kraju i za granicą, wykonując również partie solowe. W roku 2011 został prezesem Stowarzyszenia Passionart, gdzie zorganizował prawie 500 koncertów, a także liczne festiwale muzyczne. Działające przy stowarzyszeniu zespoły – chór Passionart i Górecki Chamber Choir oraz orkiestra symfoniczna Passionart – zrzeszają łącznie ponad 250 młodych i zdolnych muzyków. Organizacja przygotowała liczne trasy koncertowe, prowadzące m.in. do Włoch, Niemiec, Francji, Hiszpanii, Portugalii czy Kolumbii. Mateusz Prendota zainicjował krakowski festiwal operowy Royal Opera Festival, organizowany wraz z niemieckim Rossini in Wildbad Belcanto Opera Festival. Jako prezydent Polskiej Federacji Pueri Cantores, zrzeszającej 40 chórów z całego świata, zorganizował dwa kongresy krajowe – w Poznaniu i Rzeszowie – oraz dwa międzynarodowe – w Rio de Janeiro i w Rzymie. Będąc członkiem renomowanych zespołów, uczestniczył w wydaniu wielu płyt, w tym nominowanych do nagrody fonograficznej „Fryderyk” publikacji *Krakowscy śpiewacy w hołdzie H.M. Góreckiemu* oraz *Quo vadis* Feliksa Nowowiejskiego, których był także producentem. Od 2020 roku pełni funkcję Dyrektora Naczelnego Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie.

Mateusz Prendota fot. Krzysztof Kalinowski

O MUZYCZNYCH PASJACH Z DYREKTOREM FILHARMONII KRAKOWSKIEJ MATEUSZEM PRENDOTĄ ROZMAWIA IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA

Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska:

W swojej nocie biograficznej podaje pan, że jest absolwentem Wydziału Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dlaczego wybrał pan historię, skoro można przypuszczać, że już wtedy miał pan zainteresowania muzyczne?

Mateusz Prendota:

Moje życie tak naprawdę związane było z trzema zagadnieniami: ze sportem, z historią, tudzież z przedmiotami humanistycznymi, a także z muzyką. Tym, co mnie najbardziej ukształtowało na całe życie, był chór chłopięcy Pueri Cantores Tarnovienses przy Katedrze Tarnowskiej, w którym przez jedenaście lat śpiewałem w altach i w tenorach, od trzeciej klasy szkoły podstawowej. Muzyka i sztuka towarzyszyła mi od najmłodszych lat i to one ukierunkowały moją wrażliwość na dalszych etapach. Jeżeli chodzi o samą uczelnię, to poza historią studiowałem też stosunki międzynarodowe z językiem arabskim w Instytucie Bliskiego i Dalekiego Wschodu, zrobiłem też studia podyplomowe z kultury, języka i gospodarki Chin, z zarządzania kulturą, a teraz jestem na studiach Lean Management oraz Lean Office. Tak naprawdę mam setki zainteresowań, ale zawsze na pierwszym miejscu była muzyka.

Jako członek Chóru chłopięcego zetknął się pan z księdzem profesorem Tyrałą?



Dni Muzyki Organowej Chór i Orkiestra Filharmonii Krakowskiej pod batutą Łukasza Borowicza fot. Krzysztof Kalinowski

Najpierw z założycielem Pueri Cantores Tarnovienses, profesorem Andrzejem Zającem, potem z profesorem Robertem Tyrałą, który był asystentem księdza Zająca. Poznałem go jako młody chłopiec, ponownie spotkaliśmy się w czasie moich studiów na Uniwersytecie Papieskim, gdzie zajmował się muzyką kościelną. Później śpiewałem w chórze, którego on był kuratorem.

Można domyślać się, że ksiądz profesor był dla pana mentorem?

Miałem kilka takich osób. Jedną z nich był prof. Włodzimierz Siedlik, wieloletni dyrektor Chóru Polskiego Radia. Drugim był ksiądz Robert Tyrała, który skierował moje zainteresowania na Federację Pueri Cantores, zrzeszającą chóry katolickie z całego świata. W Polsce jest czterdzieści takich chórów. Najpierw byłem sekretarzem księdza profesora, a później przez cztery lata prezydentem Federacji. Najważniejszym przejawem jej działalności są organizowane co dwa lub trzy lata kongresy. W 2007 roku w krakowskich Łagiewnikach odbył się kongres, na który przyjechało trzy tysiące śpiewaków z całego świata – byłem wówczas szefem wolontariatu. Sam organizowałem kongresy ogólnopolskie, natomiast w organizacji międzynarodowej odpowiadałem za Europę środkową i wschodnią.

Śpiewał pan również w chórze akademickim Uniwersytetu Jagiellońskiego?

Tak, a ponadto animowałem życie chóralne. Bardzo długo śpiewałem w chórze Psalmodia Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II. To właśnie dla tamtego chóru pisałem

i organizowałem pierwsze projekty oraz festiwale. Potem założyłem stowarzyszenie.

Stanowisko Dyrektora Naczelnego objął pan w 2020 roku, jednakże z Filharmonią Krakowską był pan związany jako śpiewak o wiele wcześniej?

Tak, od 2008 roku. To kolejna historia, która wiąże się z tym, co towarzyszyło mi przez całe życie, a zapoczątkowane zostało w Tarnowie. Kiedy przyjechałem na studia do Krakowa, profesor Zajac zabrał mnie na próbę Psalmidii prowadzoną przez profesora Siedlika, abym mógł kontynuować moją pasję śpiewania w chórze. Włodzimierz Siedlik dyrygował w tamtym czasie również Chórem Polskiego Radia. Do Chóru Filharmonii Krakowskiej przyszedłem na zastępstwo i już tu zostałem, co sobie zawsze poczytywałem za ogromny zaszczyt. Studiując jednocześnie pracowałem w Filharmonii.

To zaskakujące, że był pan związany aż z tyloma różnymi zespołami.

Tenory zawsze są potrzebne!

Wiadomo, że przez wiele lat był pan związany ze Stowarzyszeniem Passionart. Czy może powiedzieć pan coś więcej na temat jego powstania?

Stowarzyszenie stworzyli członkowie chóru Psalmodia. Miało ono przekuć nasze projekty w dalsze działania. Na przestrzeni ośmiu lat byłem jego prezesem, ale przekazałem tę funkcję następcy. Stworzyliśmy kilka festiwali – część z nich stanowiło połączenie mojej pasji historycznej z muzyką. Tak powstał na przykład Festiwal Wolnej i Niezawisłej, a także patriotyczny



Muzyka Polska OdNova Chór i Orkiestra Filharmonii Krakowskiej pod batutą Sebastiana Perłowskiego fot. Krzysztof Kalinowski

festiwal Henryka Rasiewicza „Kima”. Z wydarzeniem tym jestem mocno związany, bo jeździłem po całej Polsce przesłuchiwać zespoły wykonujące pieśni patriotyczne i utwory z repertuaru poezji śpiewanej. Laureaci festiwalu brali udział w koncertach galowych organizowanych wspólnie z Instytutem Pamięci Narodowej i innymi organizacjami patriotycznymi. Było wiele takich programów: jeden poświęcony Solidarności, drugi Państwu Podziemnemu, trzeci I Rzeczypospolitej, czwarty – Żołnierzom Wyklętym. Oprócz wspomnianych przedsięwzięć powstawały także inne scenariusze, niektóre bardzo ciekawe projekty, jak ten łączący orkiestrę symfoniczną, chór i muzyków hip-hopowych. Jeździliśmy po szkołach średnich, technikach. Tworzyliśmy również projekty filharmoniczne z muzyką klasyczną, a w tym trasy koncertowe.

Połączenie muzyki klasycznej i hip-hopu wydaje się niezwykle interesujące...

Wydarzenie to miało bardzo pozytywny odbiór wśród młodzieży – część z tych osób po raz pierwszy widziała skrzypce czy kontrabas. Stworzyliśmy ponadto festiwal operowy przy współpracy z niemieckim festiwalem operowym Rossiniego w Wildbad, gdzie jeździłem od 2010 roku. Nagrywamy tam też płyty ze znakomitymi solistami i dyrygentami. Wildbad to piękna miejscowość uzdrowska w Szwarcwaldzie, na pograniczu Szwajcarii, Francji i Niemiec.

W jaki sposób udało się panu nawiązać kontakty z festiwalem w Wildbad?

Decyzję o moim pierwszym tam wyjeździe podjąłem w dwa dni. Musiałem nauczyć się *Kopciuszka* Rossiniego na pamięć,

bo za pierwszym razem pojechałem tam jako chórzysta. Uzdrowisko od razu mnie zauroczyło. Mówimy, że tam się płacze dwa razy: jak się przyjeżdża, i jak się wyjeżdża – z tęsknoty. Przez parę lat jeździłem tam jako chórzysta, a potem byłem odpowiedzialny za chór podczas produkcji *Wilhelma Tella*, którego wykonanie trwało łącznie z przerwami sześć godzin. Od sześciu lat nasza współpraca z Rossini in Wildbad. Belcanto Opera Festival odbywa się pod szyldem Royal Opera Festival w Krakowie. W ramach tego festiwalu przygotowujemy produkcje, które potem są wystawiane w Niemczech, co pozwala na wykonanie w krótkim czasie kilkunastu koncertów z mniej znanymi dziełami. Niektórzy ironicznie mówią, że jak ktoś zna jedną operę Rossiniego, to już zna je wszystkie. Ja się z tym nie zgadzam. Podczas tego festiwalu zostało wykonanych ponad dwadzieścia oper, z których wiele stanowiło rarytasy, jak chociażby *Oblężenie Koryntu*, *Semiramida*, czy *Hrabia Ory* w tym roku.

A przecież część z nich to wielkie produkcje z ogromną liczbą wykonawców.

Tak. Ostatnio była to *Armida* – jedyna opera Rossiniego, którą można określić jako *science-fiction*, a oparta o epos *Jerozolima wyzwolona* Tassa. W obsadzie tej opery jest trzech tenorów, a żadna z partii nie jest prostsza. Do tego główna, arcytrudna partia, napisana dla Isabelli Colbran (dwie artystki stanęły na wysokości zadania i wykonały tę partię znakomicie; Fan Zhou w Krakowie oraz Ruth Iniesta w Bad Wildbad). W ramach koprodukcji Filharmonii Krakowskiej oraz festiwalu w Wildbad powstała między innymi *Elżbieta Królowa Anglii*, czy *Hermiona*, mniej znane tytuły i w Polsce

niewystawiane. Część z oper realizowana była koncertowo, a część scenicznie.

Jak ocenia pan rolę festiwalu w życiu muzycznym? Wydaje się, że często priorytetyzowane są festiwale prezentujące zagranicznych wykonawców, a w tym zagraniczne zespoły orkiestrowe. Czy dzieje się to kosztem rodzimych zespołów i instytucji, czy raczej wspiera różnorodność?

Podzieliłbym to na dwa zagadnienia. Pierwsze, to nasza podstawowa działalność abonamentowa, czyli piątkowo-sobotnie koncerty symfoniczne, oratoryjne lub chóralne. Poza Filharmonią Narodową jesteśmy jedyną instytucją realizującą cykl piątkowo-sobotni, bo w Krakowie mamy tak wspaniałą publiczność, że jesteśmy w stanie te dwie sale zapełnić. To dla nas wyróżnienie. Oprócz tego prowadzone przez nas festiwale dają możliwość stworzenia nakładki promocyjnej, która pozwala promować konkretne tytuły, twórców, albo przesłania, tudzież motto danego festiwalu. Mamy zatem festiwal Szymanowski / Polska / Świat, który stworzył mój poprzednik, dyrektor Bogdan Tosza, ale też najstarszy w Polsce festiwal organowy – Dni Muzyki Organowej. Stawiam na to, żeby w czasie festiwalu muzykę wykonywały nasze zespoły, albo żeby występowały w zdecydowanej większości propozycji festiwalowych. Oczywiście można zapraszać nie tylko solistów, ale też całe zespoły – wówczas łatwiej jest pozyskać środki w ramach grantów, czy współpracy z instytucjami, takimi jak Instytut Cervantesa, Włoski Instytut Kultury, czy z konsulatami. Prowadzimy politykę kulturalną w kontekście współpracy z różnego rodzaju placówkami, mam na myśli takie wydarzenia, jak koncert z Instytutem Francuskim z okazji rocznicy prezydencji Francji w Unii Europejskiej, czy narodowe święto Austrii. Filharmonia umożliwia łączenie tego typu nici.

Jak pan wspominał, Filharmonia organizuje cztery festiwale: Szymanowski /Polska/ Świat, Festiwal 4 Tradycji, Royal Opera Festiwal, Muzyka Polska OdNova. Ten ostatni jest dla mnie szczególnie interesujący, gdyż przybliży publiczności utwory zapomniane, a warte przywrócenia do repertuaru koncertowego. Ostatnio pod batutą Sebastiana Perłowskiego usłyszałam *Znalezienie Świętego Krzyża op. 35* Nowowiejskiego. Czy możemy spodziewać się więcej tego rodzaju koncertów?

Do tej pory miałem przyjemność nagrywać i realizować koncerty m.in. z *Quo vadis* Nowowiejskiego, ale też jego *Powrót syna marnotrawnego* i *Króla wichrów*. Jestem pod wrażeniem konstrukcji oratorium *Znalezienie Krzyża Świętego*. Przedstawia ono historię św. Heleny, matki Konstantyna Wielkiego, poszukującej świętych relikwii. W drugim akcie, osadzonym w Świątyni Wenus, postawione zostały w opozycji chrześcijaństwo i wierzenia pogańskie. Nie spodziewałem się takiego kunsztu po Nowowiejskim.

To dzieło zostało napisane z takim rozmachem, że mogłoby być wykonywane scenicznie?

Jak najbardziej.

Przypuszczam, że z uwagi na określone możliwości wykonawcze było ono skomponowane jako oratorium, do wykonywania w kościele, a nie jako opera.

Ma pani rację. Kompozytor miał do dyspozycji chór liczący dwieście pięćdziesiąt osób. My musieliśmy wykonać to dzieło z chórem siedemdziesięcioosobowym.

Pomimo to, balans pomiędzy chórem a orkiestrą w wykonaniu był odpowiedni.

Trzeba dużej wiedzy, cierpliwości i czujności, żeby nie pozwolić się temu dziełu wymknąć „spod ręki”. Nasuwają się tutaj skojarzenia z muzyką filmową.

Ja słyszę wiele tropów wagnerowskich, a kompozytor stosował motywy przewodnie.

Zgadza się. Tak samo zresztą w *Quo vadis*.

Oratorium zostało bardzo dobrze przyjęte przez publiczność.

Bardzo się cieszę, jak również że Sebastian Perłowski stanął na wysokości zadania.

W przypadku *Quo vadis* Nowowiejskiego był pan zarówno uczestnikiem nagrań jak i producentem albumu?

Pomagałem wtedy Piotrowi Sułkowskiemu w Olsztynie. To była świetna przygoda. Koncerty w Olsztynie, w Barczewie, i w Filharmonii Narodowej związane były z Rokiem Nowowiejskiego. Wcześniej nie znałem za dużo muzyki Nowowiejskiego. *Quo vadis* pojawi się w repertuarze Filharmonii Krakowskiej w przyszłym sezonie.

To świetna wiadomość!

Utwór *Quo vadis* został przetłumaczony na kilkanaście języków. Przed wojną odbyło się kilkaset koncertów na całym świecie. Była to znana muzyka. Śmiem twierdzić, że mogła stanowić inspirację dla twórców muzyki filmowej.

To nagranie odniosło wielki sukces w postaci nominacji do prestiżowej nagrody „Fryderyk”?

Powiedzmy, że umiarkowany, bo „Fryderyka” nie zdobyło.

Czy decyduje pan osobiście o programach koncertów, czy powierza tę misję innym?

Decyduję o niektórych. Tutaj dyrektor artystyczny, Aleksander Humala, ma swoją rolę do odegrania. Ja mam wiele swoich ulubionych pozycji, które już mi się udało zrealizować, albo są w trakcie realizacji. Lubię wielkie formy, zwłaszcza oratoryjne.

Moim największym marzeniem jest *VIII Symfonia* Mahlera, którą do tej pory miałem okazję wykonać raz. To wielkie dzieło zaplanowaliśmy na zakończenie sezonu 2024/25, czyli na jubileusz osiemdziesiątego sezonu artystycznego Filharmonii. Myślę, że to będzie wspiane przedsięwzięcie.

Czy uchyli pan rąbka tajemnicy odnośnie planu obchodów roku jubileuszowego?

W jubileuszowym sezonie zainaugurujemy nowy cykl w krakowskim ICE, żeby wykorzystać przestrzeń sali, która zresztą nosi imię Krzysztofa Pendereckiego. Chcemy tam zaprezentować przynajmniej trzy programy oratoryjne, a w tym *Siedem bram Jerozolimy* Pendereckiego, *VI Symfonię „Patetyczną”* Czajkowskiego i *VIII Symfonię* Mahlera. Jeśli chodzi o wykonawców, to warto zwrócić uwagę na dyrygentów, takich jak Christoph Alstadt, Paul McCreesh i Andrzej Borejko, instrumentalistów, jak Frank Peter Zimmermann, Jan Lisiecki, śpiewaków – Andrzej Lampert, ale też Rafael Ross. Jednym z większych wydarzeń będzie występ Aleksandry Kurzak. W programie można odnaleźć takie pozycje jak *Święto wiosny* Strawińskiego, *Stabat Mater* i *Harnasie* naszego patrona, rzeczony *Quo vadis* Nowowiejskiego, czy *Niemieckie Requiem* Brahmsa. Łukasz Borowicz zaproponował *Symfonię fantastyczną*.

Czy chciałby pan przyciągnąć nową publiczność do Filharmonii?

Cały czas to robimy, bo to jest nasza przyszłość. Bez nowych, młodych melomanów tego typu instytucje jak filharmonia są skazane na wegetację. Robimy to w przeróżny sposób: przez lepsze programy na przykład muzyki filmowej i operetki, na które wciąż jest zapotrzebowanie. Wychodzę z założenia, że jeżeli dziesięć osób z tej publiczności przyjdzie później na symfonię Beethovena, czy na koncert skrzypcowy, to już będzie zwycięstwo. Dzięki temu przyciągamy do naszego świata coraz więcej osób. Są też rozbudowane cykle edukacyjne dla różnych grup wiekowych. Im bardziej zróżnicowany program, tym lepiej trafia. Często projekty przeznaczone są dla rodzin z dziećmi, jak *Przygody w Muzogrodzie*. Są też cykle promocyjne na uczelniach – graliśmy dla studentów na Uniwersytecie Jagiellońskim, na Uniwersytecie Pedagogicznym, Ekonomicznym, na Politechnice. Czasem była to muzyka lepsza, filmowa, a na przykład w marcu *Pory roku* Vivaldiego – spotkało się to z dużym odzewem, a później z zainteresowaniem studentów i młodzieży biletami. Były też cykle w galeriach handlowych – wszystko po to, by budować publiczność. Nie tracimy z horyzontu tego, jaką mamy misję jako instytucja, ale należy też dostosowywać do dzisiejszych czasów metody pozyskiwania publiczności. Jesteśmy, a zwłaszcza dzieci, bombardowani z każdej strony przez setki informacji. Koncert symfoniczny zestawiany jest w przestrzeni

publicznej z disco polo. Nasze zadanie jest trudniejsze, bo uczestnictwo w muzyce, w sztuce w ogóle, wymaga pewnych predyspozycji, które najpierw trzeba wypracować. A człowiek nieprzygotowany z miejsca je odrzuci, bo są trudne, wymagają zaangażowania emocjonalnego. Podskórnie będzie słyszał, że to jest piękne, ale nie mając pewnych kompetencji miękkich, które wcześniej zostały wypracowane, nie zaakceptuje tego i nie zostanie w tym dłużej. Naszą rolą jest znaleźć to po cichu i zakotwiczyć w jego życiu.

W moim odczuciu dotarcie do młodszej i najmłodszej publiczności to jedno z najważniejszych wyzwań.

Zgodzi się pani z tym, że dzieci tego potrzebują? W tym sensie, że są otwarte na to, mimo, że tego nie znają? Znalezienie sposobu jak do nich dotrzeć to nasze największe wyzwanie. Sposobu jak im pokazać Mozarta, jak im pokazać uverturę, np. do *Wesela Figara*. Coś, czym się ich zacieka. Małe dziecko jak słucha klasyków wiedeńskich, czy nawet muzyki filmowej, jest zainteresowane tym, co słyszy.

Zgodzę się z panem, że wyjście z muzyką poza mury filharmonii – czy do galerii, czy do szkoły, czy to na uniwersytet może być sposobem dotarcia do osób, które chętnie posłuchałyby muzyki, a niekoniecznie wiedzą, że można przyjść do filharmonii.

Wie pani, jaki moim zdaniem jest jeden z najczęstszych powodów, dlaczego ludzie nie chodzą do filharmonii, do opery, do teatru? Bo się boją. Bo nie wiedzą, jak się ubrać, jak się zachować. Bo się wstydzą, że zostaną ocenieni. Ludzie mają dwie możliwości zacząć uczestniczyć w sztuce. Pierwsza jest taka, że zostało im to przekazane w rodzinie, ewentualnie w środowiskach, o których wspominałem, czyli takich jak chóry, koła muzyczne, nauczyciel muzyki. To jest tragiczne, że nie prowadzimy tego rodzaju edukacji w szkołach podstawowych. Cywilizacje Dalekiego Wschodu stawiają na wychowanie człowieka w sztuce. Taki człowiek nie jest zmuszany do tego, żeby śpiewać, grać, być wysportowanym, a obok tego uczyć się przedmiotów ścisłych, czy humanistycznych, tylko jego elementarną częścią jest to, że on powinien być wykształcony muzycznie, powinien być wysportowany, i powinien do tego orientować się w przedmiotach ogólnych. U nas to zanika. Dawniej w Europie nauczanie polegało na *trivium* i *quadrivium*. Należało przejść pewien poziom, aby dojść do następnego.

W moim odczuciu muzyka jak najbardziej może i powinna stanowić element wychowania.

Niegdyś muzyka była elementem nauczania wyższego stopnia, była stawiana blisko matematyki i astronomii. To powinno dawać nam do myślenia. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że rozumienie i uczestniczenie w muzyce nie jest

miękką kompetencją, tylko jest twardą kompetencją. Bo ono potrafi stać się fundamentem prawidłowego rozwoju i dobrego życia.

Gra w orkiestrze, czy śpiewanie w chórze poza tym uczy współdziałania i dyscypliny.

Powiem więcej: podchodząc do sprawy nieco patetycznie i archetypicznie – człowiek, pomimo że jest jednostką i stanowi pewien indywidualny świat, to archetypicznie zawsze dąży do jedności – tworzy wspólnoty, jest empatyczny, potrafi z budowania społeczności wyciągnąć najpiękniejsze możliwe rzeczy. Nie ma nic piękniejszego niż budowanie takiej społeczności, takiej solidarności w orkiestrze lub w chórze. Bo tam do tego zespolenia dochodzi w sposób najbardziej prawdziwy. A do tego wszyscy ci ludzie nadal pozostają indywidualnościami. Pani jako artystka pewnie zgodzi się z tym, że najwyższym stopniem sztuki, jaki się może pojawić, jest dyrygent, który potrafi pociągnąć za sobą orkiestrę i chór nie dlatego, że ich zmusi, tylko że oni zrezygnują ze swoich indywidualności i pozwolą się mu poprowadzić. A jak do tego dojdzie jeszcze relacja z publicznością i te trzy elementy się spotkają ze sobą – dyrygent prowadzący, nie przez przymuszenie, a przez szacunek, który wywołuje w zespole, a to z kolei jest odbierane przez publiczność, bo ona czuje, że ci wszyscy ludzie tworzą ze sobą jedność, wtedy się pojawia coś, o czym my mówimy, że jest sztuką na najwyższym poziomie i pięknem doskonałym. I myślę, że tak jak i ja, tak pani była parę razy w życiu w takiej sytuacji, kiedy pani to czuła. I tego się nie da opisać żadnymi słowami.

Mnie najbardziej inspirują dyrygenci, którzy zapraszają orkiestrę czy chór do współpracy, a nie wymuszają na zespole posłuszeństwo dzięki swojej pozycji.

Zespół to zbiór indywidualności, z którego trzeba stworzyć jedność. Jednocześnie ci ludzie muszą zrezygnować z części swojej indywidualności, ale robią to dobrowolnie i wtedy powstaje magia. I to bez względu na to, co grają: czy jest to muzyka dawna, czy klasycy wiedeńscy, czy romantyzm.

Jak wiadomo ruszyły prace nad budową siedziby Centrum Muzyki. Czy znajdzie się tam również miejsce dla Filharmonii?

Niewiele osób spoza środowiska zdaje sobie sprawę, że Filharmonia jest prowadzona przez Województwo Małopolskie, a nie przez Miasto Kraków. Filharmonia w tej chwili w ramach projektu Muzyczne Mosty wspiera Sinfoniettę Cracovię i Capellę Cracoviensis. Mam nadzieję, że jeżeli nasza siedziba do tej pory nie powstanie, to w będziemy mogli raz w miesiącu gościnnie występować w Krakowskim Centrum Muzyki. Budynek, w którym ćwiczymy i gramy koncerty, to należący do Kurii budynek Katolickiego Domu

Kultury. Czynsz mamy symboliczny, za co pozostajemy bardzo wdzięczni. Jest to owszem budynek, który darzymy ogromnym sentymentem, ale w przypadku wielkich dzieł symfonicznych, czy oratoryjnych ciężko się pomieścić na estradzie, nie wspominając o zapleczu i logistyce. Stąd też ukłon w stronę ICE. Mamy wciąż nadzieję, że w sezonie jubileuszowym uda się otworzyć konkurs architektoniczny, przeprowadzić go, wybrać projekt i być może zacząć starania o środki na wybudowanie nowej siedziby. Miejsce jest zadeklarowane przez naszego organizatora przy Rondzie Grzegórzeckim. To jedna z ostatnich lokalizacji, w prawie ścisłym centrum Krakowa, która nadaje się na postawienie takiego budynku.

Czego życzyłby pan Filharmonii i zgromadzonej wokół niej społeczności z okazji jubileuszu?

Ja mam tylko jedno marzenie. Staramy się robić wszystko, żeby podnosić poziom artystyczny, zapraszać naszych melomanów na dobrze skonstruowane programy, ze znakomitymi wykonawcami, solistami, dyrygentami, dbamy o różnorodność oferty także edukacyjnej. Ale największym naszym marzeniem, i tym, co chcielibyśmy otrzymać od organizatora, losu, wszystkich naszych przyjaciół, środowisk, które nas wspierają i nam kibicują, jest otwarcie konkursu na nową siedzibę, na pierwszą własną siedzibę Filharmonii, bo jesteśmy jedną z nielicznych, jak nie ostatnią filharmonią, która swojego domu nie ma. A jednocześnie jedną z największych, która ma chór oratoryjny, znakomitą, potężną orkiestrę symfoniczną, chór dziecięcy chłopięcy i dziewczęcy, chór dzieci z Ukrainy, przy której działa też chór społeczny i letnia akademii orkiestry. Formalnie jest to dwieście dwadzieścia osób na etatach – artystów muzyków i administracji. Łącznie jest to siedmiuset osobowe grono interesariuszy, którzy z filharmonią w tym momencie są związani.

Czy jest coś, co chciałby pan jeszcze dodać?

Chciałbym zaprosić serdecznie do Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie, abyście mogli państwo na własne uszy się przekonać, jak bardzo się staramy, by uwznioślić państwa dusze.

Dziękuję panu bardzo za zaproszenie i za rozmowę.

ZBIGNIEW PORADA

JERZY WALERIAN SKOLIMOWSKI



Jerzy Walerian Skolimowski (zdjęcie ze świadectwa maturalnego)

Nazwisko Skolimowski kojarzy się przede wszystkim z Jerzym Skolimowskim, znakomitym polskim reżyserem filmowym, nominowanym do OSCARA w roku 2023 w kategorii filmów obcojęzycznych, za swój najnowszy film zatytułowany „Oi”.

Wartym przypomnienia jest jednak także postać Jerzego Waleriana Skolimowskiego, żyjącego w latach 1907-1985, wybitnego architekta, jak również artysty grafika, sportowca medalistę olimpijskiego, przy tym bohaterskiego żołnierza walczącego w II wojnie światowej, odznaczonego najwyższym polskim krzyżem wojennym - Virtuti Militari.

Jego barwny życiorys mógłby nawet stanowić podstawę do sensacyjnego filmu fabularnego.

Jerzy Walerian Skolimowski urodził się 9 XII 1907 r. w Łukowie, województwo lubelskie. Był najmłodszym z czworga dzieci Michała, urzędnika w Ministerstwie Komunikacji, oraz Heleny Michaliny z domu Żyszkowskiej[1].

W roku 1919 Jerzy Walerian rozpoczął naukę w Państwowym Gimnazjum im. Króla Władysława IV w Warszawie, a w roku 1926 r. zdał tam egzamin maturalny.

Jerzy Skolimowski sportem interesował się od wczesnej młodości. Był bardzo sprawnym fizycznie chłopcem, ale ze względu na niski wzrost (150 cm) i niewielką wagę ciała (49 kg), mimo wielu prób, długo nie mógł znaleźć odpowiadającej mu dyscypliny sportu.

W roku 1927 podjął studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, które ukończył w roku 1934 otrzymując dyplom inżyniera architekta, przy czym jego pracę dyplomową stanowił projekt stadionu kolarskiego.

W trakcie swych studiów zdobywał wiedzę i umiejętności nie tylko w zakresie architektury, ale również rozwijał swe zainteresowania w innych dziedzinach. Był przy tym ruchliwym młodym człowiekiem, poszukującym odpowiedniej dla siebie aktywności fizycznej i w roku 1928 został zawodnikiem Akademickiego Związku Sportowego (AZS) w Warszawie. Tam też okazało się, że ma idealne parametry wymagane dla sternika osady wioślarskiej. Główną jego zaletą była niska waga ciała oraz dobre poczucie rytmu i donośny głos. Sternik jest bowiem najłżejszym zawodnikiem w osadzie, przy czym jego zadaniem jest sterowanie łodzią za pomocą linek połączonych ze sterem. Podczas wyścigu decyduje też o strategii i motywuje zawodników do walki za pomocą komend, które mają być słyszalne dla wszystkich wioślarzy. Obecnie stosuje się mikrofon oraz głośniki, ale w czasach Skolimowskiego tego nie było i decydował głównie donośny głos.

Żartowano, że Skolimowski "pchał łodzie swoich kolegów... sercem i

namiętym głosem". Robił to - jak zresztą wszystko w życiu - z ogromnym zaangażowaniem.

Jako sternik wioślarskiej osady AZS (1928-1931) i reprezentacji Polski brał udział w najważniejszych zawodach osiągając liczące się sukcesy. Trzykrotnie startował na Igrzyskach Olimpijskich. Pierwszy raz w 1928 r. w Amsterdamie, gdzie zajął 4 miejsce w wyścigach ósemek, drugi raz w 1932 r. w Los Angeles, zdobywając tam dwa medale: srebrny w konkurencji dwójek ze sternikiem oraz brązowy w konkurencji czwórek ze sternikiem, a ponadto startował także na Igrzyskach w 1936 r. w Berlinie, ale bez medalowych sukcesów. Zdobył też srebrny medal w Mistrzostwach Europy w Budapeszcie w 1933 r. w dwójce ze sternikiem oraz był 2-krotnym mistrzem Polski, ale już jako zawodnik WTW Warszawa (1932-1936) w konkurencji dwójek ze sternikiem (1936) i czwórek ze sternikiem (1933) i 3-krotnym wicemistrzem Polski (1929, 1930, 1934)[2].

W sezonie zimowym Skolimowski również nie zaniedbywał aktywności fizycznej, którą realizował uprawiając między innymi narciarstwo. W tej dyscyplinie sportu miał też osiągnięcia, z których warto wymienić tytuł narciarskiego akademickiego mistrza Polski w wywalczony w roku 1936.

Jeszcze w trakcie swych studiów architektonicznych zainteresował się grafiką użytkową, a zwłaszcza sztuką plakatową. Wówczas to włączył się do grupy studentów Politechniki Warszawskiej uprawiających grafikę użytkową, a następnie w latach 1934-1939 należał do Koła Artystów Grafików KAGR w Warszawie.

Wspólnie ze Stefanem Osieckim, jeszcze jako student, tworzył wiele plakatów m.in. dotyczących imprez sportowych, a jednym z nich był plakat zawodów narciarskich FIS w Zakopanem w 1929 r.

Inny plakat o podobnej tematyce autorstwa Osieckiego i Skolimowskiego powstał w roku 1930 i był oficjalnym plakatem hokejowych mistrzostw świata, które odbyły się w 1931 roku w Krynicy. Obydwa te plakaty w 1932 r. zostały zgłoszone przez Polski Komitet Olimpijski do Konkursu Sztuki w dziale grafiki, który miał miejsce w tymże roku podczas Letnich Igrzysk Olimpijskich w Los Angeles. Zgłoszono również wspólną pracę graficzną Skolimowskiego i Andrzeja Stypińskiego zatytułowaną "Tenisista"[4]. Niestety żadna z prac spółki Osiecki - Skolimowski ani Stypiński - Skolimowski nie uzyskała tam nagrody ani wyróżnienia[5]. Nie mniej jednak Jerzy Skolimowski stał się pierwszym (i jedynym) polskim olimpijczykiem, który brał udział w Igrzyskach Olimpijskich zarówno w konkurencjach sportowych jak i w olimpijskich konkursach

Po ukończeniu studiów w roku 1934 znalazł się w zespole, który pod kierunkiem Lecha Niemojewskiego, projektował wnętrze statku M/S "Piłsudski" (Skolimowski zaprojektował wówczas dekorację jadalni na pokładzie A), a następnie statku M/S „Batory”[6].

Brał też udział w międzynarodowych wystawach plakatu m.in. w Monachium (1929), Pradze (1934), Paryżu



St. Osiecki i J. Skolimowski, oficjalny plakat Mistrzostw Świata w Hokeju na Lodzie, Krynica 1931 r.

(1937), jak również był współautorem projektu górnej stacji kolejki na Kasprowy Wierch. Zaprojektował też górną stację kolejki linowej na Górę Parkową w Krynicy (1937), a w roku 1938 uzyskał I nagrodę (w zespole) na projekt Pawilonu Polskiego na światową wystawę w Nowym Jorku.

W lecie 1939 r. został zmobilizowany i walczył z najeźdźcą niemieckim, ale jak wiadomo Kampania Wrześniowa zakończyła się klęską Wojska Polskiego. Skolimowskiemu udało się jednak uniknąć niewoli. Przedostał się na Węgry gdzie został uwięziony w miejscowości Tokaj, lecz w styczniu 1940 r. uciekł z więzienia i po wielu przygodach dotarł do Francji.

Tam wstąpił do Armii Polskiej w miejscowości Bressuire i we Francji ukończył Szkołę Podoficerów Artylerii Lekkiej. Otrzymał stopień kaprala i brał udział w walkach 2 Dywizji Strzelców Pieszych, dowodzonej przez gen. Prugar-Ketlinga, która walczyła z Niemcami w składzie francuskiego 45 Korpusu, między innymi w rejonie Belfortu, w Wogezach.

Skolimowski w tych walkach wykazał się wyjątkową odwagą i brawurą tak, że za swoje czyny bojowe w Wogezach



St. Osiecki i J. Skolimowski, plakat międzynarodowych zawodów FIS w Zakopanem, w 1929 r. (litografia barwna 99,5 x 70,5)[3].

został odznaczony srebrnym Krzyżem *Virtuti Militari* oraz francuskim *Croix de Guerre*. W czerwcu 1940 r., po kapitulacji Francji, wraz z całą 2 Dywizją został internowany w Szwajcarii 21 czerwca 1940 r.

Skolimowski w Szwajcarii nie był bezczynny i do czerwca 1941 r. uczył projektowania architektonicznego jako asystent prof. O. Salvisberga na uniwersytecie dla internowanych żołnierzy polskich w Winterthur. Szwajcaria była krajem neutralnym nie dotkniętym wojną, ale II wojna światowa obejmowała coraz więcej krajów i Skolimowski uważał, że jego obowiązkiem jest walka z Niemcami aż do zwycięstwa. Uciekł więc ze Szwajcarii, dotarł w sierpniu 1941 r. do Hajfy i tam zgłosił się do Wojska Polskiego, a następnie jako podoficer w Samodzielnej Brygadzie Strzelców Karpackich, uczestniczył w kampanii afrykańskiej, walcząc między innymi w bitwie o Tobruk.

W czerwcu 1943 r. będąc na urlopie, nie odpoczywał po męczących walkach, ale podczas pobytu w Ugandzie wraz z Jerzym Golczem, znanym przedwojennym polskim alpinistą i Michałem Makowskim zorganizował wyprawę nową drogą na szczyt Alessandria (5105 m) w górach Ruwenzor, odkrywając

przy tym u podnóża lodowca Stanleya dwa polodowcowe jeziora znane obecnie pod nazwą Polish Lakes.

Po powrocie w sierpniu 1943 r. do Hajfy ukończył kurs spadochronowy i skierowany został do szkoły oddziałów specjalnych w Lattiano. W tym też czasie związał się z brytyjskim wywiadem wojskowym *Secret Intelligence Service* działając pod kryptonimem kpt. George Deen. 19 marca 1944 r. został wcielony do Polskiej Brygady Spadochronowej. Następnie skierowano go do Wydziału Zadań Specjalnych i został zrzucony na spadochronie w Grecji, w okolicach Lamii, a następnie prowadził działalność dywersyjną w okolicy Termopil oraz pod Olimpem. Do jego spektakularnych akcji można zaliczyć m.in. zorganizowanie dezercji ponad 120 Polaków ze Śląska i Pomorza z niemieckich okrętów w porcie Valos, którzy następnie dzięki niemu przedostali się do 2 Korpusu Polskiego we Włoszech.

Przebywając w Grecji Skolimowski kontynuował dalszą działalność wywiadowczą. Niemcy okupujący Grecję wkrótce zorientowali się w jego działalności więc on będąc zagrożony aresztowaniem został przerzucony przez Anglików do Egiptu, a następnie przez Gibraltar w czerwcu 1945 r. dotarł do Londynu.

Zanim jednak II wojna światowa zakończyła się w maju 1945 r., należy zaznaczyć, że właśnie Jerzy Skolimowski, wraz z architektem Wacławem Hryniewiczem (1909-1987), był współautorem projektu cmentarza żołnierzy polskich poległych pod Monte Cassino i to on pełnił nadzór autorski nad jego realizacją[7].

Decyzję o utworzeniu cmentarza wydał generał Władysław Anders 18 maja 1944 r., jeszcze podczas trwania bitwy o Monte Cassino. Cmentarz powstał na przełomie lat 1944-1945 na płaskim siodle, zwanym w czasie bitwy "Doliną Śmierci", pomiędzy Monte Cassino i wzgórzem "593", gdzie toczyły się najkrwawsze walki.

Zaraz po zakończeniu wojny Jerzy Walerian Skolimowski przybył do Polski. Szybko jednak zorientował się, że w naszym kraju rządzonym przez komunistów nie ma dla niego miejsca. Dowiedział się, że współpracował z brytyjskim wywiadem w czasie II wojny światowej może skutkować oskarżeniem go o szpiegostwo i zdradę, a tym samym grozić mu może nawet kara śmierci. Szybko więc wrócił do Londynu i tam zamieszkał na stałe pod nazwiskiem George Skolly. Za jego czyny wojenne w 1948 r. został odznaczony przez Anglików Królewskim Medalem za Odwagę.

W Londynie prowadził własną pracownię architektoniczną, a w 1950 r. został członkiem *Society of British Industrial Art*. Ponadto w latach 1949-1952 był wykładowcą projektowania i architektury w Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie, działającym w Londynie.

W roku 1966 otrzymał intratną propozycję aby podjął się projektowania obiektów architektonicznych w Afryce Południowej. Wyjechał więc do tego kraju, gdzie projektował wnętrza reprezentacyjnych budynków w Pretorii,



Cmentarz wojenny polskich żołnierzy na Monte Cassino

Johannesburgu, Nowym Londynie i Windhuk oraz był też twórcą projektów muzeów diamentów w Kimberley i Pretorii.

Wkrótce jednak zaproponowano mu szczególnie intratne kontrakty na zaprojektowanie różnorodnych obiektów dla bogatych szejków arabskich i w krajach arabskich przez kilka lat przebywał realizując te zlecenia.

W roku 1979 powrócił do Londynu i tam zmarł 12 lutego 1985 r. Zgodnie z jego ostatnią wolą spopielone szczątki Jerzego Waleriana Skolimowskiego złożone zostały w grobie rodzinnym na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie (kwatery R-4-7,8).

Jerzy Walerian Skolimowski był dwukrotnie żonaty: od 1935 r. z Ireną z Brzozowskich, a po unieważnieniu małżeństwa (w 1945 r.), ożenił się w 1948 r. ze Stanisławą z Beckerów, z którą miał dwie córki – Barbarę (ur. 1949) i Magdalenę (ur. 1952)[8].

Przypisy:

1 Polski Słownik Biograficzny, tom XXX, str. 233-236.

2 Tuszyński B., Kurzyński H., Leksykon Olimpijczyków Polskich 1924-2014, Wyd. PKOl, Warszawa 2014, str. 1102.

3 Katalog Wystawy w Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie w 2007 r.. 4 X Olimpiad Los Angeles 1932, Catalogue of Competition and Exhibition of Art, Los Angeles

Museum Exposition Park - Los Angeles, California.

5 Olimpijskie konkursy sztuki, Wawrzyny Olimpijskie, opracowanie zbiorowe, PKOl, Wyd. Estrella, Warszawa 2012.

6 Barucki T., Skolimowski Jerzy Walerian (1907-1985), Polski Słownik Biograficzny 1997-1998, tom XXXVIII, str. 231-236.

7 Tamże.

8 Tamże.



Z JAMY MICHALIKA

JANUSZ JUTRZENKA TRZEBIATOWSKI
"CHCĘ UCZESTNICZYĆ W SZTUCE NOWEJ"

Irena Kaczmarczyk:

W 2021 roku obchodził Pan 85. urodziny. Jubileusz odbył się w dworze Konopków w Mogilanach pod Krakowem. W kularach zadałam Panu pytanie: *Czy czuje się Pan artystą spełnionym? Usłyszałam odpowiedź: Nie. Dobrze zapowiadającym się artystą, bo wszystko co dobre, wszystkie wizje artystyczne, zarówno w malarstwie, jak i w rzeźbie są i zmierzają ku przyszłości. Chcę uczestniczyć w sztuce nowej, która będzie związana z przestrzenią kosmiczną! Jestem o tym głęboko przekonany. To nie jest wypowiedź dekoratywna, tylko płynąca z głębokich przemyśleń wartości sztuki dawnej. Bije z tej wypowiedzi twórczy optymizm, perspektywa powstawania nowych dzieł. Jakie obrazy, rzeźby stworzył Pan od tego czasu?*

Janusz Jutrzenka Trzebiatowski:

No, zazwyczaj u Trzebiatowskiego słowa pokrywają się z czynami i odwrotnie. Stąd między innymi wiele realizacji. Z zakresu „medali czystej formy”, a to dalekie odeszcie od tradycji, sięganie po novum nie tylko w skali polskiej (ocena Muzeum Sztuki Medalierskiej we Wrocławiu). Dalej, realizacja sześciu nowych rzeźb w czarnym granicie (są już eksponowane w Muzeum w Siennicy). W trakcie realizacji monument w Chojnicach, trzy bryły granitu strzegomskiego po dwa i pół metra. Wreszcie baza: w 2021 roku otworzyłem wielką wystawę malarstwa, ponad dwustu obrazów w ekspozycji w Neuenstadt Muzeum, potem wystawę pastelów w Muzeum im. Kraszewskiego w Dreźnie. Wreszcie w 2022 roku dużą wystawę „Przestrzeń muzyczna” w Centrum Kultury w Chojnicach połączoną z koncertem pianistycznym córki Izabeli. Ten rok nieźle się rozpoczął, bo wystawą malarstwa w Akwizgranie i przygotowaniem do trzech wystaw indywidualnych w Polsce. Na to nakładają się udziały w salonach i wystawach zbiorowych.

Raz jeszcze użyję „No” – w piątek 13 stycznia (czarnego kota miałem w zanadru) powstało drugie Muzeum Sztuki Trzebiatowskiego, tym razem w Dworze w Siennicy Różanej z tradycjami Mikołaja Reja. Tu, wszystko co ważne napisał Rej i Trzebiatowski.

Jak powiedziałem, istotne to, co sięga przyszłości. A to wielki cykl „Rzeka”, ale także w sensie filozoficznym – rzeki życia i ich (rzek) marzenia, by spłynąć do oceanów. By stać się oceanem.

Tak więc finalnym cyklem będzie „Morze”. A po drodze wiele szczęścia.

Mniemam.

Wspomniał Pan, że 13 stycznia 2023 roku powstało drugie Muzeum Sztuki Trzebiatowskiego. Proszę opowiedzieć o tym zacnym miejscu i o całym artystycznym zamyśle, które uwieczni Pana ogromny dorobek twórczy. Jakie dzieła sztuki przekazał Pan w darze społeczności Siennicy Różanej i jakie uczucie towarzyszy artyście w takich chwilach?

Uczucia? Wprowadzenie dziecka w świat ludzi dorosłych. To uczucie, które towarzyszy rodzicowi, gdy dotyka to jego dziecka. Wiele dzieł stworzonych wyprowadziłem z domu. W liczbach, to ponad dwieście dzieł w ekspozycji muzealnej ze wszystkich dziedzin mojej sztuki. Od realizmu po abstrakcję geometryczną. Wszak na lekcjach historii sztuki dla młodzieży na tle tych dzieł uczniowie mają poznawać rozwój sztuki europejskiej. I podobnie jak w Chojnicach, moja sztuka zderza się ze sztuką dawną i etnografią. Najstarszy zabytek pochodzi z paleolitu i ma pięćdziesiąt tysięcy lat. Jest to toporek kamienny wyniesiony przez naszych pradziadków z jaskiń wprost do Siennicy Różanej. Po drodze ubijając trochę bawołów i innowierców.

Myślę, że dziś chłonność społeczeństw na wschodnich rubieżach Polski jest większa niż w Polsce centralnej. Tu rodzi się radość dawania radości innym z przeżywania sztuki, obcowania fizycznego a nie wirtualnego z twórcą i jego dziełem.

Trzydzieści lat wcześniej zostało otwarte pierwsze Muzeum Janusza Trzebiatowskiego w Chojnicach...

W 2010 roku otworzono w Chojnicach Muzeum Janusza Trzebiatowskiego z wątkiem martyrologicznym – chłopca wypędzonego z Pomorza, który po latach tułaczych powrócił do rodzinnego gniazda jako dojrzały artysta. Tu w stałej ekspozycji jest ponad pięćset dzieł. Zdarzyło się dwa lata temu, że w „Noc Muzeów” musiano przedłużyć nocne zwiedzanie, bo wciąż przed Muzeum gromadzili się chętni poznawania. W tę jedną noc przez Muzeum przeszło ponad ośmiuset miłośników sztuki. Ważne, że sporo zwiedzających było z różnych stron Polski a także spoza kraju, co przyczynia się do rozsławiania naszej ziemi. W tym roku, w „Noc Muzeów” będę osobiście podejmował gości czerwonym winem.

W planach kolejny Salon Wystawowy na Kaszubach...?

Piękne pytanie, bo Kaszuby powinny być jednym wielkim Salonem Sztuki Trzebiatowskiego (ha, ha, wolno mi...). Wracając do konkretów, to tej wiosny zapowiada się wiele zdarzeń między Tuchomiem a Wejherowem. Poczynając od inauguracji działań Zielonej Akademii Sztuki ukierunkowanej na młodzież od przedszkola do akademii (wreszcie zostanę rektorem, śmiech). Uszczegółowienie zdarzeń, to 26 maja otwarcie wyposażonej w dzieła Trzebiatowskiego sali posiedzeń U.G w Tuchomiu, 27 maja w wielkiej szkole z ponad pięciuset dziełmi otwarcie stałej galerii plakatu artystycznego Trzebiatowskiego. Takich prac, które już są w kilku profesjonalnych muzeach od Japonii po Paryż. Jesienią otwarcie wystaw zmiennych galerii sztuki w budującym się nowym gmachu biblioteki. Naturalnie, projektował wyposażenie i pierwszą wystawę będzie czynił Trzebiatowski. Nim nastąpi we wrześniu otwarcie wystawy malarstwa w pałacu w Trzebiatowie, to w Trzebiatkowej tamtejszy kościół wchłonie kilka moich obrazów z cyklu „Pieta”. Pieta Jedni, jedności wypędzonych i wpędzonych na tę ziemię, z tą samą traumą. Dziś społeczeństwo pięciu narodowości staje się jednią. Do tej idei dorzucam małe ziarenko dobra! Na to wszystko nakładają się wrześniowe Dni Sztuki w Chojnicach od czternastu lat prowadzone przeze mnie. Tym razem sztuka trudna, między innymi muzyka Bogusława Schaeffera, filozofia Józefa Lipca no i malarstwo pastelowe Janusza Trzebiatowskiego, to bardziej kontrowersyjne.

Pana obrazy znajdują się w ponad 90. muzeach świata..... proszę wymienić choćby te, które najbardziej satysfakcjonują artystę Janusza Jutrzenka Trzebiatowskiego.

Jest ich sto trzynaście na całym świecie, od Kanady po Japonię, aliści *caius regio eius religio* (jaka władza). Czy Ermitażem szczyć się dziś czy wstydzić? Na ten moment, zdaje się i oni do Polaków nie przyznają się. Aliści ongiś komisja zakupów najwyższego szczebla radzieckiego, goszcząc w mej pracowni, zakupiła 72 dzieła. I jak to w życiu artysty bywa, wielka ilość rubli po jakimś czasie okazała się kupką siana. Satysfakcjonuje Muzeum Janusza Trzebiatowskiego w Chojnicach – pięćset czterdzieści dzieł i Muzeum Sztuki Janusza Trzebiatowskiego w Siennicy Różanej – dwieście dziesięć dzieł. Kielkuje trzecie i mam nadzieję, że wiosenne słońce dogrzeje tę roślinkę.

Namalował Pan trzy tysiące obrazów, wystawiał w ponad 30. państwach a liczba wystaw przekroczyła już pół tysiąca. To niewyobrażalne! Wygląda na to, że nie opuszcza Pan pracowni. Czy jest ona azylem, w którym rodzą się w samotności niezwykle pomysły? A może jest gejzerem fantazji twórczej? Proszę opisać swój dzień pracy.

To cyfra bardzo stara. Wliczając obrazy pastelą, to chyba ponad pięć tysięcy, aczkolwiek ani ja, ani nikt inny nigdy nie liczył. Do tego dochodzą medale, w tym odznaki, których tylko Muzeum Sztuki Medalierskiej we Wrocławiu ma w zbiorach siedemset sześćdziesiąt pięć (dane z 2005 roku, dziś chyba ich przybyło). Wniosek, musiało ich powstać ponad tysiąc. Ponad sto pięćdziesiąt zrealizowanych plakatów, ileś scenografii, nie wspominając o ponad pięćdziesięciu realizacjach w architekturze, w tym: w jednym kościele i dwudziestu czterech dworcach w Polsce.

Zlicznika: dwieście czterdzieści dziewięć wystaw indywidualnych, pięćset czterdzieści udziałów międzynarodowych i ogólnopolskich czyli siedemset osiemdziesiąt dziewięć wystąpień artystycznych w trzydziestu czterech krajach na czterech kontynentach. Dzień pracy? Wyrwam Bogu czas. Mam w Polsce sześć pracowni (kiedyś jeszcze jedna w Pradze). Zmieniam więc spodnie i przechodzę płynnie do dalszego ciągu...

Co Pana inspiruje? W malarstwie i w poezji, bo przecież pisze Pan wiersze, jest autorem kilkunastu tomów poetyckich. Czy ten artystyczny dualizm wzajemnie się przenika?

Ja nie piszę wierszy. Tworzę poezję. Sztuka jest jedną, a jedynie różne są środki jej wypowiedzi. JEDNIA SZTUKI jest moim hasłem i ideą.

Z licznika: osiemnasty i dziewiętnasty tomik poezji na ukończeniu. Oba jeszcze ukażą się w tym roku. One nie tylko obrazują mój stosunek do życia, ale przede wszystkim przemyślenia na temat sztuki a mojej sztuki w szczególności. Ja nie tworzę w męce, one powstają same i kierują moimi myślami.

Z wielu takich potoków składa się rzeka. I wpłynie aby zaginać.

Ma Pan bogatą osobowość, która nie pozwala skupić się na jednej dziedzinie sztuki, dlatego działa Pan równolegle na kilku płaszczyznach. Jest malarzem, rzeźbiarzem, plakacista, scenografem, medalierem i poetą. To wielokierunkowe i solidne wykształcenie wyniósł Pan z krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych?

Tak. Spotkałem tam kilka osobowości: Solawę – wspaniałego architekta, Różyskiego – przestrzeń rzeźby w architekturze, Taranczewskiego – poza wiedzą, nosiciela wspaniałej kultury osobistej, Pawłowskiego – twórcy polskiej szkoły form przemysłowych i niestety sporo nijakiej waty, aliści to jeszcze nie ci z awansu społecznego, z punktami za pochodzenie. To wszystko uzupełniałem ładunkiem natury, oddając się z pasją krajoznawstwu i tworząc jeden z pierwszych w Polsce Oddziałów Akademickich PTTK! W apogeum trzy tysiące członków, studentów i pracowników nauki.

Sięgnijmy jednak do początków. Urodził się Pan w Chojnicach. Był Pan wrażliwym dzieckiem? Zamkniętym w sobie, czy otwartym na zewnętrzne bodźce? Kto odkrył u Pana talent do rysunku i rzeźby, kto czuwał nad rozwojem uzdolnień? Może pamięta Pan swój pierwszy obraz, rzeźbę... co te prace przedstawiały?

Temat trudny i najczęściej nie udzielam nań odpowiedzi. Skrót. Trzyletni, wypędzony z rodzinnego Pomorza. Okupacja w cieniu warszawskich tramwaj z napisem „ nur für Deutche”. Wreszcie powstanie w Gettcie i Warszawskie. W nagrodę Pruszków Lager, trochę tułaczki po Polsce i powrót do rodzinnych Chojnic. Wprost do trzeciej klasy szkoły podstawowej. Gdzie jakaś kanalia na świadectwie wpisała mi jako jedyny: religia – dostateczny! Bezkarne, bo obóz w Oświęcimiu był już wyzwolony przez Armię Czerwoną.

Bez Ojca, który także nagrodzony polskością spędził ponad 5 lat w obozach śmierci. Przeżył. Zwycięski.

I ... śmieszność (groźna). Kiedy w Polsce już od roku obowiązywał zakaz obchodów Święta Niepodległości w dniu 11 listopada, on jak gdyby nigdy nic, w 1946 roku zrobił swoje święto z mieszkańcami Chojnic wokół uroczyste odsłanianego pomnika Chrystusa Króla zrekonstruowanego za pieniądze ze społecznych zbiórek Związku Byłych Więźniów Politycznych. Były to jedyne i ostatnie obchody Święta 11 listopada w socjalistycznej Polsce. Nie uwięziono. Wzorcy były dobre.

Stąd spóźnione lub nieistniejące dzieciństwo. Pierwsze rysunki i malunki powstały na początku dziesiątej klasy. Przerobiłem na pędzelki smyczek skrzypiec, na których grałem dochodząc zaszczytnych występów na scenie w 16. osobowym zespole smyczkowym. Pozostała miłość do muzyki i tak wielu bliskich wśród kompozytorów i muzyków i ... żal, bo właśnie odszedł przyjaciel, Książęcy Organista Lichtensztajnu Maciej Zborowski, który ongiś przyjechał specjalnie, by na kolejnym jubileuszu Trzebiatowskiego dać koncert na Skałce (Panteonie Narodowym) w Krakowie. Co przedstawiały pierwsze obrazki? Naturalnie jezioro Charzykowskie, Bory Tucholskie, kościółek z Komorowa na Woli Justowskiej w Krakowie (nawiedzany często), który jest w muzeum w Chojnicach.

Natura jest źródłem mojej sztuki. Nauczyłem się ją obserwować i badać, nawet jeśli jest nią młoda dziewczyna.

Edukacja szkolna. Nauczyciele, którzy wywarli wpływ i pozostali w Pana pamięci?

Moja Alma Mater (karmicielka) obchodzi swoje czterechsetlecie. Jej zacne mury i zaci pedagodzy. Czas lat czterdziestych i pięćdziesiątych czynił z nich ludzi oddanych każdemu młodemu. Dawali zacyzn pleśni pozytywnej, której pełnią stały się mury starego Krakowa, promieniujące światłem wiedzy, kultury, humanizmu. Stąd

w moim gimnazjum, ongiś i dziś tak silnie rozwiniętym był ruch filomacki, ponad realiami przyziemia.

Jestem filomatą.

Refleksja: jak bardzo dziś potrzebne są związki młodzieży i idee przyświecające Filomatom i Filaretom.

Wybrał Pan ASP w Krakowie. Dlaczego Kraków? Zaglądał Pan, zwyczajem studentów tej uczelni, do Jamy Michalika? Jako dojrzały artysta, wystawiał tu swoje prace?

Zawsze dążyłem do tego, by być pierwszym wśród równych (*primus inter pares*) stawiając przed sobą nieosiągalne i ... zdarzyło się, że to co nierealne stawało się realnością.

Wystawiałem swoje obrazy w słynnym Pałacu Sztuki i stałem się bywalcem legendarnej Jamy Michalika, gdzie także znalazły się moje dzieła. Tu wreszcie niedysyjszy Minister Kultury i Sztuki profesor Aleksander Krawczuk odsłaniał jubileuszowe popiersie z brązu Trzebiatowskiego, dekorując je liściem laurowym w zabawie artystowskiej. I ... prawdopodobnie jestem jedynym artystą do tej pory, któremu właściciel Jerzy Stanisław Kuliś nakazał swym służbom podejmowanie Trzebiatowskiego lampką koniaku na jego koszt. Wreszcie w „Wieczorze Literackim ” jubileuszowo Jerzy Stanisław Kuliś, także poeta, wręczył mi słynny „Tort Jamy Michalika”, najwyższe wyróżnienie teje.

Doprawdy, to niebagatelne i miłe wspomnienia. Wróćmy jednak do malarstwa. Jest Pan rozpoznawalny na artystycznej mapie twórców. Ma Pan swoich Mistrzów? Czy sam sobie jest Mistrzem? Ktoś wywarł wpływ na Pana malarstwo? I co Pan sądzi o współczesnej sztuce?

Rozpoznawalność bywa stylem lub zwykłą manierą. Rodzi się samoistnie w sposób naturalny, jeśli jest się autentycznym w sztuce. Oczywiście, że mistrzem dla Trzebiatowskiego jest sam Trzebiatowski ze swoim odwiecznym niezadowoleniem z już osiągniętego. To jest bodźcem do dalszych poszukiwań. Stąd w tytułach tak często używane słowa „Studium” do ..., studium pejzażu, studium portretu. Obrazu jako takiego pod tytułem „Pejzaż” jeszcze nie namalowałem. Być może powinien to być obraz ostatni, zamykający poszukiwania twórcze i doświadczenia życia. Z perspektywą na sztukę nową. Z nadzieją. Szczególnie, jeśli będzie to ostatnia godzina życia.

Minione sto lat w sztuce świata to potęga *novum* i niebywałego rozwoju. To nowe spojrzenie na impresjonizm, który powstał (moim skromnym zdaniem) nie w Paryżu a w grotach Lascaux, gdzie do dziś patrzą na nas bawoły. Podobnie setki lat później wielki Leonardo sprawił, że to nie my oglądamy Monę Lisę a ona nas ogląda. Jakaż spokojna.

To potwierdza fakt, że słusznie uczyniliśmy ongiś schodząc z drzew, aliści poniekąd mocno trzymają się jeszcze najniższych gałęzi.

Lubi Pan eksperymenty artystyczne?

Naturalnie, że tak. Nie ma postępu bez doświadczania nowego. Z tysięcy eksperymentów rodzi się awangarda a ona pcha świat ku ... nie tylko w sztuce, ale to wielki humanizm wytycza drogę do Absolutu.

Ucieka Pan od rzeczywistości w sztukę? Czy może sztuka wnika w Pana rzeczywistość?

To wzajemne przenikanie realności z nierealnym jest życiem. Wiedzą i niewiedzą, hinduistycznym wpatrzaniem w głąb własnego ja i pustelniczym skonstrastowaniem ze świętym ogniem ... pożerającym nagie czarownice na stosach inkwizycji.

Mogę odchodzić od świadomości, ale drożęjąca butelka koniaku znów tę świadomość przywraca.

To wzajemne przenikanie realności z nierealnym.

Czy da się siebie ukryć w obrazie, tak jak np. w poezji?

Ukrywanie to tylko pozoracja. W malarstwie i w poezji, każdej poezji wątek „ja” jest podstawowym. Od wrażeń przed narodzeniem do ostatniego tchnienia, otoka i wewnątrz stanowi o człowieczeństwie, jeśli ono jest. Lubię gdy zdarzy się, że odlewając medal, pozostaje fragment linii papilarnej gisera, to stanowi o autentyczności dzieła. Czasami błąd uczyłowicza. Na dzieło, moim zdaniem, składają się dwa elementy: świadomość i podświadomość, wpadanie w trans. To często nazywamy natchnieniem, wtedy jesteśmy bezwolnymi wykonawcami ...

To instynkt, intuicja, dobrze jeśli poparta warsztatem i latami pracy. Wtedy intuicja nie zawodzi.

Jakie obrazy zdobią ściany Pana salonu? Którzy autorzy mieszkają na pierwszych półkach biblioteki domowej?

Chyba ważniejsze co w sypialni, bo w salonie zgodnie z tradycją krakowską, malarstwo młodopolskie, ale skonstrastowane z cyklem *Tryptyku Armenii* Trzebiatowskiego. Zaś w sypialni, to Panek, Kraupina, Srzednicki, Otręba, Mianowski, Bunsch, Kunce i panie: Tchórzewska, Bonczar, Warszler oraz graficy skandynawscy, to między innymi, bo to ponad trzydzieści nazwisk. Lubię otaczać się przyjaciółmi a i od wrogów nie stronię, bo to dzięki nim mam motywację do walki z sobą samym, przede wszystkim, oni zagryzają się sami.

Książki. Wciąż za dużo, stąd pęczniej piwnica. Jest jednak jedno dzieło ponad wszystkimi, które także czeka w innych pracowniach, innych miast, to *Upaniszady* a także Konfucjusz – dialogi, Platon, który tak pięknie szydził z równości i demokracji, a *Uczta* z Platonem to inna uczta niż z Dantem, któremu poświęciłem poemat tłumaczony nawet na język kaszubski.

Bazę stanowi trzynastcie tomów „Sztuki świata”, z których uczę się, uczę się, uczę.

Proszę zdradzić plany artystyczne ...

W każdej z wspomnianych dziedzin twórczości osiągnąć apogeum swoich możliwości. A w działaniach społecznych oddać ludziom to, czym obdarzyli mnie bogowie.

Kiedy znów spotkamy się na wystawie artystów Stowarzyszenia Twórczego „Polart”, którego jest Pan założycielem?

Słowo „założyciel” przywołać należy wielokrotnie, bo POLART i 20 lat prezesowania, bo Stowarzyszenie Twórcze Nowa Huta i 18 lat prezesowania, bo w 1957 roku Oddział Akademicki PTTK, którego byłem pierwszym prezesem. Tu także trzeba przywołać wielokrotnie „członek założyciel” m. innymi Towarzystwa Muzycznego w Krakowie, Stowarzyszenie Pastelistów Polskich (31lat vice-prezesowania), Stowarzyszenie „Podziemia”, Stowarzyszenie Dziedzictwa Pomorza, dwu ostatnich członkostwa honorowe itd., itp. A salon „Polartu” będzie jak co roku jesienią. Tu raz jeszcze przywołam słowo „jednia”. Sztuka jest jedna, muzyka, poezja, sztuki piękne a także przedstawiciele innych dziedzin, którzy przekraczają próg rzemiosła, stanowią jednię, tę która wiedzie nas do wielkiego humanizmu. Kiedy w1989 roku powstało Stowarzyszenie Twórcze „Polart” byłem pewny, że jedność nauki, sztuki i dojrzałego odbiorcy są bazą, na której kwitnąć będzie sztuka nowa i odkrywca. Że w świecie antagonizmów zdołamy być siewcami dobra.

Dziękuję za wymagającą skupienia rozmowę o świecie wybitnego twórcy sztuki współczesnej, którego „wizje artystyczne zmiierzają ku przyszłości związanej z przestrzenią kosmiczną”. Gratuluję osiągnięć, Maestro.

I ja dziękuję.

Sam jestem w drodze do Absolutu. Gdy powrócę, dopowiem resztę (śmiech).

Jama Michalika, Sala Fryczowska (Zielona), 06.03.2023



ANNETTE FABIANI

SZAMPAŃSKA KSIĘŻNICZKA

PRZEKŁAD MARIOLA STERNAHL

Reims, wrzesień 1888 roku

Rozpruwacz znów zaatakował. Cały Londyn w strachu!

Henry Vasnier westchnął głęboko, po czym opuścił gazetę na kolana. Już pierwszy nagłówek – Najnowsze doniesienia ze świata – pozbawił go kompletnie zainteresowania dalszą lekturą. Ostatnio nawet *Courrier de la Champagne* coraz częściej, i to na czołowym miejscu, zamieszczał przerażające wiadomości z zagranicy. Pomyśleć tylko gdzie ten świat zaszedł? W czasach jego młodości byłoby to nie do przyjęcia. Na samą myśl o tym wszystkim, Henry Vasnier westchnął ponownie, upijając przy tym kolejny łyk porannej kawy.

– Czy podać panu coś jeszcze, *monsieur*? – spytała pokojówka.

Henry kręcąc przecząco głową, posłał młodziutkiej Héloïse uśmiech, dając tym samym znak, że może odejść. Patrzył jak opuszcza pokój, zamykając cichutko drzwi. Mógł sobie pogratulować decyzji o zatrudnieniu tej dziewczyny. Wolał ładną twarz służącej, od cierpkiego grymasu jakiegoś lokaja. I obojętnym mu było, że Anglicy preferowali tego drugiego. Osuszył siwe wąsy serwetką, po czym ponownie sięgnął po *Courriera*. Pomiął opis ohydneho zabójstwa prostytutki w Londynie, przechodząc od razu do wiadomości lokalnych. Zatrzymał wzrok na jednym z doniesień, które choć nie było umieszczone w żadnym znaczącym miejscu, to jednak trudno było go nie zauważyć:

Reims: Czy dom szampański Veuve Pommery jest niewypłacalny?

Henry Vasnier z niedowierzaniem przeskoczył wzrokiem kilka kolejnych linijek:

„To niewiarygodne! – pomyślał zszokowany – Te łajdaki: Roederer, Riunart i im podobni nie cofną się przed niczym!”

Drzwi pokoju porannego, w którym zwykł jadać śniadanie otworzyły się i do pomieszczenia wkroczyła ponownie wzburzona Héloïse:

– Przykro mi, *monsieur*. Przyszedł gość, który nie chce dać się odprawić. Powiedziałam mu, że o tej porze dnia nikogo pan nie przyjmuje i, że powinien się wpięć w zapowiedzieć w biurze handlowym, ale ... – Pokojówka bezradnie rozłożyła ręce.

– Kto to jest, Héloïse? – spytał Henry.

– *Monsieur Barthélemy*.

– Już dobrze. Wprowadź go do środka.

Vasnier złożył gazetę i odłożył ją na stół.

„Plotka szybko się rozniosła” – pomyślał cynicznie.

Winiarz, który podekscytowany wtargnął przez drzwi, wyglądał na człowieka odchodzącego od zmysłów.

Włosy sterczały mu we wszystkich możliwych kierunkach. Twarz zaś, która zazwyczaj była czerwona od codziennego kosztowania wina, które weszło mu w krew, miała teraz odcień dojrzałych, ciemnych winogron.

– Dzień dobry, panie Barthélemy – emanujący spokojem Henry przywitał gościa – Co też tak wcześniej sprowadza pana do Reims?

– To teraz nie jest ważne, *monsieur Vasnier* – zgasił go mężczyzna.

– Nie chce pan spocząć? – Henry zapraszającym gestem dłoni, wskazał przybyszowi miejsce naprzeciwko siebie. – Służąca z przyjemnością przyniesie panu filiżankę pachnącej kawy.

– Nie... nie trzeba. – Barthélemy wpięć odmówił, ale po chwili zastanowienia energicznym ruchem przyciągnął krzesło w swoim kierunku.

– Héloïse, przynieś proszę naszemu gościowi kawę i dodatkowe nakrycie – powiedział Henry pewnym siebie głosem, zabierając tym samym przybyszowi odwagę, z którą tutaj przed chwilą wkroczył.

– No to mów przyjacielu, czym mogę ci służyć? – spytał gospodarz, rzucając jeden z tych uśmiechów, którymi mógłby poszczycić się sam arcybiskup Reims. Tymczasem Barthélemy, skubiąc nerwowo materiał brązowej kamizelki, opinającej jego wielki brzuch, powiedział:

– Mam nadzieję, że nie będzie pan miał mi za złe tego wtargnięcia, *monsieur Vasnier*. Wiem, że nie lubi pan być nękanym w domu sprawami interesu. Wzrokiem niepewnym powiódł po wyszukanych meblach i dziełach sztuki, którymi wypełniony był pokój. Nagle, jego podniecenie, w takim miejscu, wydało mu się czymś wysoce nie na miejscu. Poczul

się zawstydzony swoim nieokrzesanym prostactwem, jakie zaprezentował przed chwilą. Jednak uprzejma mina gospodarza dodała mu z powrotem animuszu i już po chwili kontynuował to, po co tu przyszedł:

– Przeczytałem dziś rano w Courrierze, że podobno dom szampański Veuve Pommery ma być niewypłacalny... Nie mogłem tak po prostu wrócić do domu bez wyjaśnienia tej sprawy. Jesteśmy w samym środku zbiorów. Chyba pan to rozumie? – wyrzucił z siebie jednym tchem winiarz.

– Oczywiście, że rozumiem, drogi panie Barthélemy – odparł Henry z udawaną jowialnością. – Ale nie ma powodu do niepokoju. Tego typu notatka w gazecie nie jest niczym więcej, aniżeli złośliwą plotką, zamieszczoną przez konkurencję, której na świecie przecież nie brakuje. Dom szampański Veuve Pommery nie ma żadnych problemów finansowych. Niemniej jednak, to dobrze, że przyszedł pan do mnie ze swoimi obawami, *monsieur*.

– Wpierw pomyślałem, żeby zwrócić się do madame Pommery – powiedział Barthélemy.

– Na szczęście, przyszedł pan najpierw do mnie – odparł Henry, zmuszając się do uśmiechu. – Madame Pommery nieźle zmyłaby panu głowę i z pewnością nie byłaby to przyjemna rozmowa.

– Tego właśnie się obawiałem – przyznał Barthélemy i głośno przełknął ślinę. – Dlatego wolałem wpierw porozmawiać z panem, *monsieur Vasnier*.

– Daję moje słowo honoru, że w plotkach na temat naszego domu, nie ma ani krzty prawdy – powiedział Henry i spojrzał prosto w twarz swojego rozmówcy.

Odkąd sięgał pamięcią, wyjątkowo dobrze rozumiał konieczność skrywania prawdziwych uczuć za maską opanowania. W ten sposób prowadził najbardziej dochodowe interesy i zakupił niejedną antyk za znikomą część jego prawdziwej wartości.

– To znaczy, że zrealizujecie swoje zobowiązania? – zapytał Barthélemy, trochę już uspokojony.

– Ależ oczywiście, *monsieur* – zapewnił Henry. – Zawarliśmy umowy związane z odbiorem pańskich zbiorów i zapisów tychże dotrzemy. Nie ma pan najmniejszego powodu do zmartwienia – dając do zrozumienia, że rozmowa tym samym została zakończona.

Kiedy Henry wstawał, na jego twarzy ponownie zagościł ten specyficzny interesowny uśmiech, a Barthélemy poczuł się zobligowany aby również podnieść się ze swojego miejsca. Gospodarz pociągnął za sznurek dzwonka, wiszącego na ścianie obok kominka.

– Życzę szczęśliwej drogi do domu – powiedział i na pożegnanie poklepał winiarza po ramieniu.

– Héloïse, wyprowadź naszego gościa – poprosił Henry, gdy służąca weszła do pokoju.

Kiedy za Barthélemy zamknęły się drzwi, Vasnier pozostał jeszcze chwilę przy stole, przy którym spokojnie jadł wcześniej śniadanie. Stał i spoglądał na Courrier de la Champagne, leżącego obok filiżanki porannej kawy.

– Cholera... – syknął przez zaciśnięte zęby. – Cholera...!

Uroczy, mały domek letniskowy 1, który madame Pommery zleciła wybudować w wiosce Chigny, położonej pośród łagodnych wzgórz i lasów, na południe od Reims, usytuowany był na końcu długiego podjazdu, którego nawierzchnię pokryto piaskiem. Dwupiętrowy budynek z wysokimi oknami wyglądał elegancko, jednak nie pretensjonalnie i w żadnym wypadku nie przypominał zamku. Ze względu na swój piękny i rozległy park, był wyjątkowo popularny wśród angielskich klientów Domu Pommery, nierzadko wywodzących się z towarzystw łowieckich.

Henry trzymając kapelusz i laskę, niecierpliwie czekał, aż lokaj raczy je od niego odebrać, po czym stanowczym głosem oznajmił:

– Proszę natychmiast zaanonsować moje przybycie madame Pommery – jego ponury wyraz twarzy sprawił, że służący niemal biegiem udał się do swojej pani. Każdy pracownik Domu Pommery miał świadomość wpływów pana Vasniera, który nie tylko był współnikiem w firmie, ale również wieloletnim przyjacielem szefowej.

Tymczasem Jeanne Alexandrine Pommery już od wielu godzin, jak każdego ranka, siedziała przy swoim biurku, prowadząc korespondencję z klientami, przedstawicielami handlowymi i dostawcami. Kiedy Henry Vasnier wszedł do gabinetu, wdowa odłożyła wieczne pióro i popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

Ogromne biurko, przy którym siedziała, prawie w całości wypełniało pomieszczenie. Poza tym znalazło się tu tylko miejsce na szafy z dokumentami oraz dwa krzesła dla petentów. Wbrew panującej modzie, na ścianach w kolorze bieli nie było żadnych precjozów ani obrazów, zaś krzesła stały w równej linii przed biurkiem, niczym żołnierze na apelu. Był to gabinet pragmatycznej i racjonalnej kobiety. Jakby to było niewystarczające, zdaniem madame Pommery piękny widok za oknem jedynie by ją rozpraszał, dlatego siedziała odwrócona do niego plecami.

– Na spacer będzie czas po skończonej pracy – twierdziła. Henry obserwował bacznie postać za biurkiem, dobierając skrupulatnie w głowie słowa, którymi zamierzał zwrócić się do niej za chwilę.

Twarz Jeanne Pommery charakteryzowały wyraźne rysy, wysokie kości policzkowe, prosty, lekko wysunięty nos i usta, wyrażające zdecydowanie. Jedyne czego nie można było zauważyć w tej twarzy, to śladów upływającego czasu. W kwietniu obchodziła sześćdziesiąte dziewiąte urodziny, a jej błada skóra wciąż była gładka. Tylko w kącikach oczu wychwycić można było kilka kurzych łapek, zdradzających, że śmiała się częściej, aniżeli wskazywał na to jej surowy wyraz twarzy. Od razu zauważył, że tego ranka wydawała się być trochę zmęczona. Na dodatek, malwowy kolor wysoko zapiętej pod szyję bluzki oraz wdowi czepiec, wetknięty we włosy na czubku głowy, jeszcze bardziej podkreślały cienie pod oczami. Jej włosy tylko gdzieś tam poprzetykane były siwymi pasmami.

Henry przywitał ją i czekał. Dopiero po wyraźnym poleceniu kobiety, które wydała gestem ręki usiadł na krześle

przez nią wskazanym.

– Wygląda pan na wzburzonego, drogi przyjacielu – zauważyła Jeanne Pommery.

Dostrzegła również, że jego krawat był poluzowany, a kołnierzyk koszuli pomięty. Siwe włosy, zazwyczaj starannie zaczesane od czoła w górę, pomimo nałożonej pomady, której zadaniem było utrzymywanie fryzury w nienagannej pozycji, odstawały nieco po bokach, zaś końcówki wąsów nosiły ślady porannej kawy.

– Czytała pani dziś rano Courriera? – zapytał Henry, podając jej gazetę.

Zdumiona Jeanne wzięła ją do ręki, po czym zaczęła czytać informację, którą jej wskazał.

– To nie do wiary – odparła. – Wie pan kto odpowiada za to kłamstwo?

– Nie wiem, ale mogę się domyślać – odpowiedział Henry – Nasza droga konkurencja. Najprawdopodobniej w tego rodzaju podstępnych fortelach prym wiodą pracownicy Moëta, ale myślę, że ludzie z Ruinartha w niczym im nie ustępują, a i załoga Werlégo z Clicquot pewnie też nie jest lepsza. Śmiem nawet twierdzić, że połączyli siły, by osłabić naszą pozycję. Jedyne czego nie rozumiem, to dlaczego właśnie teraz.

Jeanne Pommery zacisnęła wąskie usta.

– Wszyscy wiedzą, że w tym roku nie urządzamy polowań – powiedziała zamyślona.

– Po fatalnej lipcowej pogodzie nie mieliśmy wyjścia – dodał Henry. – Nikt się nie spodziewał, że końcówka lata będzie aż tak ciepła. Jak się zorientowaliśmy w czym rzecz, to wysłanie zaproszeń już i tak nie miało sensu. Głównie mam na myśli naszych angielskich gości, którzy z pewnością podjęli już inne zobowiązania i przyjęli zaproszenia z innych miejsc. Angolicy są mniej wrażliwi na pogodę – dodał pogardliwie.

Jeanne spuściła wzrok i powoli odwróciła wieczko pudełka na pióro wieczne, które podarował jej jeden klient z Ameryki.

– To prawdopodobnie nie jest jedyny powód – powiedziała cicho. – Nie wiem jak, ale musieli się dowiedzieć, że w zeszłym tygodniu odwiedził mnie doktor Richaud.

– Doktor Richaud? – powtórzył zaskoczony Henry, a jego podłużną twarz przeszył wyraz troski. – Chyba nie jest pani chora, madame?

Uśmiechnęła się, nawet na niego nie patrząc.

– To tylko zwykła niedyspozycja. Marie-Céleste nalegała, abym skontaktowała się z lekarzem.

– Ta smarkuła pozwala sobie na zbyt wiele – powiedział z wyraźną dezaprobatą Henry. – Przecież to zwykła dziewczka, która awansowała na pokojówkę. Nie posiada nawet stosownej ogłady, którą mogą się poszczycić dobrze wyszkolone służki.

– Jak dobra Lafortune? – odparła Jeanne.

Za każdym razem, gdy wspominała starą służącą, z którą dzieliła prawie dwie dekady swojego życia, czuła smutek nieznośnie ciężący na jej barkach. Isabelle Lafortune była nie tylko służącą. Była raczej powierniczką, niemalże przyjaciółką. Jej śmierć rok temu była dla Jeanne ogromnym ciosem.

– Myli się pan. – powiedziała – Lafortune z pewnością

również posłałaby po lekarza. Co do tego Jeanne nie miała wątpliwości. Lafortune była bowiem niezmiernie opiekuńcza.

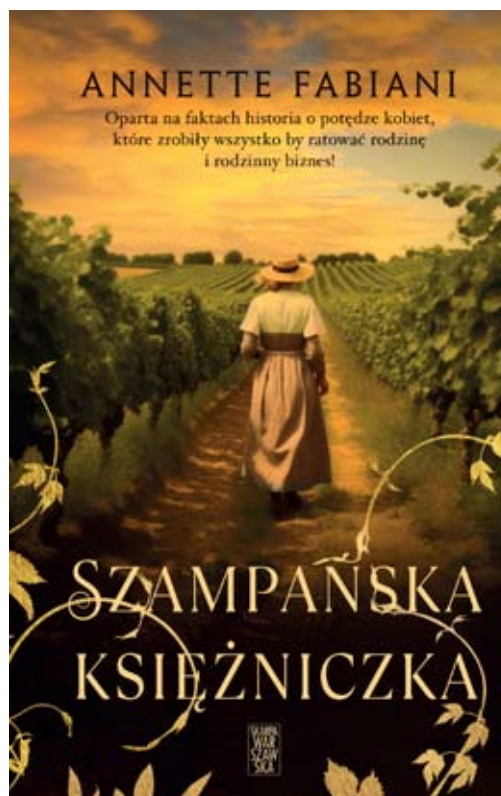
– Teraz mnie pani wystraszyła na dobre, madame – powiedział Henry. – Skąd więc ta pewność, że to jakaś błąhostka?

– Mój drogi przyjacielu, proszę się nie martwić. Mówiłam już: to nic poważnego. Drobną niedyspozycją, która w moim wieku ma prawo częściej się przydarzać. Nawet już o niej nie myślę.

Trzymała wzrok cały czas opuszczony na papier listowy, leżący przed nią na biurku. Nie chciała, aby zauważył jej niepokój. Nie chciała go obciążać swoimi zmartwieniami. Bo i co by to dało? Nawet gdyby wiedział o krwi, którą wymiotowała każdego poranka? Od lat, z różną częstotliwością, obserwowała niewielką jej ilość przy porannej toalecie. Ale przecież to nie musiało od razu oznaczać czegoś złego. Stanowczo odepchnęła od siebie złe myśli, zmuszając się do przyjęcia wyprostowanej postawy, co zresztą czyniła od zawsze. Podniosła wzrok na starego towarzysza, lustrującego ją z wyraźnym niepokojem.

– Wygląda na to, iż moi rywale podejrzewają, że jestem już jedną nogą w grobie – zażartowała Jeanne. – I jak te szcuchy, wyłazą spod podłogi, przekonani, że kilka złośliwych plotek pozwoli nas zniszczyć. Pokażmy im, jak bardzo się mylą. Jaka reakcja, będzie najbardziej odpowiednią z naszej strony, na te pomówienia?

Annette Fabiani, *Szampańska Księżniczka*, Wydawnictwo Skarpa Warszawska, 2023



AMIR OR

MODLITWA ORFEUSZA

Śmierć i więcej śmierci, piasek i więcej piasku.
Staliśmy na placu, głodni życia, jak cień gór
okrywając miasto obrazami budzących się snów.
Czy ona tam była?
Obcy swojemu ciału, z trudem łapałem powietrze:
ile jeszcze lat błądzić będziemy po umarłych piaskach?
Góra jest złudzeniem.
Piaski wędrują pod naszymi stopami jak pamięć,
która nie ma początku,
i wszędzie –
jedno miejsce.
Skąd przyszliśmy? Czy droga wiedzie w dół czy w górę?
Czy idziesz za mną? Może idę za tobą?
Samotnie, po gnijących twarzach topielców, przeszliśmy
rozległe moczary. Nieśmiertelni od lat.
Na poddaszu, w Amsterdamie, widzieliśmy wielki smutek w oknie.
Jak długo wędrować będziemy pustynią od śmierci do śmierci?
Daj nam dziś nową przeszłość, śmierć nową nam daj.
Nasze życie dzisiejsze daj nam dzisiaj.

BARBARZYŃCY: PRZYJŚCIE DRUGIE

Nie na próżno czekaliśmy na barbarzyńców,
nie na próżno zbieraliśmy się na placu.
Nie na próżno nasi oratorzy nakładali togi
i pilnie ćwiczyli stosowne przemowy.
Nie na próżno w gruzach legły świątynie
i wyrosły nowe dla ich bogów;
słuszne było, że książki spłonęły,
bo ich mądrość nie dla takich jak oni.
Jak głosiła wyrocznia, barbarzyńcy przybyli
i król wręczył im klucze do miasta.
Ale kiedy przybyli, oblekli się w szaty tej ziemi
i obyczaj ich stał się majestatem prawa;
i gdy w naszym języku wydali rozkazy,
opuściła nas pamięć, kiedy
barbarzyńcy przybyli.

Przekład Beata Tarnowska

HASSANAL ABDULLAH

CZAS WIĄŻE RĘCE

Czas wiąże ręce
Wojna i głód – wieczny terror
podejrzenia skłóconych społeczności
zmęczenie całością życia wraz z jego rozkładem
wciąż niezawodne...
Czas wiąże ręce

jak szaleni regularnie zrywa łańcuch dźwięków
wszędzie poszukując wściekle flag zwycięstwa
maniakalnie wyrzuca garści wiatru w niebo
niezgłębionej statystyki bezsennej ciemności
bo wówczas także...
Czas wiąże ręce

obok żyznej ziemi Szekspir podąża
ku wieczności zabierając z sobą alfabet
ważność znaczenia liczb jest edytowana –
Fermat zasiadł na ławach nauki poza osądem
jeszcze wcześniej Galileusz wielki syn Galileo
powiększył swoje myśli pod teleskopem
zsyłając światło na całą Ziemię
lecz ślepy człowiek wciąż tkwi w więzieniu ciemności

po drugiej stronie granic zamieszkują
święci poeci Wisnuizmu
Madhusudan Dutt czy Rabindranath Tagore
a Kazi Nazrul Islam dostraja swój flet
i przywołuje jego grą samorządność w cywilizacji
marząc o suwerennej krainie
ukierunkowuje odważny pościg –
bo tam również...
Czas wiąże ręce

pamięć o obcej kulturze
w nieustającej udręce brytyjskiej zarozumiałości
kopie prymitywny grobowiec
w radości z dzielenia się podbojem
i żyje uporządkowanym życiem –
w domach skąpanych krwią Afryki i Azji
z poturbowanym sumieniem
jakby spod uderzeń końskich kopyt...
Czas wiąże ręce

od mrozącej przeszłości do niewypowiedzianej przyszłości
z upiornego wręcz krzyku
wyłania się inne życie dla ludzi –
głowa, ramię, serce stopniowo nakazują
wzmocnionym trzewiom rozpętać czystkę
zmuszając je do uwolnienia się
od sępów i knurów –
zwrócić się ku rozświetlonej zieleni
Cała Prawda
idzie dalej i wciąż niestrudzenie posuwa się naprzód...
Czas ujmuje dłonie

Przekład z angielskiego Katarzyna Georgiou



Paul Anka i Diana

ANDRZEJ BOGUNIA-PACZYŃSKI

PANIE I PANOWIE: PAUL ANKA!

30 kwietnia 1957 roku po wspólnym koncercie Chucka Berry'ego i Fatsa Domino w hali Ottawa Auditorium do garderoby tego ostatniego zajrzał znany amerykański producent muzyczny i właściciel sieci sklepów płytowych, Irvin Feld – chciał porozmawiać o najnowszym nagraniu Fatsa „The Big Beat” [01]. Jakież było jego zdziwienie gdy zastał tam młodego, ciemnowłosego chłopaka żywo i bez żadnego skrępowania dyskutującego z gwiazdorem. Ponieważ młodzieniec nie ograniczał się tylko do pochwał i zachwytów, dopytywał także o szczegóły techniczne występu, a nawet pozwalał sobie na uwagi krytyczne, Feld, aby uwolnić Fatsa od natrętnego wielbiciela, zdecydował się przerwać tę rozmowę i wyprosić intruza. Poirytowany nastolatek tłumaczył, że zawsze stara się rozmawiać z goszczącymi w Ottawie pieśniarzami, żeby się czegoś nowego dowiedzieć i nauczyć, bo sam też komponuje i pisze piosenki. – „Gram na pianinie i śpiewam, jeszcze pan o mnie usłyszysz, kiedyś będę sławny, zobaczy pan... – odgrażał się, opuszczając garderobę. – Nazywam się Paul Anka, niech pan zapamięta!...”

Kilkanaście dni później niespełna szesnastoletni Paul Anka – wspierany przez kolegów ze szkolnego kwartetu Bobbysoxers i zaprzyjaźnionych członków chóru kościelnego, w którym śpiewał – udał się do Nowego Jorku, do nowo utworzonego studia nagrań ABC-Paramount. Niespodziewanie, przedstawione przez niego piosenki przyjęto z życzliwym zainteresowaniem, a zachwycony głosem Anki kompozytor i aranżer Don Costa doprowadził do podpisania umowy z tą wytwórnią – debiutant z Ottawy otrzymał kontrakt na cztery piosenki (kontrakt podpisali rodzice, bo Paul był jeszcze za młody). Nagrania dokonano 15 maja 1957 r.; czwartą z tych piosenek była „Diana”, skomponowana przed dwoma laty dla ukochanej dziewczyny, koleżanki z wyższej klasy, i zapisana na ostatniej stronie zeszytu do geografii.

Singiel Paula Anki „Diana / Don't Gamble With Love” ukazał się na rynku 2 lipca. Jeszcze tego samego dnia Irvin Feld, pilnie śledzący nowości płytowe, odnalazł Ankę i zadzwonił do Ottawy, pytając czy ma już swojego impresaria...

„Diana” – przejmujący song, żarliwe wyznanie młodzieńczej miłości i tęsknoty wyśpiewane charakterystycznym, płaczącym nieco tonem chłopięcej skargi, w kapitalnej aranżacji Costy i w porywającym wykonaniu Anki – po sensacyjnym debiucie, 7 sierpnia, w „American Bandstand” natychmiast trafiła na szczyty list przebojów; miesiąc później, 8 września, cała Ameryka zobaczyła i usłyszała 16-letniego pieśniarza w najpopularniejszym telewizyjnym programie muzycznym „Ed Sullivan Show” (Sullivan zaprosił również Dianę, ale ukochana Paula nie zdecydowała się na wspólny występ). W ciągu pierwszych czterech miesięcy, od lipca do października, sprzedano milion egzemplarzy tego nagrania; „Diana” przyniosła Paulowi sławę, ABC-Paramount uhonorowała go odlaną ze złota płytą, a burmistrz Ottawy tytułem „Obywatela Roku 1957”. Oszałamiające powodzenie „Diany” nie było jednorazowym sukcesem – swój talent kompozytorski i wokalny Anka potwierdził wkrótce kolejnymi utworami.

„Mając szesnaście lat Anka był nikim, nikt nie znał jego nazwiska... – pisał o nim w 1959 r. Lucjan Kydryński. – A mając osiemnaście lat Anka był milionerem! Posiadał wydawnictwo muzyczne, stację telewizyjną, dwie kamienice, trzy limuzyny i fanatycznych zwolenników w pięciu częściach świata...” [02]. Po wysłuchaniu zaś na żywo koncertu Anki w Bostonie donosił w korespondencji z USA: „Paul Anka, autor 'Diany' – to chłopak, o którym marzą dziewczęta na wszystkich kontynentach!” [03].

Rok wcześniej, w kwietniu 1958 r., Lucjan Kydryński po raz pierwszy zaprezentował „Dianę” polskiem słuchaczom – w świątecznej, przygotowanej przez Rozgłośnię Krakowską PR

„Rewii piosenek” [04] Kydryński tak przedstawiał twórcę i wykonawcę tego światowego już bestsellera:

„Paul Anka – pieśniarz kanadyjski pochodzenia syryjskiego, syn restauratora z Ottawy, ma 17 lat [05], karierę rozpoczął ledwie rok temu, nagrywając dla wytwórni płyt ABC-Paramount piosenkę 'Diana' napisaną specjalnie dla jego ukochanej, starszej koleżanki Diany [06] – piosenkę, która przyniosła mu międzynarodową sławę...”

Po tej premierowej prezentacji „Diany” redakcja „Rewii piosenek”, a także redakcja radiowej „Muzyki i aktualności” od początku konsekwentnie lansującej przebój Anki, były zasympowane listami słuchaczy, głównie słuchaczek, proszących o powtórzenie tego nagrania. „Diana” w krótkim czasie zyskała w Polsce niebywałą popularność, rywalizując z najgłośniejszymi szlagierami tamtych lat, takimi jak choćby „Que sera, sera”, „Only You” czy „Most na rzece Kwai”. Bardzo szybko też znalazła wielu naśladowców, usiłowali ją śpiewać amatorzy, włączali do swojego repertuaru zawodowi piosenkarze. Jednym z pierwszych – pierwszym, jeżeli nie w Polsce, to na pewno pierwszym w Krakowie – był Antoni Kaczor (Toni Keczer) [07] z nowohuckiego Ogniska Młodych ZMS HiL, który już w lipcu 1958 r. po raz pierwszy zaśpiewał publicznie „Dianę” podczas koncertu w niepołomickim amfiteatrze [08].

Doskonałym odtwórcą „Diany” okazał się niebawem solista utworzonego w kwietniu 1959 r. pierwszego polskiego zespołu rockandrollowego Rhythm & Blues Bogusław Wyrobek, czyli... „polski Presley”. Oprócz bowiem utworów z repertuaru Elvise Presleya, Wyrobek zasłynął też z brawurowego wykonania „Diany”. – „Megagwiazdą zespołu Rhythm & Blues był Boguś Wyrobek... – wspominał Andrzej Jordan, solista Czerwono-Czarnych. – Gdy śpiewał 'Dianę' dziewczyny dostawały spazmów...” [09].

Po rozwiązaniu grupy Rhythm & Blues [10] Wyrobek występował z Zespołem Jazzowym Zygmunta Wicharego; w lipcu 1960 r. nagrał z tym sekstetem pierwszą w Polsce płytę rockandrollową. Znalazła się na niej – obok utworów B. Haleya i E. Presleya – także „Diana (medium-rock)” Paula Anki, a całą płytę (czwórkę) tak właśnie zatytułowano – „Diana”. Kilka miesięcy później, 9 i 10 października, tę i inne piosenki z repertuaru Anki Wyrobek zaśpiewał po raz pierwszy w Krakowie, w hali Wisły i w nowohuckiej hali Garaży, podczas występów Zespołu Z. Wicharego w programie estradowym „Solisci mają głos” [11]. Entuzjastycznie przyjmowany przez młodzieżową widownię „kącik rockandrollowy” Wyrobka w tych koncertach był największą atrakcją imprezy.

Pierwszy w Polsce koncert Paula Anki odbył się w Katowicach, 15 listopada 1963 r., w wypełnionej do ostatniego miejsca Hali Parkowej.

„Osobiste zetknięcie z Paulem Anką w piątek w Hali Parkowej potwierdziło ogólne oczekiwania: to był taki właśnie Paul Anka, jakiego znamy z płyt... – pisał report „Trybuny Robotniczej” – Młodzież, a dla niej przede wszystkim był to koncert, znalazła potwierdzenie klasy swojego ulubieńca.

Słyszeliśmy prawie wszystkie jego wielkie przeboje z 'Dianą' na czele... Anka jest niezwykle swobodny i pewny swego głosu, jest absolutnie muzykalny, szybko nawiązuje kontakt z publicznością, wie doskonale dla kogo śpiewa i jaką ma 'klientelę' na sali. Gra młodego chłopaka, kolegę i rówieśnika słuchaczy. To bierze. Śpiewa dla młodych, o młodych i po młodzieńczemu” [12].

Koncert składał się z dwóch części. Najpierw były najsłynniejsze przeboje Anki: na początku zawsze „Diana”, potem kolejno – „You Are My Destiny”, „Puppy Love”, „Lonely Boy”, „I Love You Baby”, „Put Your Hand on My Shoulder”, „It's Time to Cry”... Na koniec najnowsze utwory: tytułowa piosenkę (marsz) z filmu „The Longest Day” (w którym Anka zadebiutował jako aktor) [13] i nowy przebój, nagrany tuż przed wyjazdem do Europy, „Happy Birthday”. Druga część występu miała charakter estradowego „koncertu życzeń”, improwizowanej zabawy z publicznością – kończyły ją zawsze bossa nova „Eso beso” i dynamiczna „Jambalaya”.

„Anka śpiewał bez wytchnienia. Po kilkunastu piosenkach powiedział: „Teraz dopiero zacznie się przedstawienie!” – relacjonował wysłannik „Dziennika Polskiego”. – Żartobliwym gestem zdjął krawat i – zresztą bez dalszych ekstrawagancji – dał 'koncert życzeń', wykonując nierzadko przy własnym akompaniamencie na fortepianie utwory żądane przez publiczność. Pozostające w uchu, rytmiczne kompozycje Paula Anki, niezwykle silny głos, dynamizm i młodość sprawiły, że był to wieczór dużych emocji, czego dowody dała również publiczność katowicka w postaci ciągłych owacji, jakich nasilenia nie przypominam sobie z żadnej z dotychczasowych imprez zagranicznych. Naporowi słuchaczy na estradę w momencie rozdawania zdjęć piosenkarza przeciwstawił się w końcu musiał spory oddziałek milicji...” [14].

Wszystkie polskie koncerty Paula Anki zapowiadał oczywiście Lucjan Kydryński. W opublikowanym później na łamach „Przekroju” obszernym reportażu konferansjer „Paul Anka Show” wyznał, że początkowo widywał swojego bohatera... tylko na estradzie. W pierwszych dniach występów Anka był prawie zupełnie niedostępny – zamykał się w hotelowym pokoju, unikał kontaktu z dziennikarzami, stronił nawet od swoich muzyków, z którymi spotkał się na jednej próbie w Katowicach, później już tylko na koncertach. Takie zachowanie sławnego artysty nie było jednak przejawem lekceważenia czy gwiazdorskich fanaberii – bardzo szybko okazało się, że Paul jest skromnym, bezpośrednim i kontaktowym młodym człowiekiem, jak pisał Kydryński – „ogromnie sympatycznym, miłym i kulturalnym chłopakiem trochę jeszcze dziecinny i trochę przerażonym własną, nieco obłądną popularnością”.

Na przeprowadzenie dłuższego wywiadu zabrakło wprawdzie czasu, ale zdołał Kydryński zanotować kilka krótkich wypowiedzi piosenkarza. Oto co, między innymi, usłyszał od Paula Anki:

„Gdy skomponowałem moją pierwszą piosenkę, „Dianę”, umiałem trochę czytać i pisać nuty. Grałem dość kiepsko na fortepianie i jeszcze gorzej na gitarze. Wystarczająco jednak, by zanotować melodię, a nawet jej tło harmoniczne. Nie uczyłem się przedtem muzyki w szkole. Miałem wtedy 15 lat... (...) Zdaję sobie sprawę, że na występie nie śpiewam przez pełne 60

minut, lecz także dużo „błądząc”: śpiewam z publicznością, zarzuć z muzykami, improwizuję okolicznościowe piosenki itd. Ale pamiętajmy, że to nie ma być recital pieśniarski: show ma swoją specyfikę. Na show publiczność przychodzi nie po to tylko, aby się „nasłuchać”, ale i po to, żeby się zabawić..... (...) Zazwyczaj pracuję, tzn. występuję na estradzie przez pół roku, drugie pół roku przeznaczam na wypoczynek, komponowanie, dokształcanie się, nagrywanie płyt.... (...) W Polsce po raz pierwszy mieszkałem w tym samym hotelu, co moi muzycy. W innych krajach mieszkamy zawsze osobno. Ja i moja żona musimy zatrzymywać się w najdroższych hotelach. Nie dlatego, żeby nam to sprawiało szczególną przyjemność, ale to należy do mojej „publicity”. Mój impresario nigdy nie pozwoli mi na tańszy hotel, bo w tańszych hotelach mieszkają gwiazdy „drugiej kategorii”... (...) Solista nie powinien żyć zbyt blisko, zbyt przyjacielsko ze swymi muzykami. Wtedy bowiem atmosfera na koncertach staje się raczej towarzyska niż zawodowa, nie ma tego ustawicznego napięcia z ich strony, które obecnie odczuwam natychmiast, gdy wchodzę na estradę. Muzycy są czujni na każde moje zawieszenie głosu, każde skinienie ręki – dlatego mogę na scenie robić wszystko na co mam ochotę. Gdy zostaniemy przyjaciółmi, ich czujność natychmiast się rozluźni, zetrąca wrażliwość, Na moim spektaklu muzyk nie może ani przez chwilę znajdować się w stanie odprężenia, od tego zależy powodzenie występu.... (...) Koresponduję z tysiącami czy nawet setkami tysięcy moich entuzjastów na całym świecie. Niestety, nie osobiście tylko przez pięć sekretarek. Natomiast wszystkie zdjęcia podpisuję rzeczywiście ja sam – gdy jestem w Nowym Jorku siadam na kilka godzin dziennie i tylko podpisuję, podpisuję... To męczące, lecz i przyjemne!... (...) Czy przyjadę do Polski znowu? Wszystko wskazuje na to, że tak! Pozostaje jedynie kwestia terminu. Mnie osobiście najbardziej odpowiadałby już luty 1964. W każdym razie nikomu z moich polskich słuchaczy nie mówię „żegnaj”, wszystkim mówię „do widzenia!”... [15].

Przy pożegnaniu z Kydryńskim twórca „Diany” wręczył mu drobny upominek – reklamową zapalniczkę z wygrawerowanym napisem „Stolen from Paul Anka” (Skradzione Paulowi Ance).

Podczas tygodniowego tournée po Polsce w listopadzie 1963 roku Paul Anka wystąpił w pięciu miastach: w Katowicach, Wrocławiu, Łodzi, Gdańsku i Warszawie (w Warszawie osiem koncertów). Towarzyszył mu amerykański kwintet pod kierunkiem pianisty Billa Potsa i 12-osobowy gdański Big-Band Jana Tomaszewskiego (w części pierwszej koncertów występowały dwie młode piosenkarki – Francuzka Rachelle Ros i Kubanka Margot Cantero). Krakowa nie uwzględniono niestety na tej trasie koncertowej – ale słynny piosenkarz Kraków jednak odwiedził! Oto bowiem 15 listopada, po drugim koncercie Hali Parkowej Paul Anka kazał zawieźć się nie do hotelu, jak czynił to zawsze (pospiesznie opuszczał scenę, chcąc uniknąć tłumów obiegających go wielbicielek i łowców autografów), ale do... Krakowa. – „Kraków to podobno sławne i piękne miasto” – tak miał się wyrazić o naszym mieście, kompozytor i wykonawca „Diany”, a słowa te zasłyszał i przytoczył w swoim sprawozdaniu obecny na tym koncercie, wraz grupą dziennikarzy krakowskich, redaktor Władysław Cybulski. Po północy Paul Anka dotarł do Krakowa, zatrzymał się w hotelu Francuskim. Następnego dnia

zwiedzał – *incognito*, niezauważony przez nikogo – miasto. Był to dość krótki spacer, bo wieczorem musiał być już we Wrocławiu. Towarzyszył mu nieodstępujący go na krok impresario, Irvin Feld.

Ostatni występ Paula Anki w Polsce – w dniu 22 listopada 1963 roku – został niestety przerwany i nie został dokończony: w przerwie koncertu, kilka minut po godz. 20., nieoczekiwanie na scenę Sali Kongresowej weszli Paul Anka i Lucjan Kydryński, przekazując tragiczną wiadomość, która nadeszła właśnie z Ameryki: prezydent Kennedy nie żyje!...

„Kydryński, tłumacząc słowa Anki oznajmia wszystkim, że koncert nie może się w tej sytuacji odbyć. Publiczność w ciszy i spokoju powoli opuszcza salę... – tak zapamiętał tę chwilę Jan Tomaszewski [16]. – Straszny nastrój za kulisami. Paul Anka i amerykańscy muzycy są zdruzgotani. Bill Pots, pianista, potężne chłopisko, płacze jak dziecko...”

* * *

Do Europy powrócił nawet wcześniej niż zapowiadał, bo już w styczniu 1964 r. – wystąpił wtedy gościnnie na Festiwalu w San Remo. Do Polski jednak nie przyjechał. Upłynąć musiało jeszcze blisko pół wieku, zanim znowu pojawił się – 16 listopada 2011 r. – w Sali Kongresowej. Owacyjnie witany, 70-letni Paul Anka, energicznie zmierzając między rzędami w stronę estrady, ścisnął dłonie i pozdrowiał widzów, orkiestra zaczęła grać znaną melodię i po chwili rozbrzmiały znowu pamiętne słowa: „I’m so young and you’re so old, this my darling, I’ve been told... Oh, please stay by me, Diana!”...

[01] Tytuł tej płyty posłużył kilka lat później F. Walickiemu do nazwania nowego gatunku muzyki rytmicznej wyk. przez „Czerwonoczarnych”.

[02] L. Kydryński, „Znajomi z płyt”, Kraków 1960

[03] L. Kydryński, „Paul, o którym marzą dziewczęta...”, „Dziennik Polski” 23-26.12.1962

[04] „Rewia piosenek”, PR, 6.04. 1958, godz. 21.00

[05] Paul Albert Anka urodził się w Ottawie 30.07.1941.

[06] Diana Barbara Ayoub-Tremblay (1939-2022)

[07] Antoni Kaczor (1935-2009) – założyciel duetu gitar hawajskich A.Stachura-A. Kaczor (1956-58), lider kwintetu Quirino (1958-61), od stycznia 1962 r. solista zespołu Czerwonoczarń, pseud. art. „Toni Keczer”

[08] Wojewódzki Zlot Młodzieży z okazji Święta 22 Lipca w Niepołomicach, 19-20.07.1958

[09] A. Jordan [w:] M. Gaszyński, „Fruwa twoja marynara”, Warszawa 2006

[10] Ostatnie koncerty ogólnopolskiej trasy Rhythm & Blues odbyły się w Katowicach 26.09.1959 r. – planowane na 27 i 28.09. występy w Krakowie zostały odwołane, zespół zawiesił działalność.

[11] W programie „Soliści mają głos” śpiewali: Elisabeth Charles, Rena Holm i Bogusław Wyrobek.

[12] Z. Dutkowski, „Kolega nazwiskiem Paul Anka”, „Trybuna Robotnicza” 18.11.1963

[13] Amerykański dramat wojenny „The Longest Day”, prem. 25.09.1962

[14] W. Cybulski, „Recital młodego krzyku. Paul Anka w Katowicach”, „Dziennik Polski” 17-18.11.1963

[15] L. Kydryński, „Osieć dni z Paulem Anką”, „Przekrój” 24.12.1963

[16] J. Tomaszewski, „Paul Anka w Polsce”, „Jazz” 1/1964



EDWARD KURLETO

POSZUKIWANIE BOGA I CÓRKI

- Kochanie - usłyszał od niej w rozmowie telefonicznej - ja już nie mam siły. Ty musisz jej szukać. Przecież ona nie mogła tego wszystkiego zostawić: kamienicy, sklepów i pracy. Odeszła nic nie mówiąc, poza tym, że zostawiła list, w którym napisała kilka zdań.

Po nieprzespanej nocy Wiktorowi ciężko było dojechać do lotniska na Tullamarine. Kiedy wreszcie zostawił samochód na parkingu długoterminowym, dotarł autobusem pod International Departure i w nerwowej atmosferze przedarł się przez punkt kontrolny, na którym pozbawiano go wszelakich płynów, dezodorantów i narzędzi ostrych. Odetchnął z ulgą, gdy znalazł się w hali prowadzącej go do rękawa, z którego miał się już tylko przedostać do Boeinga 767 należącego do linii Qantas, kursującego na trasie Melbourne - Auckland.

Był początek czerwca, czyli sezon w którym mało kto wybiera się zwiedzać Nową Zelandię. Jeśli już o tej porze tam ktoś leci, to przeważnie na narty. Nawet bez specjalnej spostrzegawczości odnotował obecność dwóch ubranych na czarno mężczyzn, z których jeden był dużo młodszy, a drugi prawdopodobnie w jego wieku czyli po pięćdziesiątce. Przez chwilę wydawało mu się, że go bacznie obserwują.

Właściwie mogła to być jego cholerna obsesja, że jest śledzony, zwłaszcza w kontekście tego co przeżył w ostatnich latach swojej pracy w Polsce. Do końca nie wierzył swojemu byłemu szefowi, że uszanuje zawarty pomiędzy nimi układ i kiedyś nie naśle na niego swojego człowieka, który przewencyjnie spowoduje, by zabrał swoją wiedzę do grobu. Początkowo rzeczywiście tak założył i zmieniał kilka razy nazwisko i adres zamieszkania. Później, w miarę upływu lat, doszedł do wniosku, że może się czuć bezpieczny i że to tylko jego wyobraźnia. Czasami myślał, że może nie powinien obawiać się swoich byłych wrogów, których, co przecież oczywiste, ma nieomal każda osoba wywodząca się jego „z branży”. Musi się po prostu do tego przyzwyczaić i nauczyć się z tym żyć.

Jak tylko zajął swoje ulubione miejsce zauważył, że mężczyźni, na których zwrócił uwagę, usiedli tuż przy nim, więc stał się bardziej czujny.

Długo nie rozmawiali ze sobą ani nie odezwali się do niego do czasu, gdy jako pierwszy dostał zamówiony wcześniej posiłek z dietą niskotłuszczową. Wtedy siedzący przy nim mężczyzna, wyglądający na starszego, zagadnął do niego właśnie na temat specjalnych dietetycznych posiłków. Uznał najwyraźniej, że ten temat stanowi dobry punkt wyjścia do rozpoczęcia rozmowy, w czasie której Wiktor dosyć szybko odrzucił całą swoją podejrzliwość.

Okazało się już w czasie wstępnej wymiany zdań, że ubrany na czarno sąsiad Wiktora jest księdzem misyjnym, podróżującym z młodym australijskim klerykiem na Nową Zelandię. Jak tylko zorientował się, że Wiktor jest Polakiem, ucieszył się bardzo, że ma przy sobie rodaka zainteresowanego problemami religii.

Wszystko wyglądało na początek kolejnej banalnej rozmowy i nie wiedzieć czemu tak się nie stało. Może dlatego, że Wiktor postawił na szczerość, mówiąc otwarcie o swoich rodzinnych problemach związanych z poszukiwaniem Boga i córki.

- Mam wątpliwości, co do tego kim Bóg tak naprawdę jest. Naszym panem, czy naszym przyjacielem.

- Według Biblii Bóg jest bytem bezczasowym, nieskończonym, wszechwiedzącym i wszechmocnym - usłyszał od księdza.

- Rozumiem, że jest bytem wszystkiego przebywającym poza czasem, ale nie rozumiem na czym polega wszechmoc i czy bardziej powinniśmy liczyć na jego srogość czy na dobroć.

- Moim zdaniem możemy liczyć na jedno i drugie zależnie od sytuacji - odpowiedział cierpliwie ksiądz, ale zaraz potem dał do zrozumienia, że nie chce kontynuować tej rozmowy.

- Po co w czasie takiego krótkiego lotu wchodzić w dyskusje na takie trudne tematy. Zresztą pewne sprawy, jak wiadomo, stanowią tajemnicę niezgłębioną i możemy sobie na nie odpowiadać w kategoriach wiary.

- Tak rozumiem - odpowiedział Wiktor z pokorą - ale mam problem, bo córka odwróciła się od Boga, uważając, że nie jest wystarczająco wszechmocny i sprawiedliwy jeśli dopuścił do tego, że została skrzywdzona, gdy zostawiłem ją z matką piętnaście lat temu.

- Nie mnie pana sądzić i oceniać. Na pewno to, co pan zrobił było wbrew prawom boskim i teraz chciałby się pan rozgrzeszyć, ale dopóki nie znajdzie pan przebaczenia u córki i swojej żony, które pan skrzywdził, nie zazna pan spokoju na ziemi. Co będzie dalej, tego już nawet nie muszę mówić, żeby nie pomyślał pan, że go straszę.

- Nie ukrywam, że tak jak każdy grzesznik bardziej liczę na miłosierdzie Jezusa jako pośrednika pomiędzy Bogiem a człowiekiem - ciągnął dalej z pokorą Wiktor.

- Proszę się modlić i liczyć na boskie miłosierdzie i jeśli już sam pan doszedł do tego, że pan zbłądził, to jest pan na dobrej drodze, by Bóg miłosierny pozwolił panu zło naprawić. Natomiast co do pańskiego przeciwstawienia Boga jako Ojca srogiego bardziej miłosiernemu Synowi, powiem tak: Rzeczywiście przez wieki zło ludzkie i cierpienie były świadectwem przeciwko Bogu dobru. Ale prawda jest taka, że Bóg, jeśli jest absolutem musi być też nosicielem dobra. Nawet teraz, kiedy lecimy przez niebiańskie przestworza, jesteśmy bliżej Boga. Pan Bóg swoją wszechmoc i dobro może nam w najprostszy sposób pokazać.

Przerwali rozmowę, ponieważ w związku z turbulencjami nakazano pasażerom zapiąć pasy. Ich potężnym

samolotem zaczęło kołysać gorzej niż statkiem na rozszalałym morzu.

Wiktor miał w głowie przez cały czas wspomnienia z wspólnego pobytu z Ołą w Zakopanem, gdzie zaczynały pękać lody, które po jego wyjeździe z Polski piętnaście lat temu zamroziły serce jego córki. W czasie ostrej wymiany zdań oprócz gniewu dostrzegł łzę w jej oku, ale szczytową nagrodą, jaką ofiarowała mu po jego ostatnim wyjeździe, był e-mail, w którym napisała mu, że pomimo jego błędów go kocha. Czytając ten krótki tekst myślał, że pęknie mu serce. Piętnaście lat czekał na taki e-mail.

Aż tu nagle ten wczorajszy telefon, że Ola zniknęła.

Do czego jednak ostatecznie zmierza nie miał zielonego pojęcia. W jej notatkach były ślady niebezpiecznych związków z pewnymi sektami religijnymi i czuł, że tę właściwie kwestię musi jak najszybciej rozpracowywać, aby ją odszukać.

Tymczasem samolotem kołysało coraz bardziej i najwyraźniej był to skutek szalejącej pod nimi burzy. Kiedy usłyszeli komunikat pilota, że z powodu warunków atmosferycznych nie wylądują w Auckland tylko na lotnisku w Rotoura, miejscowości leżącej w środkowej części Wyspy Północnej, Wiktor popatrzył znacząco na siedzącego obok księdza.

Ten miał minę jak Kasandra, której wszystkie przepowiednie natychmiast się sprawdzały.

- Wyszeptał nabożnie: Boże miłosierny zmiłuj się nad nami.

- Będzie dobrze - ksiądz chcąc go uspokoić, ścisnął jego rękę.

Po chwili wylądowali cudem na nieprzystosowanym do Jumbo Jetów lotnisku. Od wjechania poza płytę lotniska dzielił ich maleńki, kilkunastometrowy skrawek ziemi.

Wiktor zakładał, że w Auckland pożyczycy auto, by po całodziennej podróży dotrzeć do Rotoura, miejsca które teoretycznie mogłoby być terenem poszukiwań Boga prowadzonych przez jego córkę. Pamiętał dobrze, że kiedy opowiadał o Rotoura, Ola słuchała go z błyszczącymi oczami. Dojeżdżając, pożyczonym w Rotoura Holdenem Commodore, przypominał sobie nazwy maoryskich wioszek: Ohinementu, Whakarewarewa i oczywiście Tamaki.

Maorysi nie budują świątyń ani ołtarzy. Za to wyznaczają specjalne święte miejsca - Marae, w których celebrują kult na wyspach. Czasem na niektórych leśnych ścieżkach umieszczają olbrzymie kamienie, które precyzyjnie wyznaczają miejsce, gdzie odbywają się ceremonie ofiarne przeważnie z płodów rolnych lub z pierwszych połowów.

Największe wrażenie zrobił na Wiktorze rezerwat geotermiczny Waiotapu, pełen gorących, bajecznie kolorowych gejzerów, bulgoczących osadów błotnych, wspaniałych tarasów krzemowych związanych z niezwykle cienką powierzchnią skorupy ziemskiej na tych obszarach. Ale te miejsca bardziej przypominały mu otchłanie piekielne z uwagą na unoszący się straszliwie nieprzyjemny

zapach siarkowodoru. Nie było to miejsce odpowiednie dla poszukiwaczki Boga, prędzej już mogłaby go szukać w miejscowym rezerwacie kultury maoryskiej i wód termalnych – Whakarewarewa. Jednak najbardziej prawdopodobna wydawała mu się możliwość spotkania Oli w zrekonstruowanej wiosce maoryskiej -Tamaki Village, gdzie na małej powierzchni znajdują się gorące źródła, wokół których toczy się życie, od narodzin do pochówku. Bliskość świątyni i białych olbrzymich grobowców, położonych w niewielkiej odległości od domów, a wreszcie, basenów termalnych, w których kąpią się bez zażenowania nadzy Maorysi, podczas gdy ich żony gotują na naturalnej gorącej parze gejzeru jajka, zniesione przez lokalne kury. To wszystko robiło niesamowite wrażenie. Tamaki to miejsce, które kojarzy się zawsze zwiedzającym turystom ze wspaniałym tańcem wojowników Maoryskich – Haka.

Znajomy agent turystyczny z Krakowa, który załatwiał bilet lotniczy Oli, zapamiętał nazwę - Rotoura. Według jego wiedzy Ola chciała pozwiedzać okolice Rotoury jeszcze przed zaplanowaną na później wizytą na Morei. Wiadomość ta wprowadziła Wiktora w pewnego rodzaju konsternację, bo zakładał, że Ola będzie chciała podróżować ze wschodu na zachód, a nie odwrotnie.

Kiedy wieczorem Wiktor przyjechał do motelu w Rotoura, zupełnie od niechcienia zapytał recepcjonistkę czy wcześniej nie meldowała się już w tym hotelu osoba, podobna do Oli. Młoda, wysoka, szczupła dziewczyna z orzechowymi oczami i długimi rozpuszczonymi blond włosami.

- Była tutaj przez kilka dni, ale już wyjechała.

- Słuchaj, nie uwierzysz, ale już w pierwszym dniu poszukiwań natrafiłem na ślad Oli w Rotoura. Przyjeżdżaj natychmiast! Wygląda na to, że nasze dziecko jest tutaj na Nowej Zelandii! – wrzeszczał zdenerwowany do telefonu.

- Spokojnie, może to nie ona. Wyobraź sobie, że z kolei ja, niedługo po tym jak tylko zaaklimatyzowałam się przy słynnej Copacabana, pojechałam z Rio taksówką do Buzios, miejscowości słynnych z plaż odkrytych przez Brigitte Bardot. Tam też w recepcji potwierdzili, że niedługo przede mną mieszkała podobna wyglądem do Oli młoda dziewczyna, która wybierała się na wycieczkę do tropikalnej dżungli nad Amazonką. Co zatem sądzisz? Ola się rozdziwiła czy co?

-Wygląda na to, że tak – sarkastycznie odpowiedział Wiktor - No więc nie przyjeżdżaj tutaj na Nową Zelandię, lecz szukajmy jej nadal na własną rękę. Co zamierzasz? Chcesz jechać nad Amazonkę ?

- Tam nad Amazonką aż roi się od sekt religijnych, które rozpleniły się jak grzyby po deszczu i wielu zamożnych ludzi, w tym szczególnie ze Stanów, szuka tam swoich pociech.

Podobno Azja, a zwłaszcza Indie, przestały być obecnie modne.

Miałam też telefon od Malwinki, najlepszej koleżanki Oli z Krakowa. Podobno nasza córka poznała w knajpie jakiegoś zbuntowanego księdza, który powiedział jej, że jeden z jego kumpi z seminarium, kieruje ośrodkiem katolickim na Morei, który jest zupełnie niezależny od Rzymu, co się jej cholernie spodobało. Powiedziała nawet, że dla tego zbuntowanego księdza mogłaby sprzedać mieszkanie i pojechać na Tahiti, aby żyć tam razem z nim jak w raju. Jeżeli to wszystko jest prawdą, to nasze poszukiwania w Brazylii i w Nowej Zelandii są po prostu bez sensu. Spotkajmy się na Tahiti.

- Zgoda – potwierdził Wiktor – z Nowej Zelandii jest już blisko na Tahiti i Moreę, ale pamiętaj, że każdy ma prawo do swojego indywidualnego szczęścia i jeśli nasza córka właśnie je znalazła i ma właściwego faceta, w którym się zakochała i jest przy tym bliżej Boga, tak jak chciała, i w dodatku w tak pięknym miejscu jak Morea, to nic tam po nas.

- Chyba zwariowałeś i nie wiesz, co mówisz! – wrzeszczała na niego matka dziewczyny przez telefon. – Zrobiła doktorat i skończyła aplikację, ma własną kancelarię, nie po to by siedzieć z jakimś zbuntowanym księdzem na Morei.!

Pomimo niewygodnego siedzenia, w sympatycznym towarzystwie australijskiej pary zmierzającej na miodowy miesiąc na Bora Bora, wylądował na Tahiti.

Niestety przyleciał już za późno, by załapać się na rejs na Moreę i musiał przenocować na Tahiti, na której turyści zazwyczaj zatrzymują się niechętnie ze względu na jej czarnopiaszczystą plażę w odróżnieniu od złotych plaż na sąsiadujących wyspach.

Taksówkarz przyzwyczajony głównie do rozmowy po francusku nie zagadywał go, wioząc do spokojnego hotelu położonego nad morzem. Pomimo późnej pory, czując się bezpiecznie, powędrował do portu, gdzie w jednej z licznych restauracyjek z widokiem na dwa potężne statki turystyczne, które akurat zwięły do nadbrzeży Tahiti, zjadł kolację.

Nazajutrz stojąc na pokładzie nowoczesnego wodolotu, który za chwilę miał odpłynąć na Moreę, obserwował wsiadających pasażerów. Najwięcej było turystów, ale wyróżniało się wśród nich wielu rdzennych mieszkańców w tym szczególnie pięknych Tahitanek o osmaganych słońcem twarzach i w kolorowych strojach.

Kościół był całkiem duży, jak na lokalne warunki i wypełniony miejscową ludnością bardzo barwnie ubraną. Czuło się, że to jest kościół egzotyczny po zapachu kwiatów i po oryginalnych śpiewach.

W pierwszej ławce siedziała młoda, szczupła, skromnie ubrana blondynka zasłuchana w słowa księdza. Wydawała się być wręcz zahipnotyzowana tym, co słyszy. Kiedy po mszy podszedł do córki wydawała się być zdziwiona jego wizytą. Usiedli na ławce w ogrodzie a on pierwszy odezwał się.

- Mama niepokoiła się bardzo o ciebie.

KRYSTYNA HABRAT



W ROZWIANYM KITLU I POWIEŚCIĄ W KIESZENI

Halina Olszyńska starannie przekręciła klucz w zamku i teraz musiała odwrócić się i stawić czoło wszystkiemu co trudne. Za drzwiami zostawał znany bezpieczny świat. Szybko zbiegła po schodach. Na progu jak zwykle się potknęła. To często się jej zdarzało. Nie była wysportowana. Ma 30 lat, jest lekarzem i poza własnym mieszkaniem jej świat to tylko szpital, przychodnia i od czasu do czasu wyjazd na sympozjum naukowe, niezbędne przy robieniu specjalizacji i doktoratu. Nie musi nawet pytać siebie, czy to lubi. Zresztą o takim słowie zapomniała już dawno.

Dzisiaj ktoś o nią zapytał.

Nowy lekarz chciał ustalić coś w karcie chorego. Wtedy ta najładniejsza z ich grona powiedziała mu, trzepocząc rzęsami, że to pacjent tej takiej potarganej, w rozwianym chałacie.

A ktoś inny dorzucił:

– I z powieścią w kieszeni.

Wypowiedzi tak go zaskoczyły, że z przekory zapragnął przyjrzeć się bliżej obgadanej koleżance z pracy. Akurat nadchodziła.

Rozpoznał ją wśród innych od razu. Rzeczywiście była dziwna. Sama niosła w stronę rejestracji stertę kart pacjentów w grubych kopertach, co przecież robi personel pomocniczy. Kroczyła zaaferowana wielkimi krokami, z oczami wbitymi w podłogę. Tylko żadna powieść jej z kieszeni nie wystawała.

Kiedy przechodziła obok, chwycił ją za rękę i zagadnął:

– Nie było pani na kawie zapoznawczej. Zapraszam teraz.

– Ależ, ja mam pacjentów! – mruknęła zakłopotana.

– Widzę, że odnosi pani ich karty. Sama? A gdzie pielęgniarka?

Na to Halina zapłonęła rumieńcem i zamilkła. Zdziwił się, że jest tak nieporadna w swym onieśmieleniu i puścił jej rękę.

Mimo woli zaczął ją obserwować. Szybko wyczuł, że ją cenią, choć przyznają to bez entuzjazmu, bo w decydujących momentach wykręca im zawsze jakiś numer, zwłaszcza w sytuacjach towarzyskich: czyichś imienin czy jubileuszu. Dlatego – jak mu tłumaczyli – nie przyszła na kawę zapoznawczą. Ale składkę na taką imprezę płaci zawsze pierwsza. Żeby nikt nie pomyślał, że robi tak z oszczędności. Płaci, ale nie przychodzi. Zasłania się gromadą pacjentów pod drzwiami. Musi każdego uważnie wysłuchać, pożałować, pokiwać głową i wypytać, jak żyje? Dlatego siedzi w przychodni, gdy już inni dawno są w domach. Tylko pielęgniarki są niezadowolone, że doktor Olszyńska siedzi po godzinach.

To wszystko nowego lekarza, Jerzego Dębowicza, zaciekało.

Ale tego akurat dnia doktor Halina Olszyńska nie siedziała w przychodni zbyt długo, bo po południu miała dyżur w szpitalu. Dziś pogotowie przywiozło na jej oddział starszą panią z zapaleniem płuc i musiała ją zbadać. Od razu dostrzegła coś, na co nigdy nie zwracała uwagi, że ta pacjentka nie wygląda na swój wiek. Jeszcze raz sprawdziła w karcie. Zgadzało się. Miała blisko 71 lat. Dopiero z bliska Halina odkryła jej czarne kreseczki narysowane wzdłuż rzęs i to starannie wytuszowanych.

Dzięki temu oczy wydały się wyraziste i większe, a twarz ładniejsza.

– Ładne te kreski przy rzęsach – powiedziała z uznaniem, bo lubiła mówić każdemu coś miłego. Ale starsza pani zaczęła się usprawiedliwiać, że maluje się tak z przyzwyczajenia, a nie przypuszczała, że dziś zaśląbnie i trafi do szpitala.

Sama się w ogóle nie malowała. Nie zwracała sobie głowy własnym wyglądem. Owszem obserwowała, jak upiększają się koleżanki w akademiku, ale miała zwykle dużo spraw ważniejszych od makijażu. Teraz jednak nie dawało to jej spokoju.

Po kilku dniach zauważyła, jak ten nowy lekarz bacznie się jej przygląda. Często o coś ją pytał i raz po raz, zagadywał. Odpowiadała jak zwykle z przejęciem i fachowo, ale ten jakby na coś czekał. Nawet nie zapamiętała jego nazwiska, nie wiedziała w którym gabinecie przyjmuje. Bo po co? Coś jej mówiło, że sam przyjdzie. I rzeczywiście miał sprawę kilka dni później. Coraz częściej prosił o poradę. Wyglądało, że coś jest nie tak. Czyżby był nią zainteresowany? Nie nawykła do tego. W głowie miała tylko sprawy zawodowe, a w planach specjalizację i doktorat. Nic więcej. Powoli zbliżała się do celu. Wszystko poza tym było dla niej za trudne.

Ale ten nowy był uparty. Wyraźnie szukał okazji, by zagadać. O czymkolwiek. Nie potrafiła przyjąć tego tak zwyczajnie. Każde przypadkowe spotkanie, krótka rozmowa, a nawet obecność w tym samym pomieszczeniu wywoływały u niej niepohamowane emocje. Jej ciało płonęło i nie potrafiła nad tym zapanować. Zaraz cała rozogniona musiała uciekać.

Któregoś dnia spostrzegła, że Gośka, największa flirtiera w ich gronie i zaczęła się śmiać

– Coś ty taka dzika?!

– Ach nie mam czasu! – machnęła ręką Halina, zła, że ktoś ją śledzi i ocenia, a nawet drwi?

– Pora byłoby się ustatkować. On wyraźnie jest zainteresowany. Czemu dziwaczysz?

– Bo tego nie lubię!

– Ty niczego nie lubisz – skrzywiła się Gośka. – Kompletna ascetka! Ze wszystkiego rezygnujesz. A guzik znów ci się urwał.

Tego było za wiele. Halina szybko zamknęła się w swoim gabinecie, skąd ostatni pacjent już dawno wyszedł, a po dłuższej chwili poszła do domu, zabierając do torby kitel. Musi wreszcie te guziki poprzyszywać. Nie cierpiała tego. Chyba z braku czasu, bo przecież nie mogła zaważyć terminu obrony doktoratu. „Zatem rozszyfrowali mnie – dumiała po drodze – zbyt długo uczyłam się nielubienia.”

A przecież . nie zawsze taka była.

W dzieciństwie kochała lalki. Miała ich kilka, ale wszystkie były uszyte z gałganków, co najwyżej z głową z masy. Jedne ze sklepu, inne sama robiła, odkąd

potrafiła nawlec igłę i wykonać proste ścięgi, a mama użyczyła skrawków, jakie zostały po uszyciu sukienki u krawcowej. Te lalusie były małe, mięciutkie, kochane. Można je było ukryć w dłoni i nosić w kieszeni. Miała ich trochę, ale po cichu pragnęła jeszcze prawdziwej lalki ze sklepu. Dużej i całej z różowego plastiku. Jak te, co miały koleżanki. Powinna być tak wielka, żeby mogła wziąć ją w ramiona i przytulić,

Mama słuchała jej zwierzeń w milczeniu, ale niczego nie obiecywała, bo w domu się nie przelewało. Jak miała sześć lat poszła z rodzicami na imprezę mikołajkową do domu kultury. Co prawda przestała już wierzyć w Mikołaja, ale na paczki, jakie mama wkładała pod puszkę zawsze czekała. Tym razem miała zobaczyć niby prawdziwego Mikołaja. Gdy tato postawił ją na scenie i Mikołaj podał jej długą paczkę, serce zabiło jej mocniej, bo w takiej mogła się zmieścić prawdziwa lalka. Nawet wymacała przez opakowanie coś jakby nogę. W domu okazało się, że to wcale nie noga lalki, a drewniany żołnierz. I jeszcze drugi. Oba dla brata, co miał pół roku. Dla niej była kolorowa bajeczka o grzecznej dziewczynce, cukierki i jakiś czarny materiał. Mama oznajmiła, że nie czarny, a granatowy, na mundurek do szkoły, do której pójdzie za osiem miesięcy. „Co tam jakiś materiał?! – pomyślała z żalem. – Co tam jakaś szkoła? Lalki nie ma!”

Wynikało z tego, że na lalkę sobie jeszcze nie zasłużyła. Musi być grzeczniejsza. Nauczyć się pisać i to stalówką maczaną w atramencie, bo czytać już umiała, ale tylko po cichu, dla siebie. Czytała wszystko, ale oczami. Z głośnym czytaniem było gorzej, bo ciągle sylabizowała. Do tego pisanie ładnych liter jej nie wychodziło. Krzywiły się. Skakały za linie. Ale miała dopiero sześć lat.

Widocznie jej starania okazały się jednak wystarczające, bo na imieniny dostała lalkę. Dużą, piękną, w pudełku. Nie była wprawdzie plastikowa, a znowu uszyta z materiału, ale tak twarda, jakby rzeczywiście była z plastiku! W dodatku różowa! Nie, jak tamte, co sobie uszyła z gałganków w kratkę czy kropki. W białej sukience w kwiatki i w kapturku z takiego samego materiału przyozdobionego szafirowymi zygzaczkami prezentowała się wspaniale. Buzia cudowna, z niebieskimi oczami, uśmiechem i ładnym noskiem, czego tamtym, gałgankowym nie dało się zrobić. Uszy skrywał kapturek, ale wystawał spod niego jasny łoczek nad czołem. Nazwała ją Hania. Najładniejsze imię, jakie znała. Cały czas ją nosiła, a na noc kładła koło poduszki. Sadzała ją przy stoliku, przy którym uczyła się pisać, bo za dwa miesiące szła do szkoły. Kilka dni później, gdy wyciągnęła rękę z obsadką, by zamoczyć stalówkę w kałamarzu, zrobiła to tak energicznie, że się przewrócił i atrament wylał się na leżącą obok Hanię! Na jej twarz i sukienkę. Mama szybko próbowała usunąć plamę. Polewała wodą. Tarła mydłem i szczoteczką do rąk. Plama pojaśniała, właściwie znikła, tylko nosek się rozpląszczył, rozmyły oczy, usta, czerwone policzki... Więc mama zrobiła lalce, jak tylko wyschła, nową twarz z różowej

szmatki, narysowała oczy ale Halinka bez entuzjazmu patrzyła na tę płaską teraz twarz.

– To już nie kupisz mi takiej z plastiku? – odważyła się jeszcze zapytać.

– To już Hani nie lubisz?

– Ona już... nieładna.

– Mnie też przestaniesz kochać, jak zbrzydnę na starość?

Na to Halinka podniosła na mamę oczy otwarte szeroko ze zdziwienia:

– To ja cię kocham?

– Ach, idź lepiej pościierać kurze w stołowym pokoju!

Nie zapłakała. Postanowiła być jeszcze grzeczniejsza.

Wtedy może dostanie prawdziwą lalkę. Dużą i plastikową. Taką, której atrament nie zaszkodzi.

W drugiej klasie, gdy uczyła się na nauki przed I komunią, zapragnęła nawet zostać świętą. Było to niezmiernie trudne, bo im bardziej się starała, tym gorzej wszystko wychodziło.. Była chudym niejadkiem. Raz jednak skosztowała miodu z butelki, jaki mama koleżanki dała jej na łyżce. Szybko podobna butelka, wielka, litrowa, znalazła się w kuchni na stole, ale kiedy próbowała wyciągnąć korek, butelka wyslizgnęła się, zakręciła w kółko i błyskawicznie roztrzaskała się na podłodze. Mama powiedziała spokojnie:

– Stłukłaś butelkę z miodem. Za karę nie dostaniesz na komunię lalki.

Nic więcej. Halina skinęła głową. Rozumiała, że sobie na to zasłużyła. A potem powiedziała sobie:

„Nie lubię miodu. Lalek też nie lubię.”

To pomogło. Naprawdę! Nie lubi, więc nie boli, że jej tego brak. Od tego dnia wystarczyło wypowiedzieć cudowne zdanie: „Nie lubię!” I zaraz było lepiej. Bo po co komu to, czego się nie lubi?

Powoli to jej nielubienie zaczęło jej ciążyć. Było niewystarczające. Próbowwała je oswoić. Przemienić. Było przecież skuteczne wobec koleżanek, gdy ją do czegoś namawiały. Broniała się nim i miała spokój. Ale któregoś dnia odkryła jego odwrotną stronę: przydatność lubienia.

W domu utarło się, że musiała obierać ziemniaki do obiadu. Tego naprawdę nie lubiła. Niestety powtarzało się to dzień w dzień, a gdy już miała nadzieję, że mama robi na obiad kluski albo ryż, a ona w tym czasie poczyta sobie książkę, padało zachęcającym tonem, jakby do zabawy: „No to obierz szybko ziemniaczki!” Otworzona już książka szła w kąt i brała się do tej roboty bez słowa. Tylko wydłubując mozolnie oczka z burej bulwy, płamiącej palce, dławiła się myślą: dlaczego bratu mama nie daje żadnych poleceń? Jasiek nie pomaga nigdy przy gotowaniu, praniu czy sprzątaniu, a całe dni kopie sobie piłkę nie wiadomo gdzie. I to on dostał piłkę, a ona lalki, jakiej sobie wymarzyła – nie.

Wreszcie odważyła się zapytać mamy, dlaczego Jaś nigdy nie musi trzepać dywanów? Obierać ziemniaków?

– To jest chłopak! – odparła groźnie mama. –

Chłopców wychowuje się do innych zadań. Muszą kiedyś zarabiać na utrzymanie rodziny. Bronić kraju w razie wojny. Muszą umieć podejmować najtrudniejsze decyzje, bo to im się powierza stanowiska szefów i dyrektorów. Nie muszą kroić pietruszki do zupy, pielic grządek. Za to powinni nabywać tężyzny cielesnej, aby szykować się do ważniejszych obowiązków.

Halina tylko się uśmiechnęła. Jej ojciec prowadzi warsztat naprawczy, zarabia ponoć nieźle, nieraz musi z tym i tamtym popić, a mama niby zajmuje się tylko domem, ale rządzi wszystkim? I to ona załatwia telefony od dostawców, ona wydzwania do urzędów. Szczególnie odkąd obok warsztatu za miastem zbudowali sobie dom, do którego przeprowadzili się z bloku. Ojciec łązi ubrudzony smarami, a mama tylko odbiera telefony i otwiera bramę kolejnym klientom z poharatanymi motorami. I kto tu rządzi?

Przestała o tym rozmyślać, gdy znowu przyszło jej obierać ziemniaki. Wtedy pomyślała z przekorą, że na złość bratu, na złość mamie, dla niej to obieranie ziemniaków będzie przyjemne. Przecież te okrągłe bulwy beżowego koloru są takie ładne! I mają ciekawe urozmaicenia. Tu kropka zwana oczkiem, tam zagłębienie, z tyłu wybrzuszenie. Ten ma jakby wystający, perkaty nos. Przypomina głowę łobuziaka. Zaczęła się bawić obieraniem ziemniaków. Wymyśliła, że, jak ładnie je odbierze i bez złości, to będą smaczniejsze. Zrobi do nich skwarki, usieka koperku i naprawdę ugłaszczą podniebienie. Postara się, bo to lubi. To jej powinność.

Podobało się jej to słowo; „powinność”. Właściwie, skoro mama zabroniła, nie powinna książek dla dorosłych czytać, ale dorośli też się myślą. Już to wiedziała. Była za mała, by im o tym powiedzieć, ale będzie się dużo uczyć, będzie mądra i kiedyś to wykrzyczy.

W końcu pogubiła się, kiedy coś lubi, a kiedy nie lubi, bo czasem było jej potrzebne to na nie, innym razem wybawiało ją to na tak, więc po długich namysłach ustaliła, że lubienie czegoś zachowa dla siebie samej jako tajemnicę, a dla innych, że nic nie lubi. Nie wiedziała tylko, jak ma mówić rodzicom. Ale oni nigdy jej nie pytali, co lubi.

Postanowiła więc, że jeśli coś musi to właśnie to ma polubić i koniec. Coraz więcej myśli zatrzymywała dla siebie samej. Z koleżankami rzadziej się widywała, odkąd jej rodzina zamieszkała na uboczu. Powoli za ich ogrodzeniem wyrastały nowe domki w ogródkach, widywała też dziewczyny w podobnym wieku, ale jej do nich nie ciągnęło.

Stawała się milcząca i zamyślona. Już słyszała, że mówią o niej: „dziwaczka” odkąd zaliczyła słowo „lubieć” do spraw ckliwych obok piosenek o chryzantemach na fortepianie z przedwojennej piosenki i pąsowych różach, czym koleżanki się wzruszały. Dla niej śmieszna była rozmarzona pani, która przechodząc obok róż w sąsiednim ogródku, przystanęła i zaczęła nucić piskliwie: „Przynoszę tobie 7 czerwonych róż...” Wkrótce również słowa „szczęście” przestała używać, jako równie ckliwego. Aż raz usłyszała, że jest cyniczna i traktuje wszystko z wyższością i nic jej nie zadowala. Jakby

nic nie było jej godne.

Wiedziała, że chodzi tu o najładniejszego chłopaka z równoległej klasy, co chciał z nią tańczyć poloneza na studniówce, a ona skłamała, że nie chce. Dziewczyny nie mogły jej tego darować. Najbardziej te, którym się on podobał. On wybrał właśnie ją z piegami na bladej twarzy i rudawymi włosami, które wciąż się rozsypywały i na próżno wciąż splatała warkocze. Na wymyślne uczesanie czasu brakowało, bo czekała matura i egzaminy na studia. A tu chłopak, oj jaki ładny, psuje jej szyki!

Nie wiedziała, jak się zachować? Co mówić? Gdy podchodził, słowa więzły jej w gardle. Stawała się nieporadna. Miałaby spacerować z nim po ulicach? A potem co? Zauważyła, że takie chodzenia nie trwały długo. Często chłopak oznajmiał w klasie beztrząsco: „To już skończona symfonia.” A co myślała wtedy ta dziewczyna? Nie było jej głupio? Nie płakała po nocach, jak w jakiejś starej piosence? Miałaby i ona wpaść w taką pułapkę?! Wszyscy by się z niej śmiali. Oznajmiła koleżankom, że nie będzie chodzić na próby poloneza przed studniówką, bo musi się uczyć, aby dostać się na medycynę.

– No, no! – krzyknęła ta najbardziej zazdrosna. – Ty naprawdę mierzysz wysoko!

Ale w głosie koleżanki nie było już niechęci. Już nie musiała zazdrościć chłopaka.

Za to inna się skrzywiła, co nie uszło uwadze Haliny.

– Myślisz, że się dostaniesz? Odpadają tam lepsi od ciebie.

– Nie wyjdzie, trudno. Zostanę pielęgniarką.

– Jak ty spokojnie do wszystkiego podchodzisz! Niczym się nie przejmujesz.

Halina tylko się uśmiechnęła. Pojęcia nie miała, że na widok tego chłopaka serce trzepotało jak oszalałe i sztywniała od głowy do stóp. Jakże pragnęła z nim zatańczyć! Bardzo pragnęła. Tylko nie potrafiła sobie tego wyobrazić. One wszystkie przyjmowały takie sprawy prosto, a dla niej było to niewyobrażalnie trudne.

– Po prostu nie lubię tańczyć – orzekła i odwróciła się na pięcie.

Noc po studniówce jednak przepłakała, bo chłopak tańczył z tą, co najbardziej tego chciała. Niestety niechęci koleżanek Halina się nie ustrzegła. Przyglądano się jej odtąd natrętnie i odwracano głowy, kiedy nadchodziła. Szepty milkły.

Wyglądało, że jednak jej czegoś zazdroszczą. Nie wiedziała czy chłopaka, który nadal smętnie wodzi za nią oczami, czy tej medycyny, z którą się zdradziła? Gdyby wiedziały, jak męczy się z własnymi myślami nie wiedząc, co robić w różnych sytuacjach, jak boi się wszystkiego, na pewno przestałyby jej zazdrościć. Jednak wyglądało na to, że mają jej coś za złe i niektóre jej nawet nie lubią. Dogadują jej złośliwie.

Wtedy odkryła, że koleżanki zazdroszczą jej, bo widocznie mają czego. Może jej lepszych ocen. Może warunków finansowych, polepszających się dzięki warsztatowi ojca. Zrozumiała, że czyjaś zazdrość, posunięta aż do nienawiści, staje się jej zwycięstwem.

Tylko, że ona wcale nie była tak szczęśliwa. Nigdy nie dostała lalki, jakiej pragnęła. Ani modnej bluzki z kołnierzykiem z długimi rogami. Mama pozwoliła jej na skromnie zaokrąglony. Halina przywykła, że mama zwykle decydowała na odwrót. A kiedy przystała na taki fason później, nikt już takich nie nosił i Halinie było to obojętne. Zresztą już potrafiła wyzwolić się ze wszelakich chęci. Wystarczyło pomyśleć, że już się czegoś nie chce i od razu było lepiej. „Tylko po co zaraz ubierać to wszystko w słowa?” – myślała zabierając się do nauki.

Więcej myślała o tych, co mają od niej gorzej. O koleżankach, które całą grupą, we trzy a nawet pięć, wracając ze szkoły, lubiły zatrzymywać się przy kioskach z gazetami. Na szarej ulicy był to kolorowy świat w pigułce. Patrzyły tęsknie na okładki czasopism ze zdjęciami pięknych dziewcząt, na przeróżne pudełeczka z kosmetykami i zabawki. Raz, gdy któraś zaczęła wysupływać jakieś grosze na czasopismo dla dziewcząt, Halina nad jej głową podała sprzedawczyni banknot pytając, która jeszcze coś bierze? Próbowaly jej wcisnąć do ręki należność, ale oznajmiła, że jak przeczytają, oddadzą jej do czytania. Wkrótce ta jej wspaniałość stała się zwyczajem. Wiedziały, że jej ojciec niezłe musi zarabiać na naprawach motocykli i aut, ale głupio było ją wykorzystywać. Dopiero matura rozwiązała problem.

Halina dostała się na medycynę i wyjechała do dużego miasta. Odtąd miała radzić sobie ze wszystkim samodzielnie. Wychowana rygorystycznie przez mamę i milczącego ojca, zawsze bardzo zapracowanego, w nowych warunkach nie wpadła w popłoch. Nie zważała na niewygody w akademiku, pośpiech, niewyspanie. Nic jej nie zrażało. Powiedziała sobie, że serce zachowa tylko dla pacjentów. Jeśli jej się uda złożyć przysięgę Hipokratesa.

Uczyła się. Na nic innego czasu nie starczało. Dopiero przyjeżdżając do domu, słyszała, że ta lub inna koleżanka chodzi z chłopakiem, inna wyszła już za mąż, a suknię ślubną miała przepiękną. One rodziły dzieci, nawet starzały się przedwcześnie, a ona ciągle była sama. Sama wśród książek, wykładów, preparatów z prosektorium i łóżek z chorymi. Więc jakby nie sama. O niczym innym nie myślała. Byłe wkuć na pamięć kolejną porcję łacińskich nazw, często aż trójczłonowych! Byłe zdać kolejny egzamin! Zaliczyć sesję, skończyć, dostać się na staż. I tak po kolei. Liczyło się tylko to.

Tylko serce miało inne wymagania. Nieraz zadrzało pod wpływem wzruszenia choć nie powinno. Nie mogła sobie na to pozwolić! Nie wolno jej. Najpierw studia. Potem praktyki, specjalizacja, doktorat. I musi być coraz lepszym lekarzem. To był jej plan minimum, który wypełniał całe życie. Tamto nie! Choćby i nigdy! Trzeba serce ostudzić.

Jak na złość zakochiwała się raz po raz, lecz skrywała

to głęboko. Wstydziła się, że wszyscy jej głodne uczucia serce zobaczą, a tego się bała. Jeszcze by ją ktoś wyśmiał, albo chłopak zranił. Dość naczytała się powieści o nieszczęśliwej miłości. Nie mogła sobie pozwolić na cierpienie. Powtarzała sobie: "Żaden ból! Żaden zawód!" i tym usilniej przykładała się do nauki. Nawet powieści przestała czytywać. Powróciła do nich na dyżurach, gdy w oczekiwaniu na to kogo zaraz przywiozą, w jakim będzie stanie wkradał się strach. Koleżanki wtedy haftowały, robiły na drutach szaliki, a ona czytała. Na sygnał karetki lub telefonu wsuwała książkę w kieszeń kitla i była gotowa do przyjęcia chorego. Nie zauważyła, że nieraz taj książka z kieszeni wystaje.

Po studiach nadal nie miała czasu na nowe sukienki, fryzjera. Niedawno ktoś o nią pytał i usłyszała: to ta chuda, potargana w białym chałacie. Takie chałaty mieli wszyscy na praktyce szpitalnej, szczupłych też było trochę, ale tylko ona była stale potargana. W dodatku na pozostałych kitle leżały lepiej, a jej zawsze się rozpinał i powiewał niedbale, bo gubiła guziki, a przyszywanie ich odkładała. Nie dbała o takie drobiazgi. Czyżby znów wzięto ją na języki?

Znowu będzie musiała uciekać? Już tak bywało. Tylko gdzie teraz ucieknie? W co?

Ale ten, co pytał o nią, by wspólnie ustalić leczenie pacjenta, nie był skory do uciekania od niej. Uparcie i jakby na złość zabiegał o kontakt z nią. Nie rezygnował. Czyżby pod maską ascetki, pod pozornym chłodem, wyczuł jej wrażliwą naturę?

Wiedział już, że doktor Olszyńska to kompletna dziwaczka. Nieraz paraduje w czymś, co wyszło z mody i nikt nie ma odwagi uświadomić jej, że zeszłoroczny hit teraz razi. Bardzo by się speszyła. Już tę jej słabość przyuważono. Podszepnęła mu o tym zawsze nieskazitelnie umalowana Gośka. Ale Jurek podejrzewał, że mówią tak, bo chcą ją ośmieszyć, bo może Halinie czegoś zazdroszcza. Tym bardziej go intrygowała.

Halina, choć omijała go, jak tylko mogła, przy każdym spotkaniu wpadała w popłoch. Nadal nie potrafiła przyjąć tego tak zwyczajnie. Zaraz była rozedrgana i rozogniona. Musiała od źródła tego żaru natychmiast uciekać.

Pewnego dnia Jurek czekał w pobliżu rejestracji i kiedy znów odnosiła karty pacjentów bezceremonialnie złapał ją za rękę. Drugą ręką zabrał karty i położył przy okienku, niech się rejestratorce martwią, a ją pociągnął na kawę.

Halina nie protestowała,

– No tak – powiedział – po chwili, gdy już zamówili kawę.

– Wyręczasz innych. Nie wymagasz za wiele. Zaczynam cię lekceważyć.

– Czyżby coś do ciebie już dotarło. Znowu mnie obgadują? Im bardziej dokładam starań, tym więcej gaf

popelniam. Zapytałam kiedyś pielęgniarkę o dziecko, do którego ciągle się spieszy, a wtedy okazało się, że to dziecko nieślubne.

Od tej pory za nią te karty odnoszę.

– Co tam czyjeś ślubne czy nieślubne dzieci? – zbagatelizował Jerzy i zmienił temat. – Tylko guzików przyszywać nie lubisz – wskazał jej niedopięty fartuch.

Roześmiali się oboje, ale ona z przymusem.

O guzikach wciąż zapominała.

Spostrzegł, że straciła humor i musiał ją pocieszyć. Dokończył więc:

– Nie staraj się być za dobra dla wszystkich, bo Kainów wszędzie sporo.

Milczała, a on patrzył na nią uważnie znad filiżanki i odkrywał jej piękne szare oczy, które zawstydzona raz po raz zakrywała powiekami, jej liczne piegi na białej twarzy i brązowe włosy, może nawet rudawe, rozlatujące się niesfornie na wszystkie strony. Jej małe usta przypominały ledwie rozkwitłą różę. Zauważył, jak speszyła się pod jego wzrokiem, Jakby chciała się schować i uciec.

Rumieniąc się pod jego czujnym wzrokiem pomyślała, że musi kogoś zapytać, jak maluje się oczy, żeby być ładniejszą. Ta starsza pani z zapaleniem płuc, co miała czarne kreski wzdłuż rzęs, choć ma się lepiej, jeszcze nie wyszła ze szpitala. Zapytać chyba może. Myśląc tak, odetchnęła swobodniej i uśmiechnęła się.

Wtedy Jurek zapragnął bronić jej przed nią samą. Było w niej coś, co go przyciągało.

– Nie bój się ludzi! – powiedział głośno, aż przy sąsiednim stoliku podnieśli na nich wzrok. Ale Halina posmutniała i cicho wyszeptała swą dawno wyuczoną lekcję.

– Ja się nie boję, tylko nigdy o nic nie proszę. Nie zniosłabym, gdyby mi ktoś odmówił.

– Ależ, na litość boską, dlaczego? – Wziął ją za rękę, a gdy usiłowała ją uwolnić, przytrzymał mocno, aż znieruchomiała.

– A więc dlatego nazywają cię ascetką – powiedział, ściskając mocniej jej rękę, żeby nie uciekła. – Tak mówią za plecami, ale wyręczają się tobą przy niechcianych dyżurach. Nawet pielęgniarki już nie odnoszą twoich kart do rejestracji.

Poczuł złość i zabrakło mu słów. Halina, widząc to, poczuła się tak, jakby nagle on przejął ciężar jej życia. Uśmiechnęła się i rozluźniła palce w jego dłoni. Wydało się jej, że zaczyna nieznanym rozdział w życiu, piękny i pociągający, jak w powieściach, które pochłaniała.



BARBARA KORTA-WYRZYCKA

NIGDY WIĘCEJ

Agresywne dudnienie przejeżdżających pojazdów wdzierало się przez uchylone kuchenne okno.

Magda mieszała na kuchence grysik. Coraz mocniej zaciskała usta, które zaczęły przypominać wąską kreskę. Nie znosiła hałasu. Do niedawna spokojna ulica po przyłączeniu do nowego węzła komunikacyjnego zahuczała niekończącymi się łańcuchami samochodów. Na chwilę spokoju trzeba było czekać do nocy. Nie wytrzymała, gdy testujący swoje zdolności motoryczne Jasio zaczął stukać garnuszką w blacik wysokiego krzeselka. Dostuknęła do okna i szybko je zamknęła.

„Jak można latem żyć przy zamkniętych oknach? Dobrze, że duży pokój wychodzi na podwórko.” Odruchowo spojrzała przez szybę.

Na krawężniku siedział najwyżej czteroletni berbec. Zabawiał się podkurczaniem i wyciąganiem na całą długość nóżek na ulicę. „Niemożliwe! Zaraz go coś rozjedzie!” Magda otworzyła okno i wychylona na cały głos zawołała:

– Mały, zjeżdż z ulicy! Chodź tutaj! Wracaj do domu!

Żadnej reakcji. Zdała sobie sprawę, że nie przekrzykzy ulicznego hałasu. Zamknęła okno.

„Jak szła ta instrukcja z samolotu: żeby pomóc innym najpierw sama założyć maseczkę tlenową.” Złapała Jasia i zaniósła do łóżeczka. Odebrała mu mocno trzymany za uszko garnuszek. Podparła dziecko poduszką i wrzuciła płóciennego zajaca. Jest bezpieczny. W przedpokoju rzuciła kaptcie i błyskawicznie wsunęła stopy w tenisówki. Klucze włożyła do kieszeni. „Nie mogę zamykać dziecka!” Zbiegła na dół i zatrzasnęła bramę. Znalazła się na podwórku, musiała więc obieć resztę bloku, żeby dotrzeć do igrającego ze śmiercią malucha. Biegła co sił. Zobaczyła, że chłopiec zaczyna gramolić się na krawężniku, chwiejnie podnosić i z powrotem przysiądać. Wstając niebezpiecznie przechylał się w stronę jezdni. Złapała go pod pachy. Obróciła się i zrobiła kilka susów przez trawnik. Była tak zdenerwowana, że nie puszczała go, choć było już bezpiecznie. Chłopiec szarpał się, kopał i wrzeszczał co sił w płucach:

– Puszczaj, chcę do mamy!

– Spokojnie. Bałam się, że przejedzie cię jakiś samochód. Patrz jakie są duże i ciężkie. Nie wolno bawić się na ulicy. Poszukamy twojej mamy.

Drogę zagroziła im wyrosła jak spod ziemi przysadzista starsza kobieta.

– Co pani robi temu dziecku? Niech go pani puści.

Magdazatrzymała się i głośno dyszała. Kobieta bezceremonialnie

zaczęła wyszarpywać wyjące dziecko.

– Co pani? Porywaczka? Chodź do mnie dziecko.

– Nieee! Jesteś stara i śmieszysz.

Magda postawiła małego na chodniku, ale przezornie nadal mocno trzymała za rękę.

– Co też pani mówi. Chłopak siedział na ulicy, dobrze, że go jakiś samochód nie rozjechał!

– Co to za przepychanka? Robercik, do mamy!

– Niech go pani lepiej pilnuje, bo mogło być nieszczęście. Siedział bez opieki na krawężniku i wystawiał nogi pod nadjeżdżające pojazdy.

– Trele morele. Niech mnie pani nie umoralnia. Zawsze wiem, gdzie jest moje dziecko. Nic mu się nie stało. A pani niech lepiej pilnuje swoich spraw.

– Ale ona mogła go porwać!

Robercik sprytnie schował się za matkę.

– Odczepcie się obie.

Złapała małego za rękę i energicznie pociągnęła w stronę osiedlowego parkingu.

Magdzie puściły nerwy i zawołała za nimi:

– Na drugi raz jak zobaczę pani dziecko na skraju dachu, to się nie ruszę!

Robercik odwrócił do Magdy rozpromienioną buzię i wskazał palcem w górę:

– Na dachu?

Ruszyła w stronę podwórka. Doleciał do niej fragment rodzicielskiej reprimendy:

– Miałeś grzecznie na mnie czekać, a nie robić zamieszanie. Jesteś już duży. Rozczarowałaś mamusię.

Magda zaczęła biec. „Zostawiłam własne dziecko bez opieki!”. Ostatkiem tchu pokonała dzielące ją od mieszkania piętra.

W domu panował spokój. Jasio osunął się na boczek i pilnie pogryzał ucho płóciennego królika. Na widok matki zagulgotał. Odetchnęła głęboko.

Nagle coś usłyszała. Ciszę przerywał powtarzający się odgłos dobiegający z kuchni. Rondelek nadal prażył się na gazie. Z grysiku zostały czarne płatki, które odrywały się od spalonego dna wydając specyficzny dźwięk. Zgasła palnik. Bezwolnie oparła się o blat. Nabrała powietrza, chcąc wyrównać oddech i odruchowo uniosła oczy ku górze. Na suficie zobaczyła nowy wzór z przyklejonych grysikowych glutów.

BOLESŁAW FARON



NOWE WIERSZE POETÓW SĄDECKICH

Kazimiera Janczy

Opublikowałem dotychczas na portalu „Sądeczanie.info” i w miesięczniku „Sądeczanie” 61 sylwetek poetów Sądeckizny. Zostały one potem zebrane w dwóch książkach: *Poeci Sądeckizny. Antologia* (Kraków 2019) oraz *Nowe wiersze poetów sądeckich. Biogramy, teksty, komentarze. Antologia* (Kraków 2023), wydane przez Wydawnictwo Edukacyjne. Kiedy pod koniec ub.r. przygotowywałem do druku drugą książkę, sądziłem, że na tym zakończę zajmowanie się tymi kwestiami, że źródło tematów całkowicie się wyczerpało. Okazało się, że się myliłem.

Od Moniki Sowy, dyrektorki Centrum Kultury i Promocji w Łososinie Dolnej, otrzymałem bowiem tom poezji Kazimiera Janczy *Wiatr od Łososiny* (Łososina Dolna 2021).

Jak się okazało, jest ona autorką trzech tomów wierszy i obok poetek Agnieszki Koseckiej, Marceliny Koncewicz i Ireny Pławiak wywodzi się z tych okolic.

Wracam zatem do cyklu „Nowe wiersze poetów sądeckich”. Nie będą się one teraz ukazywać systematycznie, lecz od czasu do czasu, gdy natknę się na nowe zjawisko godne odnotowania na tych łamach...

Kazimiera Janczy ulokowana jest niejako w dwóch przestrzeniach. Urodziła się na Sądeckiznie, w Rąbkowej, niedaleko Jeziora Rożnowskiego, wiele lat spędziła w Kluczach koło Olkusza. Obecnie mieszka na przemian w Kluczach i w Rąbkowej. Jest autorką – jak dotąd – trzech tomów wierszy (wspominałem o tym wyżej), a mianowicie *Odkryta na jurajskiej skale* (Klucze 2013), *Nim zatrzyma mnie czas* (Klucze 2016) i *Wiatr od Łososiny* (Łososina Dolna 2021). „Pisać zaczęłam późno, po pięćdziesiątce – napisała w liście do mnie – ale od dzieciństwa towarzyszyła mi potrzeba tworzenia, przeżywania świata po swojemu”.

Debiutancki tomik *Odkryta na jurajskiej skale* to niewielkich rozmiarów książeczka, zawierająca siedemnaście wierszy. To poezja bardzo osobista, dedykowana m.in. wnukom na obczyźnie, mężowi, matce, w większości

zrealizowana w dość tradycyjnej formie (wiersze rymowane). Autorka lokuje ją zarówno na ziemi sądeckiej, w rodzinnych stronach (*Kilim, Korzenie*), jak i w olkuskim (*Pustynia Błędowska, Pożegnanie z Jurą*). Zwraca uwagę spontaniczność, szczerłość prezentowanych uczuć, choć czasem wiersze te, w moim przekonaniu, grzeszą nadmierną egzaltacją.

Nie zatrzyma mnie czas, drugi tom poezji Kazimiera Janczy zaopatrzył w słowo wstępne Marek Pieniążek, który je tak ocenia: „Wiersze Kazimiera Janczy są dojrzałą próbą nadania wielowątkowemu życiu całokształtu. Zebrane w okazałą poetycką księgę, tworzą rozległą kolekcję rozmaitych spostrzeżeń, doznań i przemyśleń, zapisywanych przez ostatnie lata na przekór wpływowi czasu i bezrefleksyjności mijających dni”.

To prawda. Tomik ten wyraźnie wskazuje na rozwój warsztatu poetyckiego autorki. W sferze tematycznej podejmuje tu ważne pytania egzystencjalne, o tożsamość, przemijanie, metafizyczne tajemnice. W sferze warsztatowej całkowicie rezygnuje z wiersza tradycyjnego, który zostaje tutaj zastąpiony przez wiersz wolny, wymagający szczególnej troski o konstrukcję myśli. Co pewien czas wraca w tych wierszach krajobraz sądecki (*W Dolinie Popradu, Nad Jeziorem Rożnowskim*, ale też Pieniny (*W drodze do Rezerwatu Biała Woda*) i Podhale (*Nad Kościeliskiem słońce coraz wyżej*) oraz Hiszpania (*W Toledo, W Muzeum Prado*). Pragnę zwrócić uwagę Czytelnika na mocne erotyki i zamykające ten tom *Pożegnania*.

Trzeci tom Kazimiera Janczy *Wiatr od Łososiny* został starannie wydany przez Centrum Kultury i Promocji Gminy Łososina Dolna i stowarzyszenie „Dolina Inicjatyw”, pod redakcją Marka Pieniążka i z jego *Wprowadzeniem* pt. *Gdzie sadownik ojciec wciąż rozmnaża jabłonie*. Autorka książkę tę dedykuje „Mieszkańcom, którzy tutaj pracowali

i pracują, by tworzyć piękno tej ziemi, moim Dzieciom, Rodzinie i Mężowi”. Dedykacja cytowana tutaj, jak i tytuł zbioru, wskazują, że pozycja ta zostaje mocno związana z przestrzenią dzieciństwa i młodości, a więc - wieś Rąbkowa, Sądecczyzna, Podhale (Czarny Dunajec), w kontekście jej doznań osobistych, ale również w konfrontacji z późniejszymi doznaniem życiowymi. Tak o tym napisał Marek Pieniążek we *Wprowadzeniu*:

„Niniejszy tom wierszy i opowiadań wpisany jest w szerszy horyzont niż książki poprzednie. Silnie eksponuje zarówno wątki lokalne, odnoszące się do Sądecczyzny, czyli miejsce urodzenia Autorki, jak i problemy globalne. Poetka świadomie wyprowadza swoje opowieści od progu starego domu, by następnie zwrócić się w kierunku Czarnego Dunajca, Nowego Targu, Krakowa, Olkusza oraz odległych europejskich miast. Chętnie mówi o swoich korzeniach, ale gdy podnosi wzrok znad wspomnień młodości, widzi całokształt swojego życia w horyzoncie doświadczeń europejskich, lirycznym słowem tak samo dociera do drogich jej osób z Podhala, jak z Hiszpanii, Anglii i Francji” (s. 5).

Mocno wyartykułowane są w wierszach Kazimierzy Janczy wątki biograficzne, osobiste doznania na Sądecczyźnie. Stąd powroty do dzieciństwa, do starego domu (*I znów tu jestem*), do rodzinnej Rąbkowej (*Między jeziorom a rzeką*), gdzie „sadownik ojciec rozmnaża jabłonie” – na krańcach Beskidu Wyspowego. Koleje losu prowadzą autorkę w inne przestrzenie. Stąd w wierszu *Jak skałą jestem z tobą związana* mamy „ostańce Jury”, „Maczugę Herkulesa” czy „Pustynię Błędownską”. Rozdział drugi pt. *Silaczki* został poświęcony „naszym Matkom”. To cykl wierszy o matce, o jej doznaniach, codziennym, niełatwym życiu, przeżyciach wojennych. Tworzą te wiersze swoisty hymn na cześć bezimiennych bohaterek, matek wiejskich dzieci, kobiet mozolnego trudu, skromnych, milcząco znoszących swój los. Wzruszające.

Autorka tych wierszy jest wrażliwa na problemy współczesnego świata, na sytuację innego, na kwestię uchodźców i komplikacje wynikające z konieczności życia z covidem (*Drugi rok z covidem*). „Wpisane w opowieści Kazimierzy Janczy doświadczenia są świadectwem – pisze Marek Pieniążek – poszukiwania czegoś więcej niż szansy na przeżycie kolejnego dnia, czy to w ubogiej chacie, gdzie dni mijały w zimnie, przy biednej zastawie stołowej, bez nadziei na lepsze jutro; czy dziś, przed telewizorem, w komfortowo urządzonego domu i z rozmowami on-line z całym światem” (s. 6).

Tom *Wiatr od Łososiny* zamyka rozdział VI *Proza*, w którym znalazło się dziesięć prób narracyjnych autorki. Są tu i wspomnienia z pobytu w szkole tkactwa w Czarnym Dunajcu, i powroty do Rąbkowej i na górskie szlaki Sądecczyzny, podczas których wracają wspomnienia dzieciństwa i opowiadania z pisanego w sądecczyznickich. Kazimiera Janczy – jak widać – nie poprzestaje na wyrażaniu swych przeżyć, uczuć i doznań w mowie związanej, szuka

też innych możliwości wypowiedzenia się. Myślę, że jej twórczość wzbogaca dorobek ambitnego środowiska artystycznego Łososiny Dolnej, aczkolwiek należy pamiętać, że została „odkryta na jurajskiej skale”, gdzie w tamtejszych klubach literackich szlifowała swe umiejętności pisarskie pod kierunkiem Marka Pieniążka.

Chaos

kąty rozwarłe pomiędzy niebem
piekłem i ziemią
diabelsko-anielskie beczułki bez dna
jednakowo dobre jednakowo złe
krzywe lustra stoimy obok
a jednak pośrodku
wykrzywieni
od ucha do ucha
w śmiechu i gniewie

brzęczą grosze albo karty złote
kapią łzy
liczymy na niebo liczymy na piekło
jednakowo dobre jednakowo złe

Wizja

i odszedł mój anioł stróż
nie bardzo rozumiejąc
gdzie jest
i czym jest dla mnie
moja Atlantyda zbudowana
z wiatru
popiołu i słońca

Czas pełny niespodzianek

czemu opadają nam skrzydła choć
za szybami słońce i radość
pomimo tego wciąż kapią
bardzo słone łzy

markizy oczu
mamy skrojone ze zbyt ciężkich materiałów

Droga

gdy szłam po mleko
padał deszcz
nagle podniosły się chmury
mokry horyzont spinały mgły
razem z przestrzenią – gasiłam pragnienie
w mojej dwugodzinnej szklance
zapachniała mieszanka

tęsknot z radością z urokiem chwili
bezpiecznie
przeprowadziła przez skrzyżowanie

Przydrożne krzyże

przejdź nad górami
nad naszą doliną
skałą wapienną siwą od starości
przejdź nad naszym pięknym
ukochanym krajem
gdzie
szcerniałych ramion
wyciągnięte kości
przydrożnych krzyży
wołają

Drewniana historia

dotykam wnętrza własnego domu
ciepłem drewna ogrzewam
dłonie
schładzam tęsknoty rozpalone

na gładkim licu
inaczej przysiada promyk
inaczej echo pamięta
krzyk
który nikogo nie omija
w pajęczynach życia balansuje historia
przywiązana do stragarzy
puka do drzwi
przysiada na schodach
czeka
na polną mysz na niedźwiedzia

Dokąd to...

pozwólcie nam
na radość
na ciepłe promyki słońca
pozwólcie nam pozbierać
wspomnienia
niezafałszowane
stoimy w zakamarkach ulic
małych miasteczek
na rozdrożach wiosek
zawiedzeni
wykluczeni

dzisiaj i jutro – donikąd

Określenia

zdobynam własną górę
walczę z poślizgiem
bym mogła stanąć wysoko
na ramionach noszę słońca i mrozy
w zawiejach gubię wiarę

czy radość może trwać długo

nasycam siebie każdym płatkim
słodyczą
goryczą ukrytą w życia pigułce
życie ma swoje podniebienia
dzięki nim znam przekleństwa
dzięki nim się modłę

zderzenie światów w miłości i gniewie

Współcześni żałobnicy

czas kpi z moich zachcianek
krzyczy
ustawia do pionu
jakbym była jego niesforną córką

nie rycz mała
biegnij teraz
przez tobie daną chwilę

więc pędzę i pędzę
szarpie
rozciągam każdą minutę bo

czas do kolejki wypycha następnych
czy to wolnego świata biegacze

za rogiem
żałobnicy bez czarnych sukien
z telefonem w ręce zajadają
hamburgery
ja przetykam ślinę

Kazimiera Janczy urodziła się w 1954 roku w Rąbkowej, w gminie Łososina Dolna, w wielodzietnej rodzinie rolniczej. Ojciec – Franciszek Oleksy, matka – Maria, z domu Słomka. „Moje dzieciństwo – napisała w liście do mnie – było bardzo ubogie, obfitowało ogromnym trudem pracy fizycznej. Nauka, czytanie książek było prawie nieosiągalne. Wszystkie



prace w gospodarstwie wykonywałam ręcznie. Potem trzeba było po kolei wychodzić z domu, usamodzielniać się, pomóc finansowo młodszym”.

Kazimiera Janczy po ukończeniu Szkoły Podstawowej w Rąbkowej w roku 1969 podjęła naukę zawodu tkacz kilimów w Zakładach Doskonalenia Zawodowego Kraków, których warsztat tkacki znajdował się w Czarnym Dunajcu (1969–1971). Tuż po ukończeniu szkoły, do 1977 roku pracowała w Podhalańskiej Spółdzielni Pracy CPLiA w Nowym Targu jako tkacz kilimów. Od 1977 do 1979 roku zatrudniona była w Kluczewskich Zakładach Papierniczych w Kluczach, potem w Olkuskiej Fabryce Naczyń Emaliowanych (1979–1988), a potem w Przedsiębiorstwie Energetyki Ciepłej w Dąbrowie Górniczej ZC nr 5 w Olkusz (1988–2004). W dwudziestym roku życia wyszła za mąż, jest matką czwórki dzieci.

Od 2012 roku należy do Klubu Literackiego MOK w Olkusz, gdzie pod opieką dra hab. Marka Pieniążka, prof. UP, pisze poezje i opowiadania. Drukowała wiersze w „Angorze”, w prasie lokalnej i w wydawnictwach Klubu „Zielone światło” oraz w Stowarzyszeniu „Wszyscy dla Wszystkich” w Olkusz. Jest laureatką kilku konkursów literackich. Wydała trzy tomiki wierszy: *Odkryta na jurajskiej skale* (Klucze 2013), *Nim zatrzyma mnie czas* (Klucze 2016) i *Wiatr od Łososiny* (Łososina Dolna 2021).

Mieszka we własnym domu w Kluczach oraz w Rąbkowej na Sądecczyźnie.



IGNACY S. FIUT

DZISIAJ I JUTRO. POEZJA W DRODZE

Kto podróżuje po drogach swego życia i świata musi liczyć się z tym, że na jego ubraniu pozostaną ślady (odpryski) tego ruchu. Ruch ten może być marszem do przodu, stacjonarną obserwacją, powrotem do tyłu, poruszaniem się w kilku czasach alternatywnych, a wszystkie pojawiające przeżycia piszącego nabierają charakteru impresyjnego. Z taką sytuacją mamy właśnie do czynienia w wymiarze artystycznym w omawianym to miku autorstwa Joanny Babiarcz.

Życie bowiem w ocenie Autorki to nieustająca podróż rodzinna jej matki i dzieci, kiedy pojawiają się trudności w nabieraniu kierunku takiej wędrówki. Kiedy zbliża się wigilia działa na te nabierają poczucie bliskości osób i zdarzeń – np. śmierci matki, co powoduje psychiczny wstrząs u Autorki. Pamięć podsuwa jej historie o zmianach zachodzących w życiu przypominające jego kamienny ciężar. Przychodzi także refleksja o ważności życia szkolnego, upodabnia się do pisania „wierszy na piasku” i zamykania się w sobie. Wyraźnie pojawiają się w wyobraźni losy miłości do bliskich, wspomnienia rodziców w czasie kolejnych lat, zaburzające głośność ciszy w mieście uzasadniające logikę unikania bliskich i błędzenie po zakamarkach życia codziennego, by odnajdywać choć przez chwilę prawdę o życiu. Okazuje się niebawem, iż żółw jest dobrym symbolem samego życia dającym umiejętność zbliżania się do śmierci, który odsyła także do doświadczenia upływu czasu w przyrodzie. Człowiek wpada w tzw. „metafizyczne widmo” nieuniknięcia śmierci oraz wikła się wojny, które toczą się w świecie. Pojawia się nawet widmo wyborów kolejnych „scenariuszy życia”, zaś śmierć oczami dziecka zaczyna przypominać kołysankę. Ma ona charakter „teatru życia” i zapowiada schodzenie z jego sceny czemu towarzyszy z kolei poczucie „metafory brzytwy” w miłości pogłębiającej logikę przemijania ciszy, a to wskrzesza myślenie o przyszłej nieobecności oraz widmo końca życia i zapomnienia, w którym będzie się przez pewien czas dogorywać, ale i leczyć własną psychikę. Wtedy pojawia się obraz ruin zamku jako metafora ludzkiego behavioru i ekonomii codzienności.

Poetka zastanawia się również nad tym: co słońce kiedyś o nas pomyśli i zapamięta pozostawionych w „oknie życia”. Nie ma wątpliwości, że samo życie ograbia nas z istnienia i zmusza do gry wabank o jego sens, gdzie ważna jest także modlitwa, smak czekolady, wspomnienia ważnych przyjaciół, o który J. Babiarcz tak pisze: „(..). Moje dawne przyjaźnie od czasu do czasu/wzbierają wspomnieniami. Kilka zdjęć/parę listów zielone wieczne pióro// gdzieś w odległych krajach mieszkają moje/przyjaciółki i chociaż uwiera nasza przyjaźń/ jest pełna wiary ze kiedyś/spojrzymy sobie w oczy nie tylko przez tunel”. Także nasza miłość straci znamiona kalectwa, a w ujęciu poezji nowoczesnej (allen ginsberg, trakly yeats) będzie ona dalej wariabilistyczna mieszcząc się między przekleństwem i samą poezją, sankcjonując małżeństwo kobiety i mężczyzny jak w świecie babci poetki – Agnieszki, w którym powraca „przyjazna miłość” i serdeczność między ludźmi.

To interesujący tomik przepełniony ważnymi utworami, dobry na terapię w tych niestandardowych czasach.

J. Babiarcz, „Odpryski”, red. Maria Żywicka-Luckner, fotografia autorki i projekt okładki – Janusz Szot, Wydawca: Solut sp. z o.o., Nowy Sącz 2023, s. 64.

JOANNA KRUPIŃSKA–TRZEBIATOWSKA

NA STRACONEJ POZYCJI

Najpewniej ich znajomość rzeczywiście skończyłaby się pięknym ślubem w katedrze w Spayer, tak jak zaplanowała matka Maksymiliana, Yvette Weimann, gdyby na drodze Wiktorii, prowadzącej od stacji kolejowej na przełęczy Oberalppass do źródeł Renu – na wysokości 2046 metrów nad poziomem morza – nie pojawił się mężczyzna na oko pięćdziesięcioletni, tak łudzaco podobny do jej zmarłego ojca Jana Berga, że w pierwszym momencie była pewna, że ma przed sobą ducha. Wysoki, postawny, jasnowłosy i niebieskooki, w spodniach i w kurtce moro, z dubeltówką i tyrolskim kapelusiku z piórkiem na głowie i dwoma owczarkami niemieckimi przy nodze, wyrósł nagle przed nią, jak spod ziemi.

– *Gruess Got!*

– *Guten Tag!* – odpowiedziała po niemiecku, a w ślad za nią również Maksymilian.

– Uważajcie na płaty śniegu zalegające na szlaku – rzucił, odprowadzając ich wzrokiem.

– *Danke schoen* – odpowiedziała na w pół łamiącym się głosem i ruszyła dalej w kierunku Tomasee.

– To jest to! – powiedziała, z trudem łapiąc oddech niczym ryba wyrzucona na brzeg. – To jest Ren! To stąd wypływają, a właściwie rozpełzają się niezliczoną ilością cieniutkich strużek po niewielkiej, podmokłej dolince, wody rzeki, by na jej końcu runąć w dół korytem wyżłobionym w skale.

– Robi się zimno, kochanie, mży, a z gór schodzi wilgotna mgła – przywołał ją do rzeczywistości głos ukochanego – powinniśmy wracać, jeśli nie chcemy utknąć tu na wieki.

Popełnili błąd, wybierając się w góry bez przewodnika i teraz wpadli w panikę na widok potężnej chmury, która zaczęła osiadać dosłownie na ich głowach. Wiktoria nie zdążyła nawet się odezwać, gdy silny podmuch porywistego wiatru niemal ją przewrócił, na szczęście jednak Maksymilian zdołał ją podtrzymać.

– Nie ma miejsca, w którym moglibyśmy się schronić – powiedział, nie ukrywając przerażenia, w chwili gdy runął na nich ulewny, zacinający pod kątem niemal 45 stopni lodowaty deszcz, przenikający przez ubranie, aż do szpiku kości.

Z ogromnym trudem posuwając się krok za krokiem traktem prowadzącym po skalnej ścieżce w dół, pół żywi dotarli w rejon niewielkiej latarni morskiej, gdzie najwyraźniej czekał na nich spotkany wcześniej na szlaku osobnik. Nie musiał im nawet mówić, że uciekł im ostatni pociąg prowadzący do

cywilizacji, bo i bez tego wiedzieli, że znajdują się w sytuacji krytycznej.

– Nazywam się Johan Wermann – przedstawił się – mam rezydencję nieopodal i jeśli chcecie mogę was zabrać moim samochodem.

– Bardzo dziękujemy – odparła Wiktoria – jakoś sobie poradzimy.

– W najlepszym wypadku nabawicie się zapalenia płuc – zarechotał Wermann – w gorszym zamarzniecie do rana, bo w nocy temperatura spadnie znacznie poniżej zera.

– Nie mamy wyboru, Wiktorio – oprzytomniał Maksymilian – musimy skorzystać z pomocy tego pana.

– Idziemy – rzucił komendę Wermann – jakieś pół kilometra dzieli nas od mojego samochodu – mam nadzieję, że pani da radę.

– Dojdę – odpowiedziała, ale wcale nie była tego pewna.

Na szczęście deszcz ustał, chmura rozwiła się i ujrzeli na niebie czerwoną łunę słońca zachodzącego nad Alpami, tam gdzie nad szczytami góruje czterotysięcznik Piz Bernina. Trzęsąc się z zimna Wiktoria zbierała resztki sił, aby wsiąść do zaparkowanego nad urwiskiem samochodu, a gdy spojrzała w dół, zakręciło się jej w głowie.

– Niesamowity widok – powiedziała, a w głębi ducha pomyślała, że to będzie karkołomna jazda w dół po śliskim, mokrym od deszczu zboczach, kierowca jednak, wyglądający na rajdowca, albo urodzonego ryzykanta, biorąc zakręty z zawrotną prędkością, nie zdradzał żadnych oznak niepokojów.

– Nie wierzę, że żyję – mruknęła Wiktoria, gdy auto zatrzymało się na podjeździe potężnego dworzyszczka w samym środku wielkiej głuszy.

– Zapraszam – powiedział Johan Wermann, wpuszczając ich do środka i niemniej od ludzi zmarznięte psy. Wrzucił zapalniczkę do kominka i wznicił ogień, do którego przywarła Wiktoria.

– Nie jestem pewna, czy nie lepiej spłonąć żywcem, niż zamarznąć.

– Była pani w Chateau de Montsegur?

Słyszając to pytanie, Wiktoria zaniemówiła z wrażenia. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Siedziała nadal przycupnięta w pobliżu ognia, zdana na jego łaskę i niełaskę i nie wiedziała, co sądzić o domostwie, w którym nieoczekiwanie się znalazła, jak i o jego gospodarzu. Poprzez zwięzione pole

świadomości docierała do niej informacja, że mężczyzna wie, kim ona jest, śledził ją, bo było rzeczą zgoła nieprawdopodobną, aby na tym alpejskim odludziu mogli się spotkać przypadkiem. Takie przypadki się nie zdarzają.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odpowiedziała w miarę przytomnie.

– Gdzie jest Chateau de Montsegur – włączył się Maksymilian – nigdy o nim nie słyszałem.

Mężczyzna postawił na stole dzbanek z gorącą herbatą i gorące *fondue*.

– Niech pani nie czeka na powtórne zaproszenie – powiedział, uśmiechając się przy tym, ale nie był to otwarty przyjazny uśmiech, jakim obdarzają się obcy sobie ludzie na górskim szlaku.

– Od dawna pan tutaj mieszka?

– To zupełny przypadek, że się tu dzisiaj znalazłem – odpowiedział – widać jakiś Anioł miał was w opiece, bo zaglądam tu niezmiernie rzadko, głównie po to, aby zobaczyć czy dworzyszczki jeszcze stoi i czy nie zmiotła go w międzyczasie jakaś śnieżna lawina. Z reguły niemal co wiosnę, omijają dom szerokim łukiem, za to droga robi się niebezpieczna.

– To pański dom? – zapytał Maksymilian zaspokoiwszy pierwszy głód. Oboje siedzieli otuleni w koce, a ich ubrania suszyły się przy kominku. Wiktoria poczuła, że ogarnia ją senność nie do opanowania, tak wielka, jakby ktoś dosypał środków usypiających do herbaty. Zauważyła, że Maksymiliana też zapada w sen.

– Jak nas zabije i zakopie, nikt nawet nie zauważy naszego zniknięcia – pomyślała, tracąc oddech – ale z drugiej strony, po co miałby to teraz robić, wystarczyłoby, że porzuciłby nas tam na szlaku.

– Jak się pani nazywa?

– Wiktoria Berg – odpowiedziała zgodnie z prawdą i w tym samym momencie tego pożałowała. – Jak długo nie wiedział, kim jestem, byłam bezpieczna.

– Tak myślałem – zasepił się siedzący *vis-à-vis* niej mężczyzna.

– Widziałem panią kiedyś w towarzystwie mojego przyrodniego brata Michaela Rosenfelda i podejrzewałem, że może być pani córką Jana, ale nie miałem pewności, czy się nie myłę.

– Jeśli Michael jest pańskim bratem, to mój ojciec był nim również? – zapytała Wiktoria, choć właściwie nie musiała pytać. Podobieństwo Wermanna do jej ojca było aż nadto uderzające.

– Znał pan mojego ojca?

– Aż nazbyt dobrze – odparł Wermann, uśmiechając się mimo woli na wspomnienie miny Berga, gdy stanął z nim twarzą w twarz po raz pierwszy. – Ale nie zapamięaliśmy do siebie braterską miłość.

– Czy on wie, kim pani jest? – zapytał po dłuższej chwili milczenia Johan Wermann, wskazując na pogrążonego we śnie Maksymiliana.

Zaprzeczyła ruchem głowy, ocierając ukradkiem łzy.

– I nie zamierza mu pani powiedzieć?

Wiktoria rozplakała się z nadmiaru emocji.

– Spokojnie – poprosił mężczyzna – to pani sprawa, choć niezupełnie, bo jeśli chodzi o majątek...

– Nie wiem, o czym pan mówi?

– Mam rezydencję nieopodal miejsca, w którym Tomasz Mann umiejscowił akcję *Czarodziejskiej Góry* – odezwał się, pociągając spory łyk cydru – a to dworzyszczki należało onegdaj do rodziny mojej matki, która zajmowała się przeprowadzaniem ludzi na drugą stronę Alp. Matka wyjechała razem z moim ojcem po wojnie do Ameryki Południowej. Obecnie mieszkają w Sao Paulo.

Wiktoria wzdrygnęła się na myśl, że Wermannowie pomagali w ucieczce hitlerowskim oprawcom, ale nie wyraziła tej myśli głośno. W to miejsce zapytała:

– A pan co tutaj w takim razie robi?

– Jestem szefem ultrapravicowej partii i jak się pani być może domyśla, dobrze notowanym politykiem, oboje więc jedziemy na tym samym wózku, i nie chcemy, aby przeszłość pokrzyżowała nam szyki. Pani ma swoje plany, a ja swoje. I nawet gdyby zaczęła pani opowiadać teraz niestworzone historie na mój temat, to i tak nie będzie żadnych dowodów na to, że pani nie konfabuluje.

– Niech pan da spokój – poprosiła Wiktoria – bo mam już dość tego rodzaju niespodzianek. To nie na moje zszargane nerwy. Nie mam czym oddychać. I nie wierzę panu, że to przypadek. Od jak dawna pan mnie śledzi?

– Od pewnego czasu wykonuje pani niepokojące ruchy...

– Ale to nie ja szukałam Rosenfelda, bo nie miałam pojęcia o jego istnieniu – odparła – to on mnie zaczął po pogrzebie mojego ojca i zaprosił do Francji.

– A to podła, podstępna kreatura – oburzył się Wermann – tego właśnie Jan obawiał się najbardziej i nie bez powodu trzymał Michaela na dystans, z dala od swojej rodziny. Nie powinna była pani tam się w ogóle znaleźć.

– Teraz też tak myślę...

– Michael Rosenfeld liczy na to, że dowie się od pani tego, czego nie ujawnił mu pani ojciec. Jak nie Rosenfeld, to prędzej, czy później wyciągnie z pani te informacje Mosad. Oni nigdy nie rezygnują, a co więcej stosują metody odpowiedzialności zbiorowej i mszczą się na dzieciach swoich oprawców.

– Więc dlaczego dotąd mnie nie zabili?

– Bo wtedy nie odpowiedziałyby pani już na żadne z ich pytań. Jest pani dla nich cennym źródłem informacji.

– Ale ja naprawdę nic nie wiem, albo raczej nie wiedziałam. Niepotrzebnie pan się nam dzisiaj objawił.

– Wcale nie miałem takiego zamiaru – roześmiał się Wermann – ale jak tylko was zobaczyłem, wiedziałem, co się święci. Wystarczyło spojrzeć w niebo, aby wiedzieć, że nastąpi nagle załamanie pogody i będzie po was. Żał mi się zrobiło tego pianisty, bo z odmrożonymi palcami już nigdy niczego by nie zagrał. Więc nie mów teraz, że niepotrzebnie uratowałem twoją dupę?

– Z mojej strony nic panu nie grozi – odezwała się Wiktoria po dłuższej chwili milczenia, wciąż nie pewna, czy nie skończy na dnie piwnicy. – Daję słowo!

– Niech pani wraca do Polski, tam gdzie jest pani miejsce i nie szuka więcej kłopotów.

– Nie mogę – odpowiedziała – wpadłam po uszy i zaręczyłam się właśnie z tym panem.

– Myśli pani, że to prawdziwy szmaragd? – roześmiał się Wermann. – Za każdym razem kupuje takie samo syntetyczne szkielekko i wciska kolejnym paniom ciemnotę, że się z nimi ożeni.

– Dlaczego pan to robi? – wrzasnęła Wiktoria, sprawiając, że wyrwany jej krzykiem ze snu Maksymilian zerwał się na równe nogi. Obudził się z bólem głowy, zupełnie jak na kacu, lecz Wermann szybko wytłumaczył mu, że to kwestia zmiany ciśnienia i kazał im położyć się z powrotem spać.

Świtało, gdy obudziło Wiktorię szczekanie psów. W tym samym momencie dotarł do jej nozdrzy zapach świeżo parzonej kawy.

– Możemy jechać – odezwał się Johan Wermann, podając jej kubek z kawą. Pospiesznie narzuciła na siebie suche ubranie i wsiadła do samochodu.

– Wysadzę was na parkingu przy stacji kolejowej Oberaltpass, jeśli tam zostawiliście samochód? – zaproponował Wermann. – zapraszam do Davos.

– Dlaczego tam? – zapytał półprzytomny Maksymilian.

– Bo tam znajdują się wrota do piekieł.

Wiktoria wiedziała, że to żart i że należy szukać ich w Bad Ragaz, ale po chwili zaczęła zastanawiać się, co właściwie jej domniemany stryj miał na myśli. Co chciał przez to powiedzieć i jaki może to mieć związek z *Doktorem Faustusem*, którego sama wciąż wozi ze sobą.

– Wiemy, panie prokuratorze, że wpadły wam w ręce zdjęcia zrobione przez Johana Wermanna, syna Rudolfa Bergmanna, którego wciąż bezskutecznie poszukujemy – odezwał się w dość obcesowej formie Jean Pierre, dając Aleksowi do zrozumienia, że jest agentem Mosadu.

– Johan Wermann jest synem Rudolfa Bergmanna? – Aleksowi przez moment wydawało się, że śni, bo przecież, wedle jego

wiedzy, Rudolf Bergmann miał tylko jednego syna, Jana Berga, a ten nie żyje.

– Johan Wermann urodził się dziesięć lat po wojnie w Ameryce Południowej, najprawdopodobniej w Brazylii, ze związku Rudolfa Bergmanna z Elizabeth Wermann – doktor Rosenfeld starał się załagodzić dysonans wywołany napastliwym żądaniem Izraelczyka.

– Osiedlili się w Sao Paulo, natomiast Johan Wermann ma swoją, odziedziczoną po matce, rezydencję nieopodal Davos.

– Tu, w Szwajcarii?

– W Szwajcarii – potwierdził Michael Rosenfeld.

– Johan Wermann studiował w Niemczech i odkąd poznał prawdę o swoim ojcu, umierał ze strachu, aby nie wyszła ona na jaw i nie zrujnowała mu kariery politycznej. Jako polityk, mocno zresztą kontrowersyjny, stawał się osobą publiczną.

– Czy oni się znali? – Aleksa zaczęła ogarniać wściekłość.

– Domyślam się, że pyta pan, panie prokuratorze, o relacje łączące synów Rudolfa Bergmanna.

Aleks przytaknął skinieniem głowy.

– Johan Wermann długo nie wiedział o istnieniu Jana Berga, bo Rudolf Bergmann trzymał ten fakt w głębokiej tajemnicy, jak zresztą wszystko co było związane z jego niechlubną przeszłością. Również Jan Berg, choć wiedział, że jest synem Rudolfa Bergmanna i najprawdopodobniej od niego też dowiedział się o swoim istnieniu – kontynuował swój wywód Michael Rosenfeld – nie miał pojęcia, że ma jeszcze jednego, młodszego od siebie, przyrodniego brata. Wpadł na niego przypadkiem na jakiejś konferencji naukowej w Heidelbergu, dokąd zaproszono go z cyklem wykładów, i zdumiony zaczął dociekać, kim jest łudzaco do niego podobny młody Niemiec. Gdy usłyszał, że Johan Wermann przyjechał z Ameryki Południowej, nabrał podejrzeń i w końcu zaczął domyslać się prawdy, co zresztą w najmniejszym nawet stopniu nie zagrażało bezpieczeństwu SSHauptsturmführera Bergmanna. Jan Berg nigdy nie wydałby ojca.

– Zbyt wiele mu zawdzięczał? – w głosie Aleksa pojawiła się sarkastyczna nuta.

Nie mógł jeszcze otrząsnąć się z wrażenia, jakie zrobiła na nim niedawna wizyta agenta amerykańskich służb wywiadowczych i wątek szpiegowski sprawy. Rozbawiła go myśl, że przypadkiem znalazł się w posiadaniu materiałów, na które polują i Żydzi i Amerykanie. Nie miał jednak świadomości, że sam również przy tej okazji znalazł się w niebezpieczeństwie.

Fragment niepublikowanej III cz. Trylogii *Kiedy miłość była zbrodnią* – Wiktoria



IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA WAWEL O ZMIERZCHU

– Akcent pada na muzykę polską, ukazywaną w szerokim kontekście kultury, i promocję polskich artystów – wykonawców (CORda Cracovia, Elżbieta Stefańska, Piotr Lato, Chopin Piano Duo, Rafał Jacek Delekta), także – muzyków ukraińskich, na czele z Alexandrem Gavrylyukiem oraz polsko-ukraińskim dyrygentem Yaroslavem Shemetem – mówiła Małgorzata Janicka-Słysz, dyrektor artystyczny festiwalu.

Na koncert kameralny 4 sierpnia złożył się pół-recital chopinowski Pawła Kubicy oraz wybór pieśni i arii operowych. Swoim głosem i ciekawymi interpretacjami zachwycała publiczność na dziedzińcu Batorego sopranistka Zuzanna Hwang-Cempla. Śpiewaczka wykonała m.in. *Cinq melodies populaires grecques* Ravela. Jak to ujął Vladimir Jankélévitch: „Ravel jest bardziej Hiszpanem aniżeli Manuel de Falla. Potrafi być rdzennym Żydem, tak jak Dariusz Milhaud, wtedy, gdy mówi po hebrajsku. A gdy wsiada do cygańskiej budy staje się bardziej cygański, niż Franciszek Liszt”. Było w nich miejsce na wysmakowaną kolorystykę brzmieniową, chwile ciszy i zamyślenia, na subtelna grę z pianistą. Dalsza część programu stanowiła *pout-pourri* z piosenek (Paderewski - *Piosnka dudarza*), arii operowych starszych (Mozart- *Così fan tutte* – *Fra gli amplessi*) i nowszych (Verdi - *La Traviata* – *Parigi, o cara*), które co prawda były ładne, ale niestety nie złożyły się na spójny program.

Ciekawym punktem programu był koncert *Chopin Piano Duo*: Anna Boczar & Bartłomiej Kominek – fortepian 4 ręce (5 sierpnia), gdyż utwory na cztery ręce o wiele częściej usłyszeć można w salonie niż na estradzie koncertowej. Zabrzmiały ulubione przez publiczność *Album Tatrzańskie op. 12* Paderewskiego i *Suita Peer Gynt op. 46 nr 1*. Koncert dopełnił wirtuozowski *Danse Macabre op. 40* Saint-Saënsa. W tym poemacie symfonicznym śmierć miała zapraszać duchy na zabawę, gdzie dołączały do szalonego walca. Dziękiemu tańcowi kres miało położyć o świcie pianie koguta. Pianisci zmierzli się z trudnym zadaniem zbudowania narracji i oddania bogactwa kolorystyki instrumentów orkiestry.

Na dziedzińcu Batorego pianista Mateusz Dubiel (6 sierpnia) zaprezentował utwory Wolfganga Amadeusza Mozarta, Fryderyka Chopina i Karola Szymanowskiego. Jako ciekawostkę można zauważyć, że *Polonez op. 53* Chopina wykonany został w trakcie Festiwalu aż trzy razy: zarówno przez Kubicę, Dubiela jak i Sejbuk. Komu z nich należy się nagroda za najlepsze wykonanie poloneza?

Jak zawsze z niecierpliwością wyczekiwałam koncertów na dziedzińcu Arkadowym. W pierwszym z nich (11 sierpnia) wzięła udział Orkiestra CORda Cracovia i co rzadko się zdarza dwójka solistów – Elżbieta Stefańska i Piotr Lato. Wynikało to



z niezwykle ciekawie ułożonego programu koncertu. Tego wieczoru bowiem zabrzmiał *Koncert na klawesyn i smyczki* Henryka Mikołaja Górecki oraz *Sinfonietta nr 2 na klarnet i smyczki* Krzysztofa Pendereckiego. Elżbieta Stefańska zaprezentowała doskonałość techniczną oraz konsekwentne budowanie napięcia w dziele. Piotr Lato zachwyił bogactwem kolorystyki i wielką rozpiętością dynamiczną gry. Jednakże wirtuozeria jego gry zawsze podporządkowana była konsekwentnemu kształtowaniu dzieła muzycznego. Przy wrażliwym towarzyszeniu CORDy Cracovii pod batutą Rafała Jacka Delekty *Sinfonietta nr 2* nabrała niezwykle kolorów i dialogowego charakteru. Swoistego rodzaju ramę dla tych dwóch niezwykle utworów XX wieku stworzyły aż trzy symfonie na smyczki Felixa Mendelssohna-Bartholdy'ego (nr 1 C-dur, nr 2 D-dur, nr 5 B-dur).

Dużą przyjemność krakowskim melomanom sprawił występ Orkiestry Reprezentacyjnej Straży Granicznej z Nowego Sącza prowadzonej przez Leszka Mieczkowskiego. Wraz z gronem solistów (Natalia Zabrzaska-Borowiec, Iwona Chruślicka, Hania Sitko, Tomasz Jarosz, Wacław Waclawiak) zaprezentowała ona wybór polskiej muzyki filmowej oraz aranżacji melodii ludowych. Zabrzmiał m. in. polonez z filmu „Pan Tadeusz”, walc z filmu „Trędowata” i Meluzyna z „Akademii Pana Kleksa”.

Koncert finałowy (13 sierpnia) otworzył Alexander Gavryluk wykonaniem *Fantazji f-moll op. 49* Fryderyka Chopina.

Pomimo wielkiego doświadczenia pianisty, niestety nie był to najszcześniejszy wybór na początek koncertu. W trakcie wciąż na dziedziniec wchodziły kolejne osoby i poszukiwały miejsc, powodując zamieszanie w wąsko ustawionych rzędach krzeseł. Trudno przez to było skupić się na tak pięknym i wymagającym dziele.

Dopiero po zejściu artysty z estrady Dyrektor Artystyczna Małgorzata Janicka-Słysz powitała publiczność. Znakomicie pod palcami pianisty zabrzmiał *Koncert fortepianowy a-moll op. 16* Edvarda Griega, a orkiestra CORDa Cracovia, tym razem pod batutą Yaroslava Shemeta, dotrzymywała mu kroku. Szczególną wrażliwość i wycucie zaprezentował Shemet odpowiadając na niuanse i dopasowując się do solisty w *Adagio* tego koncertu. *IX Symfonia e-moll op. 95 „Z Nowego Świata”* Antonína Dvořáka upłynęła pod znakiem entuzjazmu, młodzieńczej energii. Młodzi muzycy porwali publiczność. Shemet poprowadził symfonię konsekwentnie, z należyłą precyzją.

Obok koncertów głównego nurtu podobnie jak w latach ubiegłych prezentowali się młodzi pianiści: Zuzanna Sejbuk, Julian Stanny i Mikołaj Ólafur Frach. Należy się cieszyć, że po trudnym czasie pandemii dziedziniec wawelskiego zamku ponownie zapełnił się po same brzegi festiwalową publicznością.



Wernisaż wystawy malarstwa Justyny Laski-Pietrzyńskiej i Jana Sabiniarza w „Sukiennicach”, z lewej Janusz Trzebiatowski

JANUSZ TRZEBIATOWSKI I CHOJNICKIE DNI SZTUKI

Janusz Trzebiatowski, chojnicko-krakowski artysta także w tym roku zaprosił na Dni Sztuki. Są one pomyślane w ten sposób, by promować sztukę przez duże „S”, jak mawia ich inicjator.

14 września w restauracji „Sukiennice” można było obejrzeć wystawę malarstwa Justyny Laski-Pietrzyńskiej i Jana Sabiniarza. Oboje są doskonale znani chojnickiej publiczności. Janusz Trzebiatowski objaśniał, że hasłem tegorocznych Dni jest to, aby na nienawiść odpowiadać miłością. Tradycyjnie przywoływał ideę jedności sztuki, której odnogami są muzyka, malarstwo, poezja. A Jan Sabiniarz podkreślał duchowy aspekt tworzenia i wielość bodźców, które sprawiają, że dzieło przemawia do odbiorcy swoim magicznym pięknem i przesłaniem. Także Justyna Laska-Pietrzyńska, najmłodsza i najbardziej eksperymentująca z nowymi tendencjami malarka wyrażała radość ze spotkania w tym gronie.

Po oficjalnych mowach właściciel restauracji Thuy Tran Dinh zapraszał na kaszubskiego grzańca. Napoju o tyle nietypowego, że powstał wedle receptury własnej i chojnicko-krakowskiego artysty. Podobno wynalazek zajął tylko pół nocy, a degustacja drugie pół...

Wiersze Karla Grenzlera

15 września gościem Miejskiej Biblioteki Publicznej był poeta, prozaik i tłumacz Karl Grenzler, obecnie z pobliskiego Czerska, wcześniej i z Krakowa, i z Lubeki, i z wielu innych miejsc w Polsce i w Niemczech.

To jego powrót do korzeni, bo to właśnie w Czersku mieszkała babcia poety, która praktycznie go wychowywała, gdy rodzice pracowali w Gdyni. To jej autor poświęcił kilka poruszających wierszy. Ważne były i są dla niego Bory Tucholskie, które teraz ożywają także na kartce papieru – z obrazami codzienności dziadków, zmienną aurą, stałym rytuałem pór roku – topieniem smalcu, kiszeniem kapusty, zaprawianiem wszystkiego, co mogło się przydać w spiżarni i kolejnymi zajęciami w kolejnych miesiącach, kolejnych porach roku. Kraina dzieciństwa jest nieustannym

źródłem zachwyceń i poszukiwań w pamięci. Powstaje wszak nowy tomik wierszy.

Te wcześniejsze są niedostępne, nakłady się wyczerpały, można je upolować w bibliotekach. I warto, bo to wiersze znakomite – przesycone magią, ze stadem niezwykłych aniołów, z zapisem snów i majaków, onirycznych wizji, ale też skrzętnie dokumentujące dramatyczne relacje międzyludzkie, miłosne związki, zakochania i odejścia. Grenzler coraz bardziej zmierza do epigramatycznej formy i celnie trafia w samo sedno. Jak podkreśla, jego żywiołem nie jest publicystyka, nie zabiera głosu w sprawach doraźnych, politycznych.

33 lata spędził w Polsce, potem 33 lata w Niemczech i teraz ma nadzieję na kolejne 33 znowu w Polsce. Teraz w Czersku odnajduje spokój. Obrusza się na pytanie, kim właściwie się czuje – Polakiem, Niemcem, Europejczykiem? Jego językiem jest polski, ale niemiecki zna doskonale i jego tłumaczenia mają markę. Teraz już się tym nie para, bo to zbyt angażujące.

Bawi się za to prozą, jak mówi, w niej może się wyżyć. Książka „Podobno jestem psem” będzie więc miała ciąg dalszy...

Spotkanie miała piękną oprawę, bo wiersze Grenzlera czytali Beata Czapiewska i Grzegorz Szlanga z zespołu teatralnego Projekt 41. Na koniec Janusz Trzebiatowski najpierw wysłuchał wiersza jemu dedykowanego, by później stwierdzić, że Dni Sztuki są właśnie po to, by pokazać, że sztuka nie zna granic. Jakichkolwiek.

Inny krzyk

Janusz Trzebiatowski 16 września zaprosił na wernisaż swojej wystawy w Chojnickim Centrum Kultury. Zanim jednak została ona otwarta, na wszystkich czekał koncert fortepianowy Gabrieli Szendzielorz-Jungiewicz. Jeśli obecni spodziewali się tego, co znają na pamięć, to srodze się zawiedli. Pianistka przygotowała program składający się z muzyki współczesnej. Zaczęła niewinnie, od Lutosławskiego, który dziś jest już raczej klasykiem, potem zrobiło się



Wernisaż wystawy Janusza Trzebiatowskiego w ChCK, artysta obłożony

trochę trudniej, bo była Monika Kędziora, potem był magiczny Bogusław Schaeffer i jego *V Koncert fortepianowy*, ale dopiero przy Przemysławie Szczotce (uczniu pani profesor, obecnie doktorancie Katowickiej Akademii Muzycznej) nowoczesność uderzyła obuchem – nie tylko samym brzmieniem i niecodziennymi kontrastami w muzycznej fakturze, ale też tym, co pianistka wyczyniała z instrumentem, głaszcząc nie tylko klawisze, ale naprężając struny, stukając w ramę drzewcem i odczyniając inne uroki, które owocowały... muzyką. Na koniec był dość grzeczny Serocki, ale też brawa dla artystki, która nie tylko zagrała to wszystko z ogniem, ale też przy okazji wyedukowała publiczność, nieoswojoną za bardzo z muzyką współczesną, a jednak gotową na jej przyjęcie.

Potem w sali wystawowej ChCK burmistrz Arseniusz Finster chwalił mistrza Trzebiatowskiego za jego inwencję. Zaś mistrz wybiegał w przyszłość – za rok chce mieć aż sześć dni dla sztuki! Była też okazja, by uhonorować Thuya Tran Dinha tytułem Mecenasa Sztuki, co wyróżniony przyjął z wyraźnym wzruszeniem i przejęciem.

A na wystawie oprócz paraliżującego obrazu pt. „Krzyk” można było obejrzeć pastele z cyklu „Ptaki”, które niedawno były pokazywane w Akwizgranie, oraz część cyklu „Katedra”, pokazywanego w Neustadt.

To wydarzenie zamknęło tegoroczne Dni Sztuki. Kolejne za rok. Ciekawe, czy naprawdę sześciodniowe...

MARIA EICHLER



YVETTE POPŁAWSKA

(4. 10 1960 Wrocław – 17.09. 2023 Belgia)

Odeszła nagle i niespodziewanie, a w naszej pamięci pozostanie jej obraz jako wielkiej działaczki na rzecz polskości, łączenia ludzi nie bacząc na granice, kolor skóry, wyznanie czy poglądy. Organizowała w różnych miejscach tego świata eventy, zapraszając na nie ludzi ze świata kultury i sztuki, prowadząc w mediach oficjalny dialog wielokulturowy i zarazem wielopokoleniowy.

Jej credo, na to co robiła brzmiało: życie zapisywać w metaforach, poddawać solidnej obróbce, potem szlifować najzwyklejsze sytuacje z życia wzięte... A nade wszystko potrafić...

Była kolorowym ptakiem, niosącym swoją wizję tego świata, mającym zawsze na pierwszym miejscu na uwadze, drugiego człowieka. Jej życie było nieustannie związane ze światem sztuki, dziennikarstwa i kultury. Nie było siły, która byłaby w stanie pokonać jej ducha pełnego werwy i gotowości do działania. Nawet w czasach, kiedy przeżyła najgorszą traumę swojego życia, płakała w skrytości, cierpiała samotnie, a potem do końca dni swoich, nie mogła przestać o tym myśleć. Chcąc uciec przed cierpieniem w roku 1991 decyduje się na wyjazd do Belgii, gdzie pozostaje już do końca swoich dni.

Yvette nie mówiła o cierpieniu, wręcz przeciwnie, to ona dawała siłę i nadzieję cierpiącym, pisząc w swoich wierszach o nieprzemijających wartościach

w życiu człowieka, o naturze, porach roku czy akceptacji otaczającej nas rzeczywistości, której i tak nie możemy zmienić. Jej wiersze i aforyzmy cechuje niebywała prostota oraz konkretny i ekspresyjny przekaz myślowy. Niezwykle ważną rolę w jej życiu odgrywali przyjaciele. To z nimi spędzała każdą wolną chwilę, złączona kontaktami z drugim człowiekiem. Takie również było jej odejście – pośród przyjaciół...

Była niezwykle baczny obserwatorem i to nie tylko ludzi, ale i przyrody oraz zmian w niej zachodzących. W swoich wierszach zauważała to, czego człowiek zabiegany w gonitwie codzienności zauważyć już nie potrafi.

Ta cywilizacyjna ślepotą niepokoiła ją i wzbudzała w niej zatrzwoenie obranym przez ludzkość kierunkiem. Nie raz i nie dwa wyrażała to w swoich lirykach. W jej poezji znalazło się więc miejsce na nowoczesny świat i jego ulepszenia, ale radziła ludziom reset sposobu myślenia, albo nawet wymianę software, jak zwykła mawiać.

Pisząc o upływającym czasie, zamykała go w klepsydrze, ale w realnym życiu to opadające jesienią kolorowe liście były dla niej symbolem przemijania. Stawiała mnóstwo pytań, podążała śladami przeszłości i minionych wydarzeń, często pochylając się nad grobami zmarłych Polaków, bohaterów. Czyżby tam szukała ukojenia dla ran swojej zbolętej duszy?

Na uwagę zasługuje również optymistyczny sposób wyrażania obserwacji naszego świata, ale napotykamy tu na świat znajdujący się ponad naszą wyobraźnię. Ego człowieka w innym wymiarze. I to przez ten aspekt, przebija się najmocniej dojrzałość jej twórczości. Jej podróż w głąb siebie jest wyrazem głębokich emocji, jakich doznajemy czytając tomik jej wierszy „Ku sobie samej”, jest niemalże swoistym kluczem do esencji życia.

Z jej liryki przebija wyraźnie głos tęsknoty za ojczyzną. Na szczególne podkreślenie zasługuje również jej ciągła próba powracania do poległych bohaterów II Wojny Światowej, a jej głos wybrzmiewał jakby nakaz pamiętania o tamtych, dramatycznych dniach w historii Polski, w historii świata, w historii ludzkości.

Poszczycić się mogła członkostwem w wielu uznanych i szanowanych Instytucjach takich jak:

- Stowarzyszenie Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej
- Związek Polaków w Belgii
- Związek Polskich Kombatantów i Dywizji Pancerniej Gen. Maczka w Belgii
- Organizacja Polonijna na rzecz Rozwoju i Promocji Kultury Polskiej w Belgii

– Stowarzyszenie Twórcze POLART

Laureatka wielu nagród i wyróżnień w kraju i na świecie:

– Nagroda Pracy Organicznej im. Marii Konopnickiej” za zasługi dla Kultury Polskiej, Warszawa – Polska, 23.05.2013 – Dom Polski w Brukseli, 13 września 2013

– „Złote Skrzydła” dla zasłużonego Polskiej Kulturze, przyznane przez Organizację Polonijną Na Rzecz Rozwoju i Promocji Kultury Polskiej 4.10.2013 Głos Polskiej Kultury w Birmingham – Anglia

– edycja Konkursu Polak Roku w Belgii „Polak Roku Internautów”

– „Pierścień Weteranów” Działań Poza Granicami Państwa przyznany przez Fundację Valkyria Veterans z Warszawy, przekazany przez Sygnety Resortowe „Insignia” z Bydgoszczy – Bruksela 24.03.2018

Była założycielem i prezesem Międzynarodowego Stowarzyszenia Artystów, Autorów, Dziennikarzy i Prawników Virtualia Art.

W mej pamięci pozostanie jako kobieta o wielkim sercu i prawdziwy przyjaciel. Żegnaj Yvette!

MARIOLA STERNAHL

WOJCIECH ANTONI SOBECZYŃSKI

WIELKA WYSTAWA MARKA ŻUŁAWSKIEGO



**Dar Maryli Żuławskiej
w zbiorach Muzeum Uniwersyteckiego Mikołaja Kopernika
(UMK)**

**Przy udziale Towarzystwa Przyjaciół Archiwum Emigracji
I współpracy Centrum Sztuki Współczesnej Znaki Czasu,
Toruń 2023**

16.09 – 31.12.2023

Wernisaż 15 września, 2023 potoczył się swoim uroczystym nurtem, wartkim tempem lecz z powagą ze względu na szczególne okoliczności tego wydarzenia, bowiem wystawa Marka Żuławskiego była kulminacyjnym punktem programu obchodów 550 rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika, oraz Światowego Kongresu Kopernikowskiego.

Wielki hol Centrum Sztuki Współczesnej wypełniał tłum zaproszonych gości, grono organizatorów z UMK oraz gospodarzy z dyrektorem CSW, Krzysztofem Stanisławskim we wiodącej roli.

Przemawiał Prorektor Uniwersytetu i Prezydent Miasta Torunia. Wspomniano o honorowym patronacie ambasadorów Wielkiej Brytanii i Rzeczypospolitej Polskiej w organizacji tego bi-lateralnego wydarzenia. Na szczególną uwagę zasługują wystąpienia Dyrektora Archiwum Emigracji

Mirosława A. Supruniuka i Katarzyny Moskały – kuratorki wystawy, którzy sprawowali kluczowe role w wielopłaszczyznowych przygotowaniach tak ogromnego zadania jakim jest dobór eksponatów, układ ekspozycji i prac związanych z katalogiem.

Ostatnie słowo powitania powierzono Maryli Żuławskiej, wdowie po zmarłym artyście, której oddanie dla Marka było ewidentne za jego życia i trwa nadał w bezinteresownej trosce o jego pamięć i twórczą spuściznę.

Wspomniany wcześniej katalog jest znakomicie wydany pod każdym względem. Jest dwujęzyczny, odzwierciedlając w ten sposób polskie korzenie Żuławskiego i długie lata życia w Wielkiej Brytanii, gdzie osiadł w wyniku podziału Europy po zakończeniu II wojny światowej. Opracowanie graficzne, zdjęcia archiwalne z bardzo ciekawego życia, osobistego, rodzinnego,

artystycznego, społecznego i publicystycznego, któremu Żuławski oddawał się z poświęceniem i niesłyszczaną energią. Warto tu wspomnieć, że Maryla dostarczyła zgromadzone materiały informacyjne o mężu już dawno a syn Adam Żuławski czuwał nad przekładem tekstów na język angielski.

Miło mi jest też wspomnieć, że oficjalną ceremonię otwarcia w swoisty sposób ożywiła obecność wnuka artysty, który momentami zawładnął scenę bawiąc się beztrosko ulubioną zabawką. Był to swoisty skok naprzód w genealogii rodziny Żuławskich, może nawet coś w rodzaju promienia wytyczającego nowy wektor świetności, a jest to zadanie nie łatwe.

Artysta urodził się w roku 1908 w Rzymie, jako pierwszy z trzech synów Jerzego i Kazimierzy Żuławskich. Nie wiem jak długo Państwo Żuławscy przebywali nad Tybrem? Przypuszczam, że nie wystarczająco długo, żeby Marek wyniósł stamtąd jakiś załazek artystycznej drogi życia? Jest to zapewne tylko jeden ze zbiegów okoliczności działających na naszą retrospektywną wyobraźnię.

W istocie ukształtowała go nieprzeciętna atmosfera rodzinnego środowiska. Ojciec – filozof, poeta, pisarz, dramaturg, intelektualista. Podobnie i Matka – romanistka, doktor filozofii, tłumacz literatury francuskiej i hiszpańskiej. Oboje uprawiali wspinaczkę w wysokich Tatrach w duchu czasów ‘odnowy’ nowego stulecia i rosnących nadziei na niepodległość. Zakopane, w którym osiadła rodzina Marka inspirowało wiele innych rodzin podobnego kalibru. Otwarty dom literacki prowadzony przez państwa Żuławskich w willi Łada przyciągał wiele czołowych postaci ówczesnej awangardy artystycznej. Na przestrzeni czasu były też inne miejsca spotkań o podobnym charakterze w domach Kossaków, Pawlikowskiej – Jasnorzewskiej i innych. Zakopane wabiło zdrowym życiem, czystym powietrzem a przede wszystkim pięknym położeniem. Urzekliwe Tatry inspirowały kompozytorów takich jak Karłowicz. Nieco później osiadł tam Karol

Szymanowski, sięgając po harmoniczne wzorce z muzyki tatrzańskiego folkloru. Pojawił się Witkacy wpadający na rozmowy z matką. Życie młodego Żuławskiego obcowało na co dzień z poezją własnego ojca, młodszego brata Juliusza i wielkich gości, takich jak Przerwa-Tetmajer.

Magiczną wręcz młodość zakłóciła śmierć ojca. Kazimiera – owdowiała matka – przeniosła rodzinę do Torunia w 1921. Po krótkim okresie, z maturalnym świadectwem w ręku najstarszego syna Kazimiera Żuławska przeniosła rodzinę do Warszawy, trzeciego z kolei miasta kształtującego świadomość synów. Po krótkim okresie studiów na wydziale prawa na Uniwersytecie Warszawskim Marek przeniósł się do Szkoły Sztuk Pięknych (ówczesna nazwa ASP) zaczynając artystyczną drogę swojego długiego i owocnego życia.

W 1933 roku jako dyplomant Malarstwa Sztalugowego Marek pogłębia swoją wiedzę dwu letnimi studiami malarstwa ściennego zaczynając niezależne życie artystyczne. Warszawa była chłonnym, może nawet głodnym rynkiem. Odrodzone państwo polskie potrzebowało artystów, grafików, projektantów plakatów informacyjnych, twórców nowej społecznej symboliki. W 1935 Żuławski otrzymuje stypendium na studia w Paryżu, przyznane przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, potwierdzając w ten sposób, że talent młodego twórcy został dostrzeżony. Polskie władze pokładały nadzieje na dalszy rozwój jego talentu. Pod koniec pobytu w Paryżu Marek Żuławski odwiedza Londyn, miasto z którym splót różnych okoliczności związał artystę na całe życie. Egzotyczny młodzieniec ze wschodniej Europy, z niedużym ale istotnym stażem w Paryżu, ówczesnej stolicy artystycznego świata, pozyskał sobie sympatię kluczowych galerii Londynu. Był to bardzo obiecujący start wystawienniczy a pozytywne wzmianki prasowe przypieczętowały reputację młodego malarza. Meteorytyczne początki artystyczne miały z konieczności



Marek Żuławski, Rozmowa - Zakochani 1956

odbicie w prywatnym życiu. Studencka miłość i małżeństwo z Eugenią Różańską rozpadło się bardzo szybko.

Wczesny sukces artystyczny na zachodzie dostrzega też Warszawa. Żuławski przyjeżdża do Warszawy z okazji udziału w wystawie Instytutu Propagandy Sztuki. Poznaje wtedy swoją przyszłą, choć znowu nieszczęśliwą miłość - Halinę Korngold. Młodzi kochankowie planują spotkanie latem 1939 roku. Wakacyjną idyllę we Francji przerywa wybuch Hitlerowskiej wojny. Marek wraca do Londynu. Halina dociera do Anglii dopiero w rok później. Wspólne wojenne życie toczy się ciekawie pomimo ponurych wieści z okupowanej Europy. Żuławski podejmuje kierowniczą rolę w Polskiej Sekcji Radia BBC. Niestety, w 1948 roku Halina dowiaduje się, że jej cała rodzina została zamordowana przez Niemców w Oświęcimiu. Ta dewastująca wiadomość wywołała w niej trwałe załamanie psychiczne. Pomimo opieki, pomocy psychiatrycznej i wszelkiego rodzaju zabiegów męża w celu odzyskania równowagi psychicznej Halina umiera złamana ciężarem nieszczęścia w 1978.

W międzyczasie życie artysty trwa. Przypuszczać można, że w dużym stopniu praca w BBC, rozliczne zadania wydawnicze i kontakty z artystycznym środowiskiem oraz intensywna praca stały się pomostem do konfrontacji z nowymi zadaniami. Żuławski publikuje, maluje, podróżuje, utrzymuje kontakty z Warszawskim światem kultury i sztuki. W 1953 umiera sowiecki dyktator Stalin, a w trzy lata później zbuntowane społeczeństwo polskie zmusza komunistyczne władze od ustępstw. Jednym z aspektów tzw. odwilży 1956 roku były zwiększone kontakty kulturalne z wolnym światem. Skończyła się era kontrolowanego i narzuconego odgórnie soc-realizmu. Tematyka prac Marka, skupiająca uwagę nad egzystencjalnymi kwestiami konfrontującymi człowieka dźwigającego się ze zgliszcz wojny nie raziała 'ideologicznych kontrolerów'. Na przestrzeni około dwóch dekad Żuławski miał zdumiewającą ilość przeszło 20-tu wystaw w Polsce, z czego najważniejsza z nich odbyła się w Warszawskiej Zachęcie (1957). Wystawa spotkała się z uznaniem i przychylnością miłośników sztuki i artystów. Szereg wystaw zarówno w Anglii jak i w Polsce, zamówienia instytucjonalne i prywatne dały artyście niewątpliwie poczucie własnej wartości. Świadoma artystyczna wypowiedź i zaufanie do swoich umiejętności pozwala Żuławskiemu na eksperymenty stylistyczne, czerpiąc ze świata sztuki to co przemawiało do jego wyobraźni. We wczesnych latach powojennych widać w obrazach artysty chęć pokazania ludzi szukających wyzwolenia z traumatycznej lekcji przeżytego niedawno okrucieństwa. Postaci mają



charakter szkicowy, graficzny, syntetyczny. Ciemna tonacja kompozycji jest wstrzemięzliwa, oszczędna, nawet jeśli przedstawia młodych i zakochanych. W powojenne obrazy wkrada się także echo wcześniejszych przeżyć paryskich widoczne w geometrycznych podziałach post-kubistycznej konstrukcji obrazu. Prostokątne plamy zarysów ludzi, monolityczne i monumentalne przypominają czasami rzeźby Henry Moora lub Lynn Chadwicka, Brytyjczyków współczesnych Żuławskiemu, z którymi wystawiał na „Festiwalu Wielkiej Brytanii” w 1950.

Po przyjeździe do Anglii w 1968 roku rozmawiałem z moim wujem Jerzym Żarneckim, wówczas profesorem historii sztuki i vice dyrektorem The Courtauld Institute of Art, uznanym autorytetem sztuki Romańskiej i jednocześnie entuzjastą sztuki współczesnej. Prosiłem go o wskazówki o życiu w Anglii ze szczególną uwagą na świat artystyczny Londynu. Nie chciałem jako nowicjusz zmarnować rocznego stypendium popełniając młodociane błędy. Nie wiedziałem wtedy, że jeden rok zmienia się w całe życie. Lista wskazówek była długa. Na pierwszym miejscu było obowiązkowe zwiedzanie miejsc ważnych dla człowieka kultury. Brytyjskie Muzeum – podkreślone czerwona kreską z wymienionymi oddziałami, jak Grecja, Fryz Partenonu, Egipt, Asyria i inne działy wypełnione dorobkiem kultury z całego świata. Potem wymienił równie ważną Galerię Narodową z obrazami starych i nowszych mistrzów. Na trzecim miejscu – modernizm w Tate, wreszcie ukochana

Courtauld Gallery z kolekcją Impresjonistów i Fowistów. A to był tylko początek. Pytałem o bliską mojemu sercu nowoczesność, współczesne galerie i środowisko artystów. Kiedy rozmowa zesłała na żyjących polskich artystów najważniejszym z wymienionych, według wuja, był Marek Żuławski. Żałuję, że wtedy nie mogłem go poznać, a była ku temu szansa. Znałem jego prace tylko fragmentarycznie - czy to z doniesień polskiej prasy, czy też później ze ścian londyńskiego POSK-u.

Kiedy niedawno temu znalazłem się w kraju chętnie skorzystałem z zaproszenia Maryli Żuławskiej na otwarcie. Wystawa przeszła moje oczekiwania i potwierdziła zasłyszany przed laty 'wyrok' mojego wuja.

Nigdy wcześniej nie widziałem tak wielkiego zbioru jego prac wypełniających bez reszty wszystkie sale drugiego piętra CSW. Odkrywałem je na nowo, pamiętając niektóre z książkowych reprodukcji. Obrazy były imponujące kolorem, rozmiarami, różnorodną techniką i stylistyką prowadząc widza zawiłą drogą rozwoju artysty. Znakomita aranżacja wystawy była wynikiem współpracy wcześniej już wymienianych kuratorów: Katarzyny Moskały i Mirosława Supruniuka, którzy prowadzą kolekcję Archiwum Sztuki Emigracji przy Toruńskim Uniwersytecie.

Ekspozycja, po części chronologiczna, a jednocześnie tematyczna zaskakuje od pierwszego spojrzenia. Na tle purpurowych ścianach pierwszej sali, oświetlone punktowo za pomocą specjalnie na ten cel zainstalowaną aparaturą widniały ważne obrazy figuratywne, ze szczególnie wymowną narracją i zaangażowaniem w los człowieka. Purpurowe tło ścian dawało ekspozycji klasyczny wręcz charakter przywołując korzystne skojarzenia z wielkimi galeriami świata. Centralne miejsce zajmuje duży obraz p.t „Węgierskie Kobiety u grobu poległych” (1956/7) – twarze niby kamienne, proste, zastygłe w bólu. Obraz w zrozumiałym sposób zwrócił moją uwagę swoją aktualnością. Przypuszczam – pomyślałem – gdyby artysta żył dzisiaj, to podobne męczeńskie tematy przedstawiał by niewątpliwie z dzisiejszych konfliktów, których niestety nie brakuje. Czy świat się nigdy nie zmieni?

Obok 'węgierskich kobiet' zawisł obraz mężczyzny z dramatycznie uniesioną do góry ręką - 'Stój, zanim będzie za późno' (1958). Tragiczny gest ostrzega przed katastrofą. Którą?... Może tą atomową pod piętnem której żyło Żuławskiego pokolenie i my wszyscy do tej pory. Dalej widnieje obraz wieśniaczki hiszpańskiej wracającej z pracy przy żniwach. W jednej ręce trzyma grabie a druga dźwiga ciężki toboł. Twarz przeorana trudami kończącego się dnia. Patrząc i myśląc o wsi na której wyrastałem w dzieciństwie i znam dobrze jak wyglądają ręce zniszczone ciężką pracą.

Tak właśnie wyglądali wychudzeni wieśniacy we wczesnych obrazach Van Gogha. Dalej na tej samej ścianie zawieszono nieduży portret „Żydówki” (wczesne lata 1950-te), piękny, trafny, kubizujący. Nie sposób jest opisać wszystkie obrazy wstępnej sali. Poczułem już wtedy, że wystawa wprowadziła mnie we wzruszenie, zadumę, podziw i uznanie.

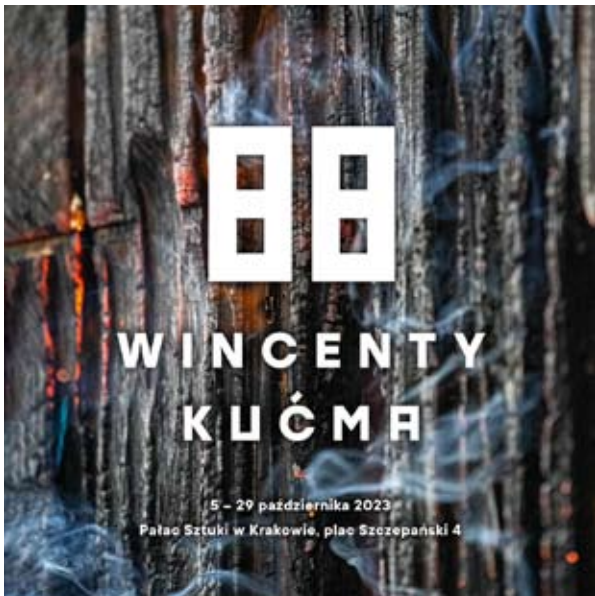
W następnej sali jest zmiana nastroju. Ustaje ból minionych przeżyć. Zaczyna się nowy Żuławski i jego modelki. Tym



razem tło ścian galerii jest grafitowe. Żywa, barwna kolorystyka epoki 'flower power' kontrastuje doskonale z ciemnym otoczeniem. Róż, błękit, żółć, ostra zieleń należą do ery pop-kultury emanującej z Londyńskiej Carnaby Street czy też Nowojorskiej Greenwich Village. Pojawiają się obrazy bardzo intymne – „Nocna rozmowa”(1965), „Dwie nagie postaci” (1967), „Odwracająca się dziewczyna” (1968) i wiele, wiele innych. Każdy obraz wnosi coś nowego w pozornie powtarzającej się narracji wyreżyserowanej przez artystę.

Po śmierci Haliny Korngold w 1978 Marek Żuławski rzuca się w wir nowej intensywnej pracy sięgając po tematykę zaczerpniętą z antyku. Powstaje wielka seria ilustracji Eposu Gilgamesza. Celowo nie zagłębia się w szczegóły brutalnej historii zmagania królów, demi-bogów, dobra i zła, passji, miłości i przemocy. Na takiej kanwie artysta komponuje swoją wizję malarską a jednocześnie mówi o sobie. Młodość i prężność ducha i ciała, która wydawała się dotąd niezniszczalna, zwycięska – kończy się. Nawet zwycięski mitologiczny Gilgamesz musi kiedyś ponieść ostateczną porażkę. W 1980 roku myśli artysty o podsumowaniu skomplikowanego artystycznego i osobistego życia przerywa nowy wątek. Znani sobie od kilku lat, Marek i Maryla Lewandowska zawierają ślub. W trzy lata później przychodzi na świat ich syn Adam. Datę urodzin syna wyprzedza obraz p.t. „Ojcowstwo” (1980), przedstawiający mężczyznę idącego wzdłuż plaży w stronę zachodzącego słońca. U boku domniemanego ojca idzie dziecko prowadzone i osłaniane opiekuńczo ręką mężczyzny. Znika z obrazów waleczny Gilgamesz. Obrazy wypełniają kobiece akty, łagodne, różowe, sygnalizujące – jak wspomina artysta w opublikowanych pamiętnikach – „chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że na krótko przed metą zdążyłem nawet być szczęśliwy”. To poczucie spełnionej misji zawdzięczał bez wątpienia swojej Maryli, która do dzisiaj dba o jego pamięć. Dbą też o ich syna i wnuka, a w ostatecznym rozrachunku o jego najliczniejsze potomstwo – jego sztukę.

*Dla Marylki Żuławskiej
za jej przyjaźń, dobroć,
uśmiech i prawdziwą kulturę.
Wojciech A Sobczyński*



WINCENTY KUĆMA W PALACU SZTUKI

Urodził się 25 maja 1935 roku w Zbelutce na Kielecczyźnie. W latach 1957-1962 studiował na Wydziale Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. W 1967 roku rozpoczął pracę dydaktyczno-naukową w Krakowskiej ASP, gdzie do 2000 roku kierował Pracownią Przestrzeni w Katedrze Sztuk Wizualnych na Wydziale Form Przemysłowych. W 1995 roku otrzymał tytuł profesora zwyczajnego. Swoje prace eksponował na ponad 50 wystawach indywidualnych, 80 wystawach zbiorowych w kraju i około 60 wystawach za granicą. Brał również udział w wielu rzeźbiarsko-architektonicznych konkursach, uzyskując ponad 50 nagród i wyróżnień. Otrzymał najwyższe





Od lewej: prof. Jerzy Nowakowski, Barbara Frankiewicz, Przemysław Witek, prof. Andrzej Pałecki, prof. Mariuszx Korkosz, prof. Andrzej Ziębliński, Roman Pfitzner, Zbigniew Prokop, Krzysztof Kućma, prof. Wincenty Kućma (pośrodku)

odznaczenia państwowe i kościelne. Odznaczony m.in. Orderem Polonia Restituta, Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, Złotym Medalem Ojca Świętego Jana Pawła II, Brązowym Medalem „Cracoviae Merenti”, medalem Papieskiej Rady ds. Kultury – Per Artem ad Deum, oraz najwyższym papieskim odznaczeniem przyznawanym świeckim: Krzyżem Komandorskim Orderu Świętego Grzegorza Wielkiego. W 2018 roku otrzymał z rąk Prezydenta Polski Andrzeja Dudy najwyższe odznaczenie państwowe – Order Orła Białego.

Prof. Wincenty Kućma od ponad 60 lat rysuje, fotografuje, tworzy medale, reliefy, witraże, małe i duże rzeźby, pomniki, projektuje wnętrza i przestrzenie urbanistyczne. Jego najważniejszymi realizacjami monumentalnymi są: Pomnik Armii Krajowej w Kielcach, Pomnik Powstania Warszawskiego 1944 w Warszawie, pomniki w Częstochowie, Gdańsku, Miechowie, Olkuszu. Główne realizacje sakralne to: wnętrze katedry w Irkucku na Syberii, Ołtarz Trzech Tysiącleci na Skałce w Krakowie, Droga Krzyżowa w Pasierbcu, monumentalny ołtarz Rodzina Rodzin i witraże w kościele Świętej Rodziny w Krakowie-Bieżanowie. Ołtarze, witraże, płaskorzeźby i reliefy o tematyce sakralnej autorstwa prof. Wincentego Kućmy znajdują się w ponad 60 kościołach i kaplicach w Polsce oraz za granicą.

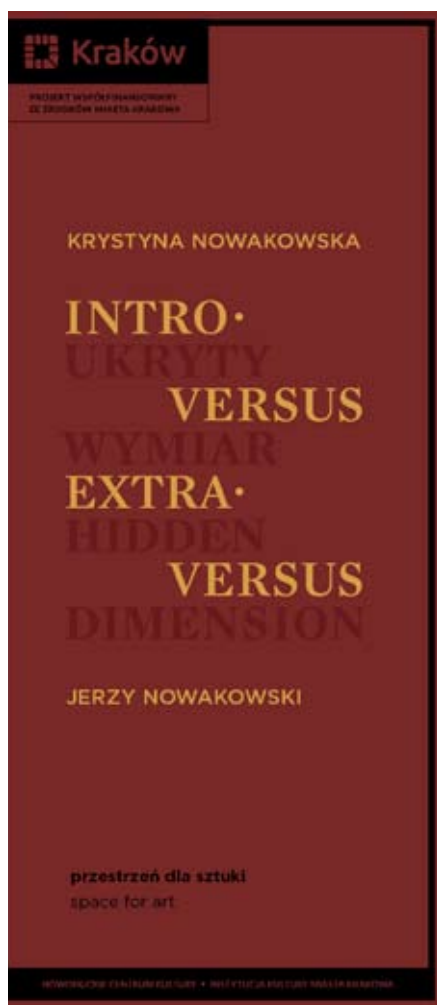
Osiemdziesiąt osiem lat przeplata się z różnymi ideologiami i wydarzeniami, które przynosiły dobre i złe zmiany. Te doświadczenia zapisują, zadrapują pamięć i wrażliwość. Tworzą osobliwą fakturę. Dośłowna żarliwość myśli twórczej sięga po ogień, jako najbardziej adekwatne narzędzie. Wypala resztki poszarpanej struktury.

Pozostawia bez atrybucji relikty mijającego świata. Niszczy i spopiela, a być może wypala i oczyszcza. Czy jest to bolesna diagnoza, czy nadzieja odrodzenia? Być może we współistnieniu tych odczuć kryje się równowaga przemian. Dla artysty miniaturowy rysunek i wielkoformatowa realizacja sakralna są takim samym polem zmagania. Są szansą na dotknięcie czegoś nieuchwytnego.

Otwartość tych niejednoznacznych dzieł zaprasza do uzupełnienia ich naszą własną interpretacją. Prezentowane prace, pochodzące z kilku minionych lat, ukazują wielowątkowy i spójny obszar poszukiwań artystycznych.

Codzienny impuls artysty do szukania nurtujących odpowiedzi na pytania o naturę, sens i kondycję otaczającego świata zaprasza do współdzielenia tych pragnień. Niezależnie od przyjętej konwencji formalnej i tematycznej, czy jest to sztuka sakralna, pejzaż, czy abstrakcja, wszędzie wyczuwalny jest ten niezmienny niepokój.

(RED)



JOANNA GOŚCIEJ-LEWIŃSKA KRYSZYNA NOWAKOWSKA I JERZY NOWAKOWSKI

„Introversus – Extraversus – Ukryty wymiar” – rzeźba, malarstwo, rysunek, medale – 10. edycja Przestrzeni dla sztuki

Celem realizowanej od 2012 roku „Przestrzeni dla sztuki” jest prezentacja wybitnych artystów i zarazem pedagogów z kręgu Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie. Pomysłodawcą projektu jest prof. dr hab. Jerzy Hausner, przewodniczący Rady Programowej Open Eyes Economy Summit i inicjator Open Eyes Art Festival. Głównym organizatorem pozostaje Nowohuckie Centrum Kultury i jego dyrektor Zbigniew Grzyb, a partnerami od początku są Akademia Sztuk Pięknych oraz Agencja Artystyczna GAP, współpracująca z Uniwersytetem Ekonomicznym w Krakowie.

Bohaterami dotychczasowych edycji było dziewięcioro znakomitych twórców: Paulin Wojtyna, Janina Kraupe, Janusz Tarabęła, Stefan Gierowski, Leszek Misiak, Franciszek Bunsch, Ryszard Otręba, Teresa Kotkowska-Rzepecka i Jacek Waltoś. Ekspozycje, mające charakter przeglądowy, odbywają się równolegle w przestrzeniach galerijnych ASP, UEK i NCK. Wystawom każdorazowo towarzyszy obszerny katalog. Od kilku lat wydarzenie wpisane jest w program Open Eyes Art Festival.

Dziesiąta edycja „Przestrzeni dla sztuki” po raz pierwszy w historii cyklu poświęcona jest dwójgu twórców – Krystynie Nowakowskiej i Jerzemu Nowakowskiemu, wybitnym artystom rzeźbiarzom, a od prawie pięćdziesięciu lat małżeństwu. Oboje są absolwentami krakowskiej ASP, w której też prof. Jerzy Nowakowski przez 47 lat był pedagogiem. Wystawa Krystyny i Jerzego Nowakowskich, zatytułowana Introversus – Extraversus – Ukryty wymiar, jest przede wszystkim obszernym przeglądem ich dorobku rzeźbiarskiego z lat 1971–2023, ale obejmuje również prace rysunkowe, malarskie i medalierskie.

Dołączenie do tego grona Krystyny Nowakowskiej i Jerzego Nowakowskiego nie było wyborem przypadkowym. Oboje są nie tylko rzeźbiarzami znanymi z realizacji wielu ambitnych projektów, regularnie uczestniczącymi w wystawach indywidualnych i zbiorowych, obecnymi ze swoimi pracami w wielu galeriach, gmachach i przestrzeniach publicznych, wysoko cenionymi za granicą, ale też od pół wieku stanowią nierozłączną parę trwale wpisaną w krajobraz artystycznego Krakowa. Sama z sentymentem wspominam zorganizowaną w Galerii CENTRUM NCK jeszcze w 1987 roku wystawę 25 lat Rzeźby Roku, na której znalazły się także prace Jerzego Nowakowskiego, jednego z laureatów tej prestiżowej nagrody. Potem takich spotkań z Jego i Krystyny Nowakowskiej twórczością zdarzyło się jeszcze wiele – i zawsze było to dla mnie ważne doświadczenie. W ich pracach znajduję bowiem wszystko to, co w sztuce cenię szczególnie, czyli mistrzostwo warsztatowe połączone z wrażliwością i klarownością przekazu, ogromną erudycją i twórczym łąčeniem tradycji z nowoczesnością.

Na trzech wystawach, spiętych tytułem Introversus – Extraversus – Ukryty

wymiar, zgromadziliśmy ponad 300 dzieł rzeźbiarskich, medalierskich, malarskich i rysunkowych, powstałych w ciągu ostatniego półwiecza, uzupełnionych o obiekty warsztatowe i archiwalia.

To pierwsza od prawie dwóch dekad tak obszerna i reprezentatywna wspólna prezentacja w Krakowie dorobku obojga artystów. Autorem aranżacji jest prof. Adam Brincken. Do galerii Akademii Sztuk Pięknych trafiły przede wszystkim starsze rzeźby Jerzego Nowakowskiego, z lat 70. i 80., w tym głośny Pomnik historii, udostępniony specjalnie na tę okazję przez Muzeum Narodowe w Krakowie, a także tak znane prace, jak Ukryty wymiar, Pomnik pokoleń czy Autoportret. Uzupełniają je obrazy i plakiety. Z twórczości Krystyny Nowakowskiej znajdujemy tu m.in. realizowane w latach 80. i 90. cykle Zatraceni, Introwersje, Ślady istnień, Integracje. Całość tej ekspozycji silnie naznaczona jest piętnem tamtych czasów i wyraża polityczny słuch oraz społeczną wrażliwość obojga artystów.

W przestrzeniach Uniwersytetu Ekonomicznego zobaczyć można m.in. prace warsztatowe Jerzego Nowakowskiego, w tym odlewy gipsowe (np. głowa Stanisława Wyspiańskiego, Temida), oraz medale dedykowane różnym uczelniom. Krystyna Nowakowska pokazuje niewielkie rzeźby z brązu. Znajdziemy tu także dokumentację wielu rzeźbiarskich projektów zrealizowanych w przestrzeniach miejskich, głównie Krakowa.

W Galerii CENTRUM NCK znalazły się rzeźby z najbardziej znanych cykli Jerzego Nowakowskiego, jak Introwersje, Portrety czy Ślad złudzeń. Jest też wybór (choć to tylko ułamek całości!) tak ważnych w jego dorobku plakiet i medali – przykładów mistrzostwa lapidarnego przekazu w miniaturowej skali. Na uwagę zasługują z pewnością zebrane tu prace malarskie i szkice pochodzące zarówno z początku lat 70. XX wieku, jak i z ostatniego okresu – najczęściej powstałe podczas plenerów. Twórczość Krystyny Nowakowskiej reprezentują przede wszystkim rzeźby z cyklu , realizowanego przez artystkę w ciągu kilku dekad. Tym, co łączy te prace, powstałe niezależnie od siebie, z różnych inspiracji i w różnych momentach rozwoju artystki, jest czytelna kobieca perspektywa – olbrzymi ładunek czegoś bardzo osobistego i emocjonalnego, miękkość, subtelność, a przy tym zdecydowanie.

Niewątpliwie w całości przeglądu twórczości Krystyny i Jerzego Nowakowskich ekspozycja w NCK ma najbardziej przekrojowy, wyczerpujący charakter. Najpełniej też ukazuje, jak różnymi drogami kroczyły te dwie osobowości artystyczne, jak ich prace wchodziły ze sobą w dialog, czerpią z siebie, a zarazem pozostają w kontrze, polemizują ze sobą, tworzą odmienne narracje, słowem – stanowią dwa różne światy. Zachęcam więc do przesłania tej rozłożonej na dekady niezwyklej gry dwojga artystów – tak mocno ze sobą związanych i tak konsekwentnie strzegących swej autonomii. O tym jest ta wystawa.

Joanna Gościej-Lewińska kurator projektu „Przestrzeń dla sztuki”

Koordynatorzy: prof. dr hab. Joanna Kubicz i Oliwia Ostrowska

Aranżacja: prof. Adam Brincken

Jerzy Nowakowski – jeden z najwybitniejszych polskich rzeźbiarzy. Profesor ASP w Krakowie, obecny w życiu artystycznym miasta od początku lat 70. Zajmuje się rzeźbą kameralną, wielkoformatową i plenerową, medalierstwem oraz malarstwem. Urodził się w 1947 roku w Przemyślu. W 1965 roku ukończył Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Jarosławiu. W latach 1965–1971 studiował na Wydziale Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w pracowniach profesorów Mariana Koniecznego i Jacka Pugeta oraz docent Wandy Ślędzińskiej, w pracowni której w 1971 roku obronił dyplom z wyróżnieniem. W 1971 roku został zatrudniony jako asystent na Wydziale Rzeźby, następnie jako adiunkt, docent i profesor. Od roku 1978 prowadził najpierw Pracownię Medalierstwa i warsztaty odlewnictwa artystycznego rzeźby w metalu, a następnie Pracownię Rzeźby dla studentów I roku, a od 1999 roku Pracownię Rzeźby dyplomującej. Pełnił funkcję prodziekana i dziekana Wydziału Rzeźby, w latach 2005–2008 prorektora ASP ds. studenckich. W 1994 roku otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego, a w 1997 stanowisko profesora zwyczajnego. Uczestniczył w przewodach doktorskich, habilitacyjnych i profesorskich, jest autorem wielu recenzji prac naukowych oraz laudacji. W 2017 roku przeszedł na emeryturę.

Zaangażowany w liczne międzynarodowe projekty, sympozja i konferencje poświęcone sztuce, brał udział w plenerach, targach i aukcjach charytatywnych. Swój dorobek artystyczny prezentował na 39 wystawach indywidualnych oraz setkach wystaw zbiorowych. Kurator 32 ekspozycji w kraju i za granicą. Należy do wielu stowarzyszeń twórczych, m.in. Związku Polskich Artystów Plastyków, Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, Stowarzyszenia Twórczego POLART, pełniąc w nich różne społeczne funkcje.

Jego prace znajdują się w licznych muzeach, kolekcjach instytucji i zbiorach prywatnych w Polsce, Wielkiej Brytanii, we Włoszech, w Niemczech, Szwecji, USA, Grecji i na Węgrzech. Za swą twórczość otrzymał około 40 nagród i wyróżnień, a także 24 odznaczenia i medale, m.in. Złoty Laur za mistrzostwo w sztuce rzeźbienia Krakowskiej Filii Fundacji Kultury Polskiej oraz Złoty Medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis.

KRYSTYNA I JERZY NOWAKOWSCY W NOWOHUCKIM CENTRUM KULTURY



Prof. Jacek Majchrowski Prezydent Miasta Krakowa i Krystyna Nowakowska



Prof. Jacek Majchrowski Prezydent Miasta Krakowa i Krystyna i Jerzy Nowakowscy



Krystyna Nowakowska – wybitna artystka, zajmuje się rzeźbą. Urodziła się w 1953 roku w Rzeszowie. W roku 1973 ukończyła Liceum Sztuk Plastycznych w Jarosławiu. W latach 1973–1979 studiowała na Wydziale Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w pracowniach profesorów Stefana Borzęckiego oraz Jerzego Bandury, w którego pracowni w 1979 roku obroniła dyplom.

Tworzy unikatowe kompozycje rzeźbiarskie w wosku, które są odlewane w brązie techniką „wytapianych modeli”, zwaną *cire perdue*.

Jej rzeźby prezentowane były na 37 wystawach indywidualnych i setkach wystaw zbiorowych w kraju i za granicą. Prace artystki znajdują się w licznych zbiorach państwowych i kolekcjach prywatnych w Polsce, Austrii, we Francji, w Niemczech, Szwajcarii, Szwecji, Norwegii, Holandii, na Węgrzech, we Włoszech, w Boliwii, Japonii i USA.

W latach 1989–2003 uczestniczyła w międzynarodowych plenerach artystycznych w Mirabel we Francji, organizowanych przez Stowarzyszenie Nowa Darmstadtzka Secesja oraz Künstlerhaus Ziegelhütte e.V. w Darmstadt, a w latach 1993–2015 w Csongrád na Węgrzech i Iserlohn w Niemczech. Brała udział w wielu konferencjach i sympozjach artystycznych, targach sztuki oraz w akcjach charytatywnych.

Była stypendystką ministra kultury i sztuki oraz prezydenta Krakowa, otrzymała wiele medali i nagród, w tym brązowy medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis (w 2016 roku).

Wystawa czynna w dniach 14.11 - 6.12.2023

Wernisaże: 14.11.2023 r. (wtorek), Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie – Galerie ASP (plac Matejki 13), g. 13.00

15.11.2023 r. (środa), Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie – Pawilon Sportowo- Dydaktyczny (ul. Rakowicka 27), g. 13.00

16.11.2023 r. (czwartek), Nowohuckie Centrum Kultury – Biała Galeria CENTRUM, g. 18.00



**Redaktor Naczelny:**

Joanna Krupińska-Trzebiatowska
e-mail: joanna.kt@poczta.fm
tel. 12 429 70 40

**Sekretarz Redakcji:**

Barbara Korta-Wyrzycka
e-mail: wyrzycka@pk.edu.pl

**Sekretarz Redakcji:**

Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska
e-mail: trzebiatowska.izabela@poczta.fm

Wydawca:

Janusz Trzebiatowski
Stowarzyszenie Twórcze POLART
<http://polart-stowarzyszenie.pl/>

ISSN 1731-9668

ISBN: 83-8664855-11-6

Na okładce:

Ludwig Angerer der Altere
"Magia niewinności"
"Moc Krzyża"



Józef Baran,



Bolesław Faron,



Ignacy S. Fiut,



Wacław Krupiński,

Kolegium Redakcyjne

Irena Kaczmarczyk,



Ferdynand Nawratil,



Tadeusz Skoczek,



Marek Sołtyś

Redakcja:

30 – 250 Kraków, ul. Gajówka 25
tel. 12 4297040

Korekta:

Barbara Korta-Wyrzycka
Małgorzata Bylica

Skład i łamanie tekstu:

Joanna Krupińska-Trzebiatowska

Okładka:

str.2 Zbigniew Latała, pastel
str. 3 Eckehard Fuchs, obraz olejny

Zdjęcia:

Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska
Katarzyna Drózdź
Ewa Karolewska
Andrzej Makuch
Jerzy Nowakowski
Mariola Sternahl
Wojciech A. Sobczyński
Kaja Solecka
Maria Eichler
Marta Walocha
Piotr Wojnarowski
Jan Zych
Andrzej Ziębliński

Druk:

Drukarnia Arda s.c.
32-100 Proszowice, ul. Zacisze 3

Naukowa Rada Redakcyjna:

dr Edward Chudziński

prof. dr hab. Stefan Dousa

prof. dr hab. Bolesław Faron

prof. dr hab. Ignacy St.Fiut

prof. dr hab. Józef Lipiec

prof. dr hab. Ewa Okoń- Horodyńska

prof. dr hab. Jerzy Nowakowski

prof. dr hab Elżbieta Stefańska- Kłyś

prof. dr hab. Zdzisława Tołoczko

prof. dr hab. Andrzej Ziębliński

Numer konta:

Stowarzyszenie Twórcze POLART
30-250 Kraków, ul. Gajówka 25 A
40 1240 4533 1111 0010 3142 4771



